NR 12 2019

A-TAK

Anarchistyczna Gazeta Uliczna

Grecka wojna przeciwko migrantom i aktywistom

Ostatnie wybory w Grecji skończyły się porażką Syrizy (Koalicji Radykalnej Lewicy), która uzyskała wprawdzie 31,5%, ale przegrała o 8% z konserwatywną Nową Demokracją (Nea Demokratia). Wynik ten pozwala nowej partii rządzić samodzielnie, co zdarzyło się pierwszy raz od czasów „greckiego kryzysu". Co ciekawe, przywódca ND Kiriakos Mitsotakis, reprezentujący skrajnie neoliberalne i konserwatywne poglądy, wywodzi się z tej samej grupy rządzących, która doprowadziła Grecję na skraj finansowego krachu w 2009 roku. Plusem wyborów jest to, że po raz pierwszy od siedmiu lat przedstawiciele neonazistowskiego Złotego Świtu nie mają swojej reprezentacji w parlamencie. Nie zdołali przekroczyć 3% progu wyborczego. Ich elektorat przejęły głównie Nowa Demokracja, oraz nacjonalistyczna i prorosyjska partia Greckie Rozwiązanie. Wygrana komentowana jest jako powrót do polityki zaciskania pasa, przerzucania kosztów zadłużenia państwa na najbiedniejszych oraz do ponownego sprzyjania interesom kapitału i klasy średniej, m.in. poprzez zmniejszenie podatków dla inwestorów, cięcia świadczeń socjalnych, zmiany w prawie pracy.

Katarzyna Czarnota

Nowy rząd ma również swoje plany wobec anarchistów i migrantów. Pod płaszczykiem wdrażania kampanii „antynarkotykowych" już w pierwszych tygodniach po wyborach rozpoczęto „czyszczenie dzielnic" z uchodźców i ograniczać działalność aktywistów.

Od wiosny 2019 roku setki uchodźców, którzy dotychczas sami odpowiadali na kryzys struktur pomocowych UE poprzez samoorganizację i skłotowanie pustostanów w dzielnicy Exarchia, zostały pozbawione dachu nad głową. Zamiast udzielania ochrony i wsparcia, teoretycznie gwarantowanego przez międzynarodowe prawo, w planach jest wprowadzenie prawa, które jeszcze bardziej będzie kryminalizować migracje. W wyniku zapowiedzi eksmisji oraz nalotów policji całe rodziny musiały opuścić między innymi takie miejsca jak City Plaza, Clandestina, Cyclopi, Azadi, Babylon, Spirou Trikoupi 17, Hotel Oniro. W wyniku wysiedleń ludzie nie tylko pozostali bez niczego, ale również po raz kolejny przeszli przez życiową traumę. Akcje policji zazwyczaj są wykonywane bez zapowiedzi, we wczesnych godzinach porannych, funkcjonariusze siłą wywlekają mieszkańców na ulice. W celu zastraszenia i zdyscyplinowania ludzi używany jest gaz łzawiący oraz broń palna. Jest to szczególnie wstrząsające doświadczenie dla tych, którzy uciekli przed wojną. Rodziny z dziećmi transportowane są na kilka godzin do aresztu, później pozostawiane na ulicach. Niektórzy trafiają do centrów predeportacyjnych, takich jak ateńska Amygdaleza, skąd przetrzymywani w więziennych warunkach ludzie są następnie deportowani. Opuszczający w popłochu swoje schronienia migranci często gubią swoje dokumenty, co związane jest z koniecznością powtórzenia długotrwałych biurokratycznych procedur. W wyniku tych działań, wśród wielu bezdomnych oczekujących na wyniki starań o azyl jest coraz więcej ludzi z Afganistanu, Syrii, Iranu, Erytrei… Także wiele dzieci i samodzielnych matek. Niektórzy po interwencji policji trafiają do szpitali.

W Grecji przebywa około 70 tys. uchodźców. Tylko około 23 tys. z nich ma zapewnione schronienie mieszkaniowe w ramach programu UNHCR Estia (dane z marca 2019 r.), kolejne 28 tys. przebywa w tymczasowych, prowizorycznych schroniskach, natomiast pozostałe 15 tys. uchodźców jest zamkniętych w tzw. Hot Spotach, czyli ośrodkach detencyjnych zlokalizowanych na greckich wyspach oraz w rejonie rzeki Evros (o sytuacji panującej zimą w obozach pisaliśmy w nr 10. *A-taku*). IOM (International Organization of Migration), pomimo swojej obecności prawie na każdej prestiżowej międzynarodowej konferencji organizowanej przez trzeci sektor w zakresie migracji, objęła ochroną jedynie 6 tys. ludzi, zapewniając tymczasowe schronienie w 56 hostelach. Oficjalne statystyki nie odzwierciedlają jednak rzeczywistej sytuacji — wiele osób pozostaje nadal bez rejestracji, dachu nad głową, dostępu do podstawowego ubezpieczenia (Amka) oraz minimalnych świadczeń finansowych i jakiejkolwiek formy oficjalnego wsparcia.

„Nowa" antymigracyjna polityka

Zaostrzenie prawa do ubiegania się o ochronę, status uchodźcy, obywatelstwo, dalsza segregacja ↳

Turecka agresja na Rożawę

9 października Turcja napadła na Rożawę. Demokratyczna autonomia oparta na wolności wyznania, równości płci i prawach mniejszości stała się celem nacjonalistyczno-religijnego totalitarnego państwa i jego sojuszników — dżihadystycznych terrorystów z tzw. Wolnej Armii Syryjskiej (FSA).

Paweł Ziółkowski



Zielone światło do agresji dał prezydent USA Donald Trump, wycofując amerykańskie siły, które były obecne na granicy jako gwarancja bezpieczeństwa. Wcześniej USA zagwarantowały Rożawie bezpieczeństwo kosztem m.in. demontażu umocnień na granicy z Turcją. W tej sytuacji o zdradzie mówią nie tylko sympatycy rożawskiej rewolucji, ale także generałowie i politycy amerykańscy, jak chociażby Mitt Romney, szef senackiej komisji spraw zagranicznych, były republikański kandydat na prezydenta i gubernator Massachusetts: „Decyzja prezydenta o porzuceniu naszych kurdyjskich sojuszników w północnej Syrii w obliczu napaści ze strony Turcji jest zdradą, która będzie miała poważne konsekwencje humanitarne i dla [naszego] bezpieczeństwa narodowego".

Recep Erdogan, prezydent (a de facto dyktator nazywany „sułtanem") Turcji wprost zapowiada, że jego celem są czystki etniczne. Planuje wygnać mieszkańców i osiedlić na ich miejscu przybyszy z innych stron Syrii. I nie tylko Syrii. W Efrin, kantonie Rożawy, który Turcja napadła i zajęła w zeszłym roku, osiedlani są miedzy innymi Palestyńczycy. Potwierdza to między innymi raport OCHA (Biura ONZ ds. Koordynacji Spraw Humanitarnych) z maja zeszłego roku. Raport innej agendy ONZ — Biura Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Praw Człowieka (OHCHR) z czerwca tego samego roku stwierdza: „OHCHR jest zaniepokojony tym, że zezwolenie etnicznym Arabom na zajmowanie domów Kurdów, którzy uciekli, skutecznie uniemożliwia Kurdom powrót do swoich domów i może być próbą trwałej zmiany etnicznego składu tego obszaru".

Oprócz czystek etnicznych celem Turcji, jej „sułtana" i jego partii AKP jest reaktywowanie Państwa Islamskiego, znanego też jako ISIS lub ISIL, albo pod obelżywą nazwą Daesh używaną przez jego wrogów. Państwo Islamskie utraciło kontrolowane przez siebie terytoria tak zwanego „kalifatu" dzięki wysiłkowi Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF), multietnicznej formacji zbudowanej na bazie kurdyjskich YPG i YPJ, oraz ich sojuszników. Nie oznacza to jednak końca Daesh jako organizacji. W dalszym ciągu ma licznych zwolenników na całym świecie. Na Bliskim Wschodzie działają tzw. uśpione komórki, co chwila się uaktywniające i przeprowadzające zamachy. Wreszcie Turcja, której powiązania z Daesh są dobrze udokumentowane, zebrała dżihadystów, w tym niedobitki Państwa Islamskiego, pod szyldem wspieranej przez siebie Wolnej Armii Syryjskiej (FSA), określanej też jako Narodowa Armia Syryjska.

FSA stanowi główną siłę naziemną tureckiej agresji. Turcja wyposażyła ją w ciężki sprzęt, między innymi w transportery opancerzone ACV-15 stanowiące główny pojazd tureckiej armii, a także zapewnia wsparcie lotnictwa, artylerii i rozpoznanie przy pomocy dronów.

Dżihadyści publikują w sieci filmy, w których wprost zapowiadają restaurację „kalifatu" oraz obcinanie głów niewiernym, czyli każdemu, kto nie podziela ich wizji islamu. Chwalą się też swoimi wyczynami, w tym egzekucjami cywilów. Warto podkreślić, że do dżihadystycznej retoryki odwołuje się sam Erdogan, który na twitterze napisał o „armii Mahometa". W podobny ton uderzają inne tureckie partie, w tym kreaowana na zachodzie na „świecką" i „demokratyczną" opozycję kemalistowska partia CHP. Lider tej partii Kemal Kilicdaroglu napisał na twitterze o najeźdźcach: „Niech Allah błogosławi nasze dzieci i da im zwycięstwo". Jedynie prokurdyjska partia HDP potępiła inwazję, za co na jej członków i sympatyków spadły represje obejmujące między innymi aresztowania demokratycznie wybranych burmistrzów kurdyjskich miast w Turcji.

To, czym jest FSA na tureckim żołdzie, najlepiej pokazuje morderstwo Hevrin Khalaf. Hevrin była znaną działaczką praw kobiet i mniejszości oraz sekretarz generalną Partii Przyszłej Syrii, która powstała jako platforma dla różnych ruchów politycznych chcących pracować nad demokratyczną przyszłością Syrii. 12 października dżihadyści z organizacji Ahrar al-Sharqiya wyposażeni w ciężki sprzęt armii tureckiej (m.in. wspomniane transportery opancerzone ACV-15) dokonali rajdu na biegnącą wzdłuż granicy autostradę M4, podczas którego przechwytywali cywilne samochody i zabijali pasażerów. Jedną z ofiar była Hevrin.

35-letnia działaczka społeczna została wyciągnięta z samochodu, następnie ukamienowana (sic!), a ponieważ dawała jeszcze oznaki życia, dobita z broni automatycznej. Nagranie ofiary już po kamienowaniu też trafiło do sieci. Towarzyszący jej dwaj ochroniarze zostali „tylko" rozstrzelani. Mordem kierował Ahmed Ihsan Fayyad al-Hayes alias Hatim Abu Shaqra (al Shaqra), osobnik o dość bogatej „karierze" podczas syryjskiej wojny domowej, znany z licznych zbrodni i rabunków, który wg źródeł jezydzkich jest cały czas „właścicielem" jezydzkich niewolnic.

Jego formacja Ahrar al-Sharqiya brała udział już w pierwszej tureckiej agresji na Syrię, w 2016 roku (tzw. Tarcza Eufratu), następnie w agresji i okupacji Efrin, podczas której dopuszczała się licznych porwań, morderstw i rabunków, potwierdzonych przez wspomniany już raport OHCHR. W grudniu zeszłego roku opublikowała materiał filmowy, na którym jej członkowie zapowiadali mordowanie ludności Rożawy. Szczególnie znana jest z wrogości wobec kobiet, między innymi w Efrin narzucała dżihadystyczny „dress code" (notabene ma to także miejsce w zajętym ostatnio Gire Spi/Tel Abyad).

Nie jest do końca jasne, czy Hevrin była tylko jedną z przypadkowych ofiar, czy też była celem tego wypadu. Na pewno jej śmierć, jak i osoby oprawców mają wymowę symbolu tej agresji.

FSA powstała jako luźny związek różnych formacji walczących z reżimem partii Baas Asada. Z czasem ↳

Sekta z „posoborowego matrixa", czyli kto organizuje Marsz Niepodległości?

s. 3

Turecka agresja na Rożawę

cd ze s. 1



Jeden z bilbordów rozwieszanych w Efrin przez Ahrar al-Sharqiya, pokazujący obowiązkowy strój dla kobiet.

ewoluowała w stronę dżihadyzmu, tak że obecnie niczym się nie różni od Państwa Islamskiego. Te formacje dawnej FSA, które nie identyfikowały się z religijnym faszyzmem dawno przeszły do SDF. Niektóre z nich broniły Rożawy przed atakiem Turcji i jej dżihadystycznej FSA. Głównie arabskiego miasta Tel Abyad (kurdyjska nazwa Gire Spi) broniły między innymi dwie arabsko-turmeńskie brygady „starej" FSA: Liwa al-Tahrir i Liwa Ahrar Raqqa. Pod Manbij to były Liwa Thuwar Idlib, Jabhat al Akrad i Liwa al Shamal al Dimocrati. Z kolei w rejonie Serekaniye (arabska nazwa Ras al Ayn) walczyły oddziały mniejszości chrześcijańskich: ormiański batalion SDF im. Nubara Ozanyana i jednostki MFS — Syriackiej Rady Wojskowej (Syriacy, zwani też Asyryjczykami to mniejszość etniczno-religijna wywodząca się od mieszkańców Bliskiego Wschodu sprzed arabskiego najazdu).

Dla nich turecka agresja oznacza kontynuację ludobójstwa z czasów pierwszej wojny światowej, które my znamy jako ludobójstwo Ormian, ale którego ofiarami byli także Syriacy i Grecy. „Turcja chce nas zabić, by dokończyć ludobójstwo na naszym narodzie" — wprost pisze MFS w oświadczeniu.

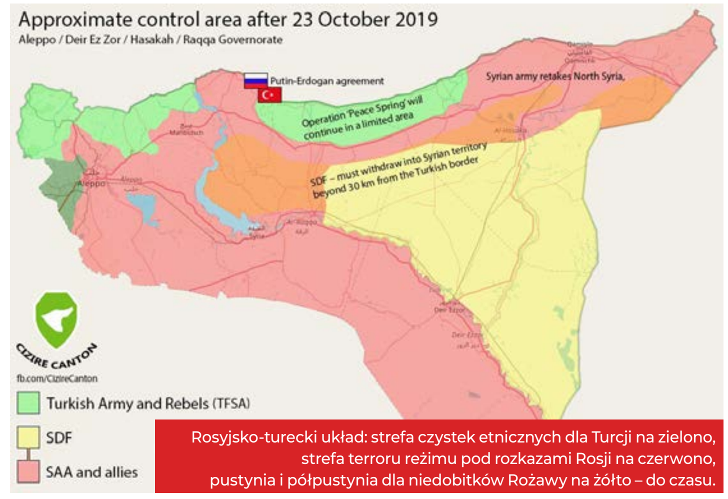
Podobnie widzą to Jezydzi, dla nich Państwo Islamskie powraca, by dokończyć ludobójstwa. „Ta umowa oznacza koniec jezydzkiej mniejszości w Syrii" — pisze jezydzka agencja prasowa Ezidipress. „Ta umowa" odnosi się do ogłoszonego 22 października antyrożawskiego układu Rosji i Turcji.

Układ ten obejmuje pozostawienie terenów między zajętymi przez Turcję miastami Gire Spi i Serekaniye aż do autostrady M4 w rękach Turcji. Pozostałe regiony przygraniczne ma kontrolować reżim, ma też wraz z Rosją rozbroić kurdyjskie oddziały YPG i YPJ. Należy zaznaczyć, że już w maju 2017 roku Riza Altun, członek rady wykonawczej KCK (Koma Civakên Kurdystan — Unia Wspólnot Kurdystanu, organizacja zrzeszająca formacje ocalanistyczne we wszystkich czterech zaborach i na emigracji) mówił, że Rosja podpuszcza Turcję do ataku, by skłonić Rożawę do podporządkowania się jej baasistowskim marionetkom. Turecka agresja na Efrin odbyła się za zgodą Rosji — Efrin znajdowało się w strefie operacyjnej lotnictwa Rosji, która „otworzyła niebo" dla tureckich samolotów.

Kiedy piszę te słowa, nie sposób przewidzieć, jak dalej rozwinie się sytuacja, czy Rożawa zdecyduje się na beznadziejną walkę, czy na kapitulację.

Natomiast pewne światło na zaistniałe wydarzenia rzucają wyniki śledztwa dziennikarskiego opublikowane w "The National Interest", także 22 października, na temat działań amerykańskiego Departamentu Stanu. Wynika zeń, że jego pracownicy usiłowali skłonić Syryjską Radę Demokratyczną (polityczne skrzydło SDF) do sojuszu z tureckimi dżihadystami przeciwko Iranowi. Skłonić wolnościowe społeczeństwo z wolnością wyznania i równouprawnieniem płci do sojuszu z totalitarystami mordującymi „niewiernych" i uważającymi kobiety za podludzi. Czy muszę pisać, że nic z tego nie wyszło?

Ten sam artykuł wspomina o zablokowaniu przez Jamesa Franklina Jeffreya rezolucji potępiającej zamordowanie Hevrin Khalaf. Jeffrey to nowy przedstawiciel USA w koalicji przeciwko ISIS. Zastąpił Bretta McGurka, który podał się do dymisji w proteście przeciw poprzedniej, grudniowej wolcie Trumpa. Zestawienie postaw tych dwóch ludzi dobrze pokazuje skalę zmiany frontu przez USA. Jeffrey pracuje teraz bowiem usilnie nad zniszczeniem tego, co z równie wielkim wysiłkiem pomagał zbudować jego poprzednik — Syryjskich Sił Demokratycznych. Jeffrey i jego zespół starają się oderwać od SDF jego arabskie komponenty, by wykorzystać je przeciwko Iranowi.



Rosyjsko-turecki układ: strefa czystek etnicznych dla Turcji na zielono, strefa terroru reżimu pod rozkazami Rosji na czerwono, pustynia i półpustynia dla niedobitków Rożawy na żółto – do czasu.

I to może wyjaśniać, dlaczego Trump sprzedał nie Rożawę Turcji, ale cały region Rosji. Rosja i Iran mają pewne wspólne interesy, ale bynajmniej nie większość. Nawet w Syrii, gdzie oba kraje wspierają reżim Asada, rywalizują ze sobą o to, kto będzie miał na niego większy wpływ. Wydaje się, że tutaj dominuje Rosja, bo choć to Iran dostarczył główne siły lądowe walczące po stronie reżimu (głównie szyickich dżihadystów), to Rosja zapewniła wsparcie lotnicze, dostawy bardziej zaawansowanego sprzętu i marynarkę wojenną. To ostatnie wydawać by się mogło w tym konflikcie bez znaczenia, ale tylko jeżeli zapomnimy, że główne ośrodki miejskie Syrii leżą w pobliżu wybrzeża. Na walki w głębi lądu wpływ to ma niewielki, na kontrolę ośrodków administracyjnych reżimu całkiem spory.

Po wycofaniu USA Rosja staje się głównym rozgrywającym w regionie, a zniszczenie Rożawy jeszcze wzmocni jej pozycję w Syrii. „Sułtan" w tej układance jest tylko wasalem „cara", a dla wolnościowej rewolucji nie ma miejsca.

Jest za to miejsce na zbrodnie wojenne. Rzecznik Wysokiego Komisarza ONZ ds. Praw Człowieka potwierdził 11 października, że Turcja atakuje cele cywilne. Amnesty International, do tej pory znana raczej z fałszywych oskarżeń pod adresem Rożawy, opublikowała 18 października raport przypisujący Turcji i dżihadystom na jej żołdzie zbrodnie wojenne. 13 października na antenie CNN to samo stwierdził sekretarz obrony USA. „Świat się dowiedział, nic nie powiedział".★

Na całym świecie odbyło się wiele wydarzeń solidarnościowych z Rożawą, w tym demonstracje, pikiety, happeningi, a nawet tworzenie murali. Więcej informacji znajdziecie na fanpage'u Wspieram Kurdyjską Rewolucję w Rojavie: **facebook.com/KurdyjskaRewolucjawRojavie**

Ogólnopolskie oświadczenie Federacji Anarchistycznej

PRZECIWKO TURECKIEJ INWAZJI! STOP RZEZI KURDYJEK I KURDÓW!

Pod cyniczną nazwą „Źródło pokoju" 9 października wojska tureckie, na rozkaz prezydenta Erdogana, rozpoczęły inwazję militarną w północnej Syrii. W rzeczywistości celem działań zbrojnych jest jednak destabilizacja regionu, czego konsekwencje odczuwalne będą również na arenie międzynarodowej.

Tureckie władze otwarcie deklarują, iż działania zbrojne są wymierzone w siły kurdyjskie, uznawane od lat przez reżim z Ankary za terrorystów. Jednocześnie zapomniano, iż (wspierani do niedawna przez amerykański rząd) Kurdyjki i Kurdowie jako jedyni zacięcie stawiali i stawiają nadal opór atakom fundamentalistów spod znaku ISIS (Daesh/Państwo Islamskie). W tej walce, to jednostki kurdyjskie, m.in. z YPG/YPJ, działając bez większego wsparcia, wychodziły naprzeciw fanatykom religijnym, dzielnie odpierając ataki liczniejszych i znacznie lepiej uzbrojonych oddziałów ISIS. W tym czasie turecki reżim — na co istnieją dowody — m.in. udzielał schronienia rannym bojownikom Daesh, wspierał ekonomicznie i militarnie ISIS oraz umożliwiał terrorystom zdobywanie funduszy, np. z handlu ropą.

Celem działań Erdogana jest wykorzystanie wieloletniego konfliktu w Syrii do rozprawienia się z kurdyjskim ruchem niepodległościowym, który jako oddolny i wolnościowy postrzegany jest przez dyktatora w kategoriach zagrożenia. Turecki prezydent będący reprezentantem partii jawnie fundamentalistycznej i konserwatywnej nieustannie jest bowiem oskarżany o prowadzenie polityki antydemokratycznej, łamanie praw człowieka, wykorzystywanie uchodźców syryjskich jako niewolników na rynku pracy, represje wobec opozycji, w tym szczególnie mniejszości kurdyjskiej. (M.in. liczni dziennikarze, opozycjoniści, aktywistki, artyści, studenci i profesorzy uniwersytetów musieli w ostatnich latach opuścić kraj w obawie przed torturami i więzieniem. Każdy, kto krytykował reżim, stanowił oficjalne zagrożenie).

Inwazja na Syrię nie mogłaby dojść do skutku, gdyby nie decyzja prezydenta USA Donalda Trumpa o wycofaniu wojsk amerykańskich, które do niedawna wspierały Kurdów. Stosunkowo niewielkie siły wojskowe USA stanowiły w pewnym sensie gwarancję bezpieczeństwa dla ludności kurdyjskiej. Amerykański prezydent miał pełną świadomość, że Turcja jako sojusznik nie może zaatakować żołnierzy USA. Kolejny już raz Stany Zjednoczone, państwo, które udaje międzynarodowego policjanta i strażnika demokracji, pozwalają na działania wojskowe jawnie wymierzone przeciwko siłom demokratycznym i cywilom. Kurdowie w rejonie północnej Syrii i na odzyskiwanych z rąk ISIS terenach budują zalążki niezależnej wspólnoty, działającej w oparciu o samorządność i praktyki demokracji bezpośredniej. W szczególności solą w oku religijnych fundamentalistów z Turcji i ISIS było kluczowe w kurdyjskich działaniach wyzwolenie kobiet, oparte również o aktywne ich uczestnictwo w polityce i działaniach militarnych.

Jak widać, „Wielki Brat" nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz zdradza swoich sojuszników, pozwalając wojskom tureckim na prowadzenie operacji wymierzonej w Kurdów. Świat milczy, a działania militarne przybierają na sile. Już kilkanaście godzin po ich rozpoczęciu docierały do opinii publicznej pierwsze informacje o ofiarach cywilnych i bombardowaniach. Władze Polski, co nie zaskakuje, również nie zabierają głosu, choć zarówno Turcja jak i USA są sojusznikami w ramach struktur NATO. Milczenie oznacza w tym momencie przyzwolenie na działania wojskowe mające na celu wymordowanie narodu kurdyjskiego, jak również wzmocnienie fundamentalistów.

Kurdowie od lat są wspierani przez międzynarodowe grupy anarchistyczne. Jednak, jeżeli chodzi o wsparcie polityków i rządów, walczą osamotnieni. Dlatego też, w odpowiedzi na ostatnie wydarzenia, razem z innymi polskimi i międzynarodowymi grupami, wyrażamy sprzeciw wobec terroru Erdogana i Trumpa, jednocześnie solidaryzując się z walczącymi o wolne społeczeństwo Kurdyjkami i Kurdami.

Dość bezkarności reżimu Erdogana, dość cynicznej polityki Trumpa! Powstrzymajmy rzeź Kurdyjek i Kurdów! Stanowcze nie dla Tureckiej inwazji! ★

Grecka wojna przeciwko migrantom i aktywistom

cd ze s. 1

społeczno-przestrzenna migrantów poprzez politykę separacji i zsyłania do obozów, nie są niczym nowym w greckiej polityce. Wręcz przeciwnie — stanowi kontynuację dyscyplinowania migrantów. Jest kontynuacją polityki z lat 90., która pozwoliła na wyzysk taniej siły roboczej. Co więcej, dzisiejsze decyzje są bezpośrednim następstwem i kontynuacją wcielania w życie politycznych założeń umowy pomiędzy UE a Turcją, podpisanej przez rząd Grecji w marcu 2016 r. (na mocy tej umowy m.in. całkowicie zamknięto tzw. szlak bałkański). Celem klas rządzących jest coraz mocniejsze uszczelnienie granic Europy, które w 2015 r. w wyniku determinacji uchodźców musiały zostać czasowo otwarte.

Obecnie Grecja działa jak neorasistowski filtr Europy. Sytuacja ta służy jednak ekonomii — migranci wykorzystywani są m.in. na czarnym rynku pracy, zmuszeni do akceptowania warunków, jakie proponują im szefowie, przemytnicy, handlarze organami. Sytuację wykorzystują również handlarze narkotykami i żywym towarem. Ostatecznie do krajów docelowych mogą dotrzeć tylko ci najbardziej do tego przygotowani — posiadający najwięcej finansów, wsparcie ze strony rodziny. Jednak i oni muszą zaakceptować niższą pozycję wiążącą się ze znacznym ograniczeniem praw (w tym pracowniczych czy lokatorskich).

Grecja jest jak soczewka skupiająca skutki kryzysu polityki humanitarnej i finansowej UE — wprowadzenie definicji tzw. bezpiecznego kraju (którym według UE są m.in. Turcja i określone terytoria Afganistanu) kryminalizuje migrantów oraz powoduje, że zdecydowana ich większość jest na z góry przegranej pozycji. Kolejne zmiany dotyczą składu komisji, której zadaniem jest podejmowanie decyzji o nadaniu ochrony. W przeszłości składały się one z przedstawiciela NGO, sędziego i prawnika. Zgodnie z nowym prawem, będą się składały z trzech sędziów. Dodatkowo nowe regulacje prawne zakładają, że w przypadku odwołania od nieprzyznania ochrony (azylu), działania apelacyjne może podjąć tylko prawnik. Z góry wyklucza to dużą liczbę imigrantów. Jednocześnie państwo greckie pod koniec 2018 r. wyznaczyło do tego rodzaju pomocy tylko 31 prawników. Ostatecznie taka polityka spycha migrantów na pozycje nielegalne. Zmuszeni będą do życia jako „niewidzialni", do ukrywania się przed policją, bez możliwości skorzystania z teoretycznych zapisów Konwencji Genewskiej, narażeni na eksploatację i wyzysk.

W kolejnych miesiącach zapowiadane są intensyfikacje ataków policji na skłoty, przestrzenie publiczne, gdzie przebywają migranci (parki, place w centralnych częściach Aten i Salonik), finansowanie budowy kolejnych centrów detencyjnych. Akcje te przedstawiane są w mediach jako „czyszczenie przestrzeni publicznych z ludzi, którzy nie pasują do społeczeństwa, stanowią jedynie zagrożenie". Kampania przeciwko uchodźcom, anarchistom i ruchowi skłoterskiemu jest częścią politycznego programu neoliberalnej i konserwatywnej „Nowej Demokracji". Kolejne ataki są próbą siłowego wdrożenia hasła „nie ma alternatywy", zgodnie z którym przestrzenie samorządne, niezależne od partii politycznych, państwa czy NGO-sów nie mogą funkcjonować. Jednak idea ta oznacza też mobilizację różnych kolektywów anarchistycznych, aktywistów, mieszkańców, migrantów w walce przeciwko totalitarnym porządkom. Solidarność w tym przypadku oznacza przeciwstawienie się interesom i represjom państwa, by wspólnie bronić przestrzeni autonomicznych. Solidarność rozumiana jako klasowa, nie narodowa. Anarchiści, pracownicy, mieszkanki Exarchii organizują się na cotygodniowych spotkaniach, by wspólnie móc bronić przestrzeni i walczyć przeciwko antyimigracyjnej polityce.★



Plakat zapowiadający demonstrację solidarnościową na 19 października.
Przeciwko obozom koncentracyjnym w Morii, nigdy i nigdzie więcej. Zakończyć piekło w obozie Moria. Solidarni z uchodźcami i migrantami. No Pasaran!

W artykule korzystano z danych zebranych przez grupę tworzącą antyrasistowski Biuletyn w Salonikach (*Bulletin τεύχος against anti-migration policies, racism, fascism, patriachy and capitalism*). **facebook.com/Bulletinmag**

SEKTA Z „POSOBOROWEGO MATRIXA", CZYLI KTO ORGANIZUJE MARSZ NIEPODLEGŁOŚCI?

Stowarzyszenie Marsz Niepodległości powstało w 2011 r. z inicjatywy Obozu Narodowo-Radykalnego i Młodzieży Wszechpolskiej. Oprócz tego marszu grupy te organizowały inne wydarzenia, które przyciągnęły setki, a czasem tysiące osób. Towarzyszyły im znane hasła: „Śmierć wrogom ojczyzny", „Precz z Żydami", „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę" oraz „Wielka Polska Katolicka". Szczególnie ta ostatnia dewiza nakłania wielu katolików (choć nie tylko) do uczestnictwa w tego typu marszach. Ludzie biorący w nich udział nie wiedzą jednego — podążają za religijną sektą.

Kapitan Flint

Autorytet z koloratką

Oglądając kiedyś jeden z filmów umieszczonych w Mediach Narodowych (oficjalnym kanale internetowym Stowarzyszenia Marsz Niepodległości, w serwisie YouTube od 2017 r.), natknąłem się na rozmowę z księdzem, który w podpisie po nazwisku miał umieszczony skrót FSSPX. Zauważyłem, że większość duchownych, wypowiadających się na tym kanale, jest związana właśnie z tym skrótem, jednak nie zawsze jest to wyraźnie zaznaczone — czyli ksiądz to ksiądz i nie ma w co wnikać? No, nie do końca... FSSPX to skrót łacińskiej nazwy Fraternitas Sacerdotalis Sancti Pii X, czyli Bractwo Kapłańskie Świętego Piusa X. Jego członkowie potocznie nazywani są lefebrystami od nazwiska ich inicjatora Marcela Lefebvre'a, francuskiego biskupa, który kwestionował II Sobór Watykański (odbywający się w latach 1962-65). Jeden z dokumentów posoborowych stwierdzał, że „Kościół wzywa chrześcijan do współpracy i dialogu z wyznawcami innych religii". Pogląd krytykujący ustalenia drugiego soboru bardzo dobrze współgra z narodowo-katolicką polityką liderów wymienionych wcześniej grup.

Okazuje się, że ów pogląd w środowiskach narodowych był popularny już dawniej. Marcin Pielużek w książce z 2017 r. pt. „Obrazy świata w komunikacji polskiej skrajnej prawicy" zaprezentował wyniki badań tekstów z lat 90., pochodzących ze źródeł, do których mało kto ma dostęp — niszowych pism (zinów) narodowców, neofaszystów, nacjonalistycznie zorientowanych neopogan i skinheadów. Badacz, w odniesieniu do tych ostatnich, stwierdza: „Duża część środowisk skrajnej prawicy, włączająca do swoich koncepcji elementy doktryny katolickiej, całkowicie odrzuca postanowienia II Soboru Watykańskiego. Otwarcie się Kościoła na inne religie równoznaczne jest dla skinheadów z zaprzedaniem Kościoła Żydom" (s. 203-204). Takiego rodzaju skini, zwani często boneheadami lub naziskinami, swoją koncepcję narodu polskiego tworzyli „w oparciu o radykalnie konserwatywny, lefebrystyczny katolicyzm, połączony ze strategią kreowania poczucia lęku i zagrożenia. Dominującymi aktorami są tutaj Żydzi, środowiska lewicowe, ale także Kościół posoborowy, symbolizujący w tym przypadku liberalizm" (s. 210).

Piotrowy tron jest pusty

Może więc fakt, że w Mediach Narodowych pojawiają się księża lefebryści, jest dobrym argumentem za tym, że polska prawica przesunęła się bardziej na prawo niż jeszcze kilka lat temu? Tzn. to, co niegdyś było skrajnością, dziś jest już w centrum, przykładowo narodowcy biorą udział w wyborach do Parlamentu Europejskiego, a ostatecznie zasiadają w sejmie — Konfederacja (wśród jej liderów są m.in. Krzysztof Bosak i Robert Winnicki, byli prezesi Młodzieży Wszechpolskiej) w wyborach 2019 otrzymała 11 mandatów; 1 256 953 głosów, czyli 6,81% poparcia.

Dobrym przykładem jest podejście współczesnych narodowców do papieża Franciszka. Lewak, komuch, heretyk na „Piotrowym tronie" — to tylko nieliczne z epitetów, którymi go określają. Powody? Franciszek mówi, np. o konieczności pomocy ubogim lub o niepotępianiu osób homoseksualnych. Dlaczego więc ludzie, którzy określają siebie mianem katolików i chcą Wielkiej Polski Katolickiej, nie akceptują słów „namiestnika Chrystusa na Ziemi"? Dlaczego nie biorą pod uwagę dogmatu z roku 1870 roku (dekret papieski „Pastor aeternus"), w którym stwierdzono, że papież jest nieomylny w sprawach wiary i obyczajów? Odpowiedź może przynieść sedewakantyzm (łac. sede vacante — pol. dosł. „wolne miejsce"). Zwolennicy tego poglądu uważają, że od czasu śmierci papieża Piusa XII w 1958 r. (który uznał świętym Piusa X, patrona lefebrystów), Watykanem rządzą antypapieże, a zatem tron jest „wolny", pusty; na marginesie — w historii Kościoła katolickiego antypapieże byli też wcześniej, ale to już inna historia). Idąc tym tropem, można wysunąć prosty wniosek, że skoro Franciszek jest antypapieżem, to nie trzeba go słuchać, gdyż urząd papieski mu się nie należy... Od razu zaznaczę, że taki skrajny pogląd w Mediach Narodowych nie jest wykładany dosłownie. Droga do niego jest jednak według mnie prosta.

Podążali nią już członkowie — najmniej obecnie popularnego wśród nacjonalistów — Narodowego Odrodzenia Polski, wokół którego krążyli wspomniani wcześniej prawicowi skinheadzi. Według Jarosława Tomasiewicza (referuję fragment rozdziału z książki pt. „Różne oblicza nacjonalizmów", red. B. Grott, 2010, s. 195-198) NOP-owcy, zafascynowani katolickim tradycjonalizmem, w połowie lat 90. zaczęli wyrażać zachwyt wobec lefebryzmu, który szybko jednak przestał im wystarczać. W jego miejscu pojawił się sedewakantyzm — to była ekstrema, której potrzebowali, gdyż według nich zło „promieniowało" z Watykanu i nie wiedzieli co począć. NOP, sięgając również do innych źródeł, znajdował uzasadnienie dla stosowania przemocy (w tym czasie lefebryści zaczęli się od nich odsuwać), a co za tym idzie rozważano celowość działania inkwizycji i wypraw krzyżowych. Twierdzili również, że praca (czy też raczej czyn i walka) na rzecz narodu to świętość, a miłość bliźniego odchodzi na dalsze miejsce. Katolicyzm? Tak, ale tylko w ich interpretacji.

Czym jest „posoborowy matrix"?

Zanim zwróciłem uwagę na lefebrystów pojawiających się w medium organizatorów Marszu Niepodległości, zanotowałem sobie tytuł jednego z odcinków: „Żyjemy w posoborowym matriksie" (05.06.2018). To określenie nawiązujące do filmu science-fiction sprzed dwóch dekad pt. „Matrix", opowiadającego o przyszłości, w której żyją w komputerowej rzeczywistości, co ma zamaskować fakt, że od dawna są niewolnikami maszyn, zasilających się ich energią. Tytułowe słowa wypowiedział prowadzący program Rafał Mossakowski, co ważne — w latach 90. członek Narodowego Odrodzenia Polski. Jego gościem była Olga Bojar, artystka z Poznania zaangażowana w obronę mszy trydenckiej. Msza ta była odprawiana w kościołach od roku 1570 do 1970 i charakteryzowała się m.in. tym, że kapłan stał przodem do ołtarza, a tyłem do wiernych, zaś msza odprawiana była po łacinie. Została ona zmieniona postanowieniami II soboru, lecz ciągle odprawiają ją m.in. lefebryści i sedewakantyści (a także — za zgodą biskupa i na prośbę wiernych — mogą ją odprawiać księża katoliccy). Bojar stwierdziła, że zwykła katolicka msza odprawiana w większości kościołów kojarzy jej się ze „spotkaniem towarzyskim", co w konsekwencji prowadzi do „schizofrenii", która „niszczy dusze kapłanów i wiernych". Mossakowski podsumowując ich rozmowę, stwierdził, że jedną z najbardziej „złowieszczych spraw w doktrynie katolickiej" jest: „wolność religijna, czyli zrównanie naszej jedynej, prawdziwej religii katolickiej ze wszystkimi innymi religiami, co jest po prostu herezją, bo poza kościołem nie ma zbawienia" (maksyma „Extra ecclesiam nulla salus" św. Cypriana, żyjącego w trzecim wieku naszej ery). Na koniec dodał: „Nie można powiedzieć, bądź dobrym protestantem, bądź dobrym prawosławnym, bądź dobrym poganinem, bądź dobrym buddystą, czy bądź dobrym żydem i ty się zbawisz. Nie, to nie prawda. Ci wszyscy wymienieni ludzie idą prostą drogą do piekła".

Czy te słowa zostały skrytykowane przez kogokolwiek z Mediów Narodowych, a tym samym przez Stowarzyszenie Marsz Niepodległości? Nic mi o tym nie wiadomo. Jakaś reakcja ze strony katolickich biskupów lub wielce oddanych wierze polityków prawicy? Cisza... Warto przypomnieć, że kilka miesięcy po wyemitowaniu tej rozmowy przez Warszawę przeszedł Marsz Niepodległości pod hasłem „My chcemy Boga", z udziałem prezydenta Andrzeja Dudy, Autonomicznych Nacjonalistów i neofaszystów z zagranicy. Lecz przede wszystkim były tam tysiące zwykłych osób, które prawdopodobnie w większości nieświadomie — naprawdę chcę w to wierzyć — uczestniczyły w wydarzeniu organizowanym przez narodowców, robiąc niejako za ich ochronę, np. przed atakami antyfaszystów.

Lefebrysta – specjalista od wszystkiego

Filmów na kanale Mediów Narodowych jest około 2 tys., a temat przeze mnie poruszany nie jest ani często omawiany, ani nie cieszy się szczególną oglądalnością. Większość umieszczanych tam filmów to publicystyka i omawianie bieżących informacji politycznych z perspektywy narodowo-katolickiej. Zagadnień jest wiele (warto zajrzeć do pierwszej części artykułu; nr 9, 2018), jednak odrobina cierpliwości pozwoliła mi wyłowić to, czego szukałem. Z uwagi na brak miejsca artykuł będzie opublikowany na facebookowym profilu „A-taku", uzupełniany na bieżąco i poszerzony o dokładniejszą analizę. Poniżej luźne streszczenie moich obserwacji:

Największa popularnością (liczba wystąpień) wśród lefebrystów w Mediach Narodowych cieszy się ksiądz Szymon Bańka. To z nim prowadzący rozmawiają na takie tematy jak: Kościół (wskazanie przyczyn kryzysu i tego, po co ludziom jest ta instytucja), rodzina (dlaczego pary nie powinny mieszkać ze sobą przed ślubem; dlaczego konkubinat jest zagrożeniem dla narodu; jak brak silnej rodziny może sprawić, że naród wymrze; dlaczego o rozwodzie w katolicyzmie nie ma mowy; dlaczego księża nie mają rodzin); II sobór (tylko lefebryści przedstawiają prawdę, która w katolicyzmie jest, ale „zagubiła się w posoborowej zawierusze", a nowy rodzaj mszy na pewno w ukryciu się przed nią nie pomoże).

Jeśli rozważania Bańki widzom nie wystarczą, to z pomocą przychodzi ks. Łukasz Szydłowski, który w jasny sposób tłumaczy, jak ważny dla duchownych jest celibat i gdzie popełnił błąd ex-ksiądz Jacek Międlar (kapelan ONR-u). Przekonuje on również dlaczego i w jaki sposób nawracać Żydów na jedyną, słuszną — oczywiście w lefebrystycznym wydaniu — „świętą wiarę katolicką". Okazuje się, że nie jest to takie łatwe, gdyż jak tłumaczy ks. Dawid Wierzycki: „Żydów krzyż po prostu gorszy"! Z kolei ks. Karol Stehlin tłumaczy, że msza jest sercem wychowania i dlatego powinna być odprawiana w tradycji trydenckiej. Zresztą ten duchowny odpowiada na wiele pytań związanych z Bractwem św. Piusa X. Najlepszym podsumowaniem jest nauczanie francuskiego księdza Jeana-Michela Gleize'a, który stwierdza, iż „fałszywe posłuszeństwo prowadzi do zniszczenia Kościoła i państwa".



Autorka: Edyta Bystroń

W zasadzie w Mediach Narodowych pojawiają się również zwykli, nielefebrystyczni księża. Przykładowo: ks. abp Jan Paweł Lenga (odrzucający II sobór oraz wybór Franciszka na papieża, bo według niego jest nim dalej Benedykt XVI), ks. Tadeusz Guz (uważający protestantyzm za herezję), ks. Roman Kneblewski (tłumaczący, czym jest nacjonalizm i miłość do bliźniego).

Wszelkie wątpliwości rozwiało jednak prawie trzygodzinne nagranie pt. „Piękno tradycyjnej liturgii — konsekracja kościoła FSSPX" (20.08.2019) w Mediach Narodowych. Jest to rejestracja poświęcenia ołtarza i kaplicy w Szkole Podstawowej i Liceum św. Tomasza z Akwinu w Józefowie pod Warszawą z 28 maja 2019 roku. Dokonał tego hiszpański biskup Alfonso de Galarreta, wyświęcony na biskupa w 1988 r. przez samego Lefebvre'a. Co ciekawe jego święcenia biskupie odbyły się bez zgody Watykanu, za co Jan Paweł II nałożył na de Galarretę ekskomunikę (wykluczenie z Kościoła). Zniósł to dopiero Benedykt XVI w 2009 r. (według lefebrystów prawdziwy papież), lecz na Alfonso dalej spoczywa kara suspensy, polegająca m.in. na zakazie odprawiania mszy świętej.

Według Wielkiego Słownika Języka Polskiego sekta wyznaniowa to „grupa wyznaniowa stanowiąca odłam jakiejś religii". Czy Stowarzyszenie Marsz Niepodległości jest lefebrystycznym narodowo-katolickim odłamem chrześcijaństwa walczącym z „posoborowym matrixem"? A jeśli tak, to jak wielki wpływ będą mieć w przyszłych latach na polskie społeczeństwo, a przede wszystkim na młode osoby czerpiące wiedzę z czeluści Internetu? Czas pokaże. ★

Jest nadzieja?

Niepolityczne zapiski z podróży po Ukrainie (sierpień 2019 r.)

W kwietniu b.r. Ukraińcy wybrali nowego prezydenta. O dziwo — tym razem nie oligarchę (aczkolwiek osobę bardzo bogatą), który przedstawia siebie jako prawdziwy „sługa ludu". Mało kto pamięta, ale to hasło pojawiało się już na łamach „A-taku" w jednym z moich artykułów (2016, nr 2). Wtedy nikt nie podejrzewał, że popularny komik może zostać głową państwa. Już będąc w Kijowie, dowiedziałem się od mojego kolegi filmowca Igora, że podobno już wówczas we Włoszech (!) był przygotowywany polityczny projekt „Zełenski". Tę informację usłyszał od teściowej, zamożnej kobiety, związanej z handlem ropą i gazem. Jadąc na Ukrainę, byłem niezwykle ciekaw nastrojów społecznych oraz stosunku do nowego prezydenta, rokującego duże nadzieje na przyszłość.

Aleksander Łaniewski

Odessa

W przeddzień wyjazdu dowiaduję się o tragedii, która odbyła się w Odessie 17 sierpnia. Tej nocy w pożarze w tanim hotelu „Tokyo-Star" zginęło 9 osób. Właścicielem obiektu jest dobrze znany w mieście polityk i biznesmen Wadim Czornyj, niegdyś jeden z liderów kontrowersyjnej partii politycznej Związek Anarchistów Ukrainy. Następnego dnia nowy prezydent publicznie obarczył Czornego winą za pożar. Rzeczywiście nie tylko warunki mieszkaniowe, ale przede wszystkim warunki ochrony przeciwpożarowej w hotelu, który mieścił się w pomieszczeniach starej zajezdni tramwajowej, pozostawiały wiele do życzenia. Oczywiście nie był i nie jest to taki jedyny hotel ani w Odessie, ani w całej Ukrainie. O uchybieniach w systemie ochrony przeciwpożarowej w hotelu mówiono niejednokrotnie. Niestety zgniły i skorumpowany odeski biznes troszczy się wyłącznie o sprawny przepływ pieniędzy, ale nie o życie ludzkie. Czornyj nie przyznał się do winy, odmówił wypłaty odszkodowań rodzinom zmarłych. W tej chwili znajduje się w areszcie śledczym, nazywając swoje zatrzymanie „porwaniem", gdyż jest jednocześnie obywatelem USA.


Zaporoże

Pytam Wiktora, osobę po siedemdziesiątce, ojca mojego kolegi, w którego domu mieszkam, co sądzi o Zełenskim. Odpowiada, że całym sercem popiera nową władzę, jednocześnie nie przebierając w słowach w ocenie Poroszenki. Pamiętam, jak gorąco witał wygraną byłego prezydenta po Euromajdanie. Zresztą popiera każdą nową władzę (oprócz Janukowycza i wszystkiego, co jest związane z Kremlem). Mówi, że dotychczas nie stracił nadziei na zmiany. Dodaje jednak, że w jego licznej rodzinie nie wszyscy są tego samego zdania. Jego rodzeństwo, które od lat mieszka w krajach Europy Zachodniej, nie akceptuje nowej władzy. Brat oskarża Wiktora o zdradę Ukrainy, przestał się nawet do niego odzywać. Czyżby Zełenski podzieli ludzi jak Euromajdan? Patrzę na statystyki i rzeczywiście — większość Ukraińców mieszkających poza granicami kraju głosowała na Poroszenkę. Widocznie z daleka widać lepiej ceny produktów żywnościowych oraz to, ile kosztuje wojna na wschodzie.

Wieczorem spotykam się ze znajomymi: Paszą i Władem. Trzydziestoparolatkowie: jeden dentysta, drugi marynarz. Zgadzają się, że Poroszenko jest całkowicie skompromitowany. Pasza jest nastawiony proeuropejsko, Wład prorosyjko. Nie przeszkadza im to szczerze przyjaźnić się. Obydwoje jednak uważają, że nowej władzy brakuje doświadczenia i mechanizmów do przeprowadzenia zmian. Dodają jednak, że zmiany są wręcz niezbędne. Podobnie z niepewną nadzieją patrzy w przyszłość sąsiadka Wiktora Anna, wcześniej popierająca Janukowycza emerytka. Mówi, że akceptuje nową władzę, ale obawia się, że Ukraina stanie się uzależniona od grantów z USA.

Zaporoże

Pociąg z Odessy do Zaporoża jedzie aż 14 godzin. Kiedyś olbrzymi przemysłowy ośrodek mógłby się stać dobrym podłożem do powstania ruchu związkowego. Mieści się tu znana na cały ZSRR, a obecnie bankrutująca fabryka AwtoZAZ, czy jedna z największych w Europie hut stali Zaporiżstal, będąca zarazem olbrzymim źródłem zanieczyszczenia środowiska. Niestety rola związków zawodowych zarówno tu, jak i w innych miastach Ukrainy jest nikła. Bodajże ostatnią masową akcją w mieście stał się kilkutysięczny protest związkowców w maju 2011 r. spowodowany stałym zmniejszaniem miejsc pracy.

Owe proletariackie miasto jest słynne także z jednej najdłuższej w Europie ulicy. Około 11-kilometrowy Prospekt Sobornyj ciągnie się wzdłuż całego miasta, opierając się o słynną Dnieprzańską Elektrownię Wodną otwartą w 1932 r., wówczas największą w ZSRR. Niedaleko znajduje się tzw. Socmiasto, architektoniczny radziecki eksperyment modernistyczny z lat 30. XX w. Miejscowi aktywiści usiłują wpisać owe obrośnięte „kwiatami" dzikiej reklamy konstruktywistyczne budynki-komuny na listę zabytków UNESCO. Socrealizm sprawia wrażenie epoki początku lat 90. XX w. O wiele ładniej prezentuje się „kozacka" wyspa Hortyca. Mimo że na wyspie nigdy nie było słynnej Siczy Zaporoskiej, obecnie funkcjonuje tam cieszące się powodzeniem u turystów muzeum-rekonstrukcja. Dziwnie wygląda mit Hortycy (nawiasem mówiąc, tę samą nazwę nosi jedna z najlepszych ukraińskich wódek) budowany w tym proletariackim mieście. Śmieszna jest także sztucznie narzucona ukrainizacja Zaporoża. Jadąc autobusem, słyszę, jak pasażerowie śmieją się z kierowcy, który w surżyku (mieszanka języków ukraińskiego i rosyjskiego) prosi pasażerów, by odsunęli się od drzwi. Zresztą mieszkańcy miasta rozmawiają po rosyjsku, chociaż z południowo-wschodnim ukraińskim akcentem. Spacerując po Zaporożu, dowiaduję się od Anatolija, mojego przewodnika, że od kilku lat w mieście trwa dekomunizacja. Mimo że zmieniono nazwy ponad 100 ulic, w mieście wciąż jest sporo reliefów sierpów i młotów. Anatolij oburza się na niepRzemyślane działania władzy, podając przykład ul. Feliksa Mowczanowskiego, prezydenta miasta za czasów carskiej Rosji, która powstała w miejsce ul. Iwana Kopionkina, młodego partyzanta i bohatera ZSRR. Ten funkcjonariusz NKWD, według Anatolija, nie uczestniczył w represjach i zginął w walkach z nazistami, zatem zasługuje na pamięć. Dodaje, że zabytki jednak niszczeją, na historycznych budynkach brakuje tablic informacyjnych, w tym na gmachach mennonitów, dość licznej tu niegdyś religijnej grupy anabaptystów. Co ciekawe, właśnie tu w 1910 r. nauczyciel jednej ze szkół mennonitów Piotr Buzuk założył Chortyckie Towarzystwo Ochrony Przyrody. Była to bodajże pierwsza organizacja ekologiczna w Imperium Rosyjskim.

Kijów

Z Zaporoża trafiam do Kijowa, akurat z samego rana w Dzień Niepodległości. Stolica Ukrainy — mimo rozmiarów — wygląda na dość przytulne europejskie miasto. O wiele przyjemniejsze niż Mińsk czy Moskwa. Pracownicy sklepów i lokali są życzliwi i kulturalni. Przemierzając miasto, spotykam oficjalny wielotysięczny przemarsz. Mnóstwo flag narodowych przy naprawdę znikomej i niezauważalnej ilości nacjonalistycznych czarno-czerwonych sztandarów. Wojskowi z medalami na mundurach, smutne, ale pełne honoru matki i żony niosące portrety zabitych mężów i synów, uśmiechnięte rodziny ubrane w wyszywanki, prezydent niewspominający w swoim przemówieniu ani razu o Rosji... W powietrzu czuje się podniecenie i powszechny świąteczny nastrój. Przypominam sobie 11 listopada i uświadamiam sobie, że obchody tych dwóch „niepodległości" leżą w zupełnie różnych płaszczyznach. W Kijowie nie słyszę żadnych szowinistycznych haseł, nie widzę agresji. Mimo że jest mi obcy każdy patriotyzm, zdecydowanie wolę takie „świętowanie" niż bachanalia polskich narodowców.

Następnego dnia spotykam starych znajomych, wypytując ich o stosunek do ostatnich wydarzeń. Żenia, pracownik branży IT, mówi, że popiera prezydenta. Pytam się go czy wie, czym jest libertarianizm, którego doktrynę jako drogowskaz nowej władzy ogłosił Rusłan Stefańczuk, główny ideolog partii Sługa Ludu. Żenia popiera libertarianizm i jest jedną z niewielu osób, która mniej więcej wie, na czym polega ta filozofia polityczna. Aczkolwiek dodaje, że na pewno chce wyjechać „dotąd". Pytam: „Dokąd?" Dotąd — do Europy, Australii, Kanady. Rozmawiamy o polityce. Moja dawna znajoma Masza, zamożna i wykształcona młoda kobieta, nie popiera Zełenskiego. Pytam, czy lepsi są ci, których dwulicowość pozwala wy-


Zaporoże - Sicz

syłać własne dzieci na naukę zagranicę, wrzeszcząc z pianą na ustach o swoim patriotyzmie. Według niej politycy mają całkowite prawo to robić. Zdziwiony pytam, czyż właśnie nie politycy powinni własnym przykładem wspierać ukraińską oświatę czy też gospodarkę, a nie prowadzić biznesy i posiadać nieruchomości za granicą? Obuгza się. Uważa to za ograniczanie wolności. Jest z innego świata. Świata bogatych.

Spacerując po Gołosiejewskim parku, największym w Kijowie, rozmawiam ze znajomym białoruskim opozycjonistą, który opowiada mi o tym, że na Ukrainie po 2014 r. nadal trwa stosunkowa wolność i przyjemny chaos. Można łatwo się ukryć, pracować i podróżować bez dokumentów, pozostając przy tym poza zasięgiem państwa. Wskazując na samochód terenowy z logo partii nacjonalistów Korpus Narodowy (utworzony na bazie pułku Azow), opowiada, że radykalne grupy prawicowe, biorące udział w „rewolucji godności" i działaniach zbrojnych, obecnie są sformalizowane w mocne struktury partyjne, mają zaplecze finansowe i organizacyjne. W trakcie rozmowy spotykamy mnicha-pustelnika Sergija, który wybudował w parku ołtarze, rozwiesił obrazy i spędza tam sporo czasu w obecności gromady psów. Kiedy dowiaduje się, skąd jestem, od razu mówi, że Łukaszenko jest złym człowiekiem. Według niego wszyscy politycy i celebryci, to bioroboty, którzy należą do ciemnej strony i koniec końców przegrają. Prognozuje, że globalna katastrofa społeczna czy ekologiczna wybuchnie za około 4 lata. Czyżby ten dziwak, w którego oczach nie zauważyłem żadnego obłąkania, miał rację?

Wieczorem przypadkowo napotykamy uliczną wystawę „Faktor Wolności". Jak się okazało była to bodajże ostatnia inicjatywa znanego ze swych nacjonalistycznych sympatii Wołodymyra Wiatrowycza, który za miesiąc zostanie zwolniony z posady dyrektora ukraińskiego IPN. Wystawa w samym sercu miasta na Chreszczatyku nawiązywała do trójki „twórców" państwa ukraińskiego: Iwana Mazepy, Symona Petlury i Stepana Bandery i obrazowała ich możliwy wizerunek w sieciach społecznościowych. Ot, taka młodzieżowa wersja nacjonalizmu.

Sadowe

Kolejnym moim przystankiem była wieś Sadowe, w której mieszka rodzina mojej koleżanki. Po obfitym we wszystkie wygody cywilizacyjne Kijowie trafiłem do miejscowości z końca lat 90. XX w. Mimo że wieś leży na trasie pomiędzy Chmielnickim a Winnicą, wizytówką regionu jest bezdroże. Jechałem tą trasą 10 lat temu i nic się nie zmieniło, a raczej się pogorszyło. Nocuję u Lidy, samotnej matki koło czterdziestki, która wraz ze swoją matką utrzymuje się z gospodarstwa, mają 4 krowy. Tylko one ratują rodzinę. Pracy w okolicy prawie nie ma, jak już jest to płacą mało. Lida pracuje jako pielęgniarka w Derażni, najbliższym większym mieście. Opowiada, że dookoła jednak rozwija się rolnictwo — bogatsi farmerzy wykupili mnóstwo pól, na których m.in. uprawiają soję i jabłka. Dodaje także, że z powodu stanu dróg opłacało im się wybudować lądowisko dla helikoptera, żeby nie niszczyć własnych aut i nerwów. Dookoła obserwuję zapaść i biedę, sklepów i zakładów z czasów radzieckich. Pytam, czy tu lokalna władza jest bliżej ludzi niż w mieście? Lida wyjaśnia, że chodziła do jednej klasy z wójtem. Podczas ostatnich wyborów wygrał mroczne pustostany dzięki internetowej kampanii reklamowej i młodzieży, która uwierzyła, że coś tu zmieni. Później oświadczył, że w polityce był dla zabawy. W wyniku tego żadnych realnych osiągnięć nie miał, ożenił się z córką prokuratora z sąsiedniego miasta i o Sadowem zapomniał. Nie zapomina jednak o ludziach państwo. W Derażni zauważam baner z apelem o wsparcie miejscowych oddziałów wojska w ATO. Czyżby nadal brakowało pieniędzy na wojsko? Najwidoczniej brakuje i nie tylko na wojsko. Idziemy na cmentarz, porośnięty i zrujnowany. Po Euromajdanie obiecano nam, że cmentarz uporządkują, opowiada Lida. Wówczas we wsi panował wielki entuzjazm. Mnóstwo osób samodzielnie zaczęło się organizować, sprzątać i porządkować cmentarz. Ludzie gotowi byli sami pracować, brakowało tylko środków. Szybko entuzjazm minął. Władza zapomniała o zmarłych. Czemu się dziwić, jak i o żywych nie chce pamiętać. Wypytuję o nastroje polityczne wśród mieszkańców. Dowiaduję się, że Lida była w komisji wyborczej, a przed tym chodziła po domach agitować i zbierać podpisy popierające Poroszenkę. Większość ludzi wyprowadzała ją z domu. Co ciekawe, za zbiórkę podpisów otrzymała jakieś 300 hrywien, zamiast obiecanych 1000. Ponadto wykluczono ją z komisji, gdyż nie uzbierała potrzebnej sztabowi wyborczemu ilości podpisów. Tyle kosztują głosy wyborcze na wsi. Opuszczając Sadowe, zastanawiam się, czy dzisiaj ukraińska wieś jest w stanie zbuntować się jak za czasów Nestora Machny?

Nadzieja?

Wracam do Odessy. Tego wieczoru odbywa się pierwsze posiedzenie nowej Rady Najwyższej Ukrainy (RN). Dla Wiktora to ważne wydarzenie, które monitoruje do późnej nocy. Postanawiam przez chwilę przyjrzeć się temu show. Prawie same nowe twarze w gabinecie ministrów. Pozostali bodajże najważniejsi: minister finansów Oksana Markarowa i minister spraw wewnętrznych Arsen Awakow (podobno kontrolujący prawicowe bojówki). Nowy premier — mój rówieśnik. Czyżbym stracił swoją szansę zostać kimś ważnym? Głosowanie w sprawie zniesienia parlamentarzystom immunitetu. Nie wierzę — uchwalili projekt. Szczerze się raduję, ale co to oznacza w praktyce? W praktyce to wygląda w ten sposób, że wciąż w Kodeksie Postępowania Karnego Ukrainy istnieje zapis o tym, że deputowanego nie można ani przeszukać, ani zastosować wobec niego podsłuchu bez pozwolenia RN. Wtedy o tym jeszcze nie wiedziałem ani o tym, że owe zmiany zostaną zablokowane na posiedzeniu RN 19 września.

W nocy napotykam wiadomość o tym, że z Rosją ustalono wreszcie wymianę więźniów. Sencow, Kolczenko... razem 35 osób. Następnego dnia z samego rana monitoruję wiadomości, okazuje się, że sprawa rozstrzygnie się we wrześniu. Do wymiany dojdzie za tydzień. I dobrze. Czy ten fakt budzi nadzieje na zmiany? Nadzieja jest dobrym śniadaniem, ale złą kolacją, jak powiadał Francis Bacon. W briefingu z premierem Izraela Binjaminem Netanjachu głowa państwa podkreśliła, że Ukraina w sprawach wojny i obrony może dużo się nauczyć od Izraela. Chyba nie miał na myśli terroru wobec Palestyńczyków? W rozmowie z Erdoganem natomiast nazwał Turcję „szczerym przyjacielem" Ukrainy. Podziękował również za to, że prezydent Turcji ma odwagę nazywać okupację Krymu po imieniu. Szkoda, że nie zapytał o to, jak mamy nazwać militarno-polityczne działania Erdogana wobec Kurdów? Czyżby nie wiedział o tym i o innych permanentnych przestępstwach tureckiego reżimu? Zełenski na pewno nie należy do głupków. Polityka jednak zawsze była, jest i pozostanie brudną rzeką pełną hipokryzji. Niestety nowy prezydent Ukrainy zanurza się w niej coraz głębiej. ★

Demonstracje w cieniu algorytmów

Niemal dwa miliony protestujących na ulicach muszą budzić obawy każdego rządu, nawet tak silnej dyktatury, jak chińska. Co jednak w przypadku, kiedy władza posiada techniczną możliwość, aby dowolną osobę z tego tłumu rozpoznać, skatalogować i poddać represjom? Jak bardzo nowe technologie utrudniają społeczne protesty, przekonują się właśnie mieszkańcy Hongkongu.

Krzysztof Wasilewski

Przeciwko łamaniu praw autonomii

U źródeł wybuchu powszechnego niezadowolenia znajduje się projekt ustawy, zgodnie z którą podejrzani o różnego rodzaju przestępstwa podlegaliby ekstradycji do Chin. Dla większości mieszkańców tej byłej brytyjskiej kolonii wizja komunistycznego więzienia pod byle pretekstem stała się nagle niepokojąco realna. W rzeczywistości jednak ich rozgoryczenie kumulowało się już od wielu lat. Kiedy prezydent — obecnie dożywotni przywódca — Chińskiej Republiki Ludowej Xi Jinping rozpoczął proces konsolidacji władzy w swoich rękach, nikt nie miał wątpliwości, że jego żelazny uścisk dosięgnie także Hongkongu. Od tego czasu Pekin sukcesywnie rozmontowuje mechanizm autonomii, który miał obowiązywać co najmniej do 2047 r.



Pierwsze protesty miały miejsce w marcu i kwietniu 2019 r., by w kolejnych miesiącach przerodzić się w masowy bunt. Media podały, że 16 czerwca na ulice wyszło niemal 340 tys. osób. Dwa miesiące później było to już ponad 1,8 mln, czyli jedna trzecia całej populacji Hongkongu. Żywy łańcuch, który demonstranci utworzyli 18 sierpnia, miał długość 50 km. Z czasem wśród podnoszonych postulatów pojawiły się nowe, bardziej radykalne, bo odnoszące się do podstawowych zasad demokracji i praw człowieka. W ten sposób bunt trwał i trwa nadal, mimo że władze najpierw zawiesiły prace nad ustawą ekstradycyjną, a następnie całkowicie z niej się wycofały.

Ani władze lokalne, ani tym bardziej Pekin nie miały zamiaru biernie przyglądać się przybierającym na sile protestom. Jak bowiem dowodzi historia, niezależnie od czasu i miejsca, masowe wystąpienia potrafią wywrócić każdy system polityczny, zwłaszcza taki, który opiera się na przymusie i strachu. Od początku więc policja dostała zielone światło do stosowania przemocy w takiej formie i zakresie, jakie uzna za stosowne. Wokół miasta zaczęto zaś gromadzić jednostki wojskowe, gotowe, aby wkroczyć do Hongkongu w dowolnej chwili. Do początku października w wyniku starć z siłami porządkowymi zostało rannych ponad dwa tysiące osób. Jeszcze więcej zostało aresztowanych, a los części z nich do tej pory pozostaje nieznany. Na znak protestu wobec polityki Pekinu, ośmioro protestujących odebrało sobie życie.

Wielki Brat *made in China*

Liczba i opór protestujących budzi podziw i uznanie, lecz nie jest to jedyny powód, dla którego warto bliżej przyjrzeć się sytuacji w Hongkongu. Obecnie bowiem Chiny znajdują się w czołówce państw, które masowo wykorzystują technologie cyfrowe do inwigilacji swoich obywateli. Niespełna rok temu komunistyczne władze uruchomiły powszechny System Zaufania Społecznego. Można go porównać do gry, w której za dobre uczynki otrzymujemy dodatkowe punkty, zaś za złamanie reguł czeka nas kara. Śmiecenie na ulicy, przemoc, a zwłaszcza krytyka władz oznacza punkty ujemne, co w konsekwencji może prowadzić do zwolnienia z pracy lub wyrzucenia ze studiów. Z kolei zachowanie zgodne z oczekiwaniami partii pozwala na szybsze otrzymanie paszportu czy awans.

Według dostępnych danych, w 2018 r. w całych Chinach działało ponad 200 mln kamer, służących do nieustannej inwigilacji 1,4 mld obywateli. Już teraz w kluczowych miastach na tysiąc mieszkańców przypada rekordowa liczba 170 kamer, zaś do 2020 roku stosunek ten ma wynosić jeden do dwóch. Nic zatem dziwnego, że w ciągu pierwszych miesięcy działania systemu, w specjalnej bazie danych znalazło się ponad 20 mln osób i przedsiębiorstw. Jak podają media, „osoby prywatne z czarnej listy ukarano m.in. pozbawieniem możliwości kupienia biletów lotniczych, a prawie 5,5 mln osób — również biletów na kolej wysokich prędkości. Inne szykany to zakaz kupowania niektórych ubezpieczeń, usług i nieruchomości. Osoby te muszą również liczyć się z faktem, że czarne listy są publicznie dostępne".

Powodzenie Systemu Zaufania Społecznego opiera się na technologii rozpoznawania twarzy. Według chińskich mediów wykorzystywane przez władze oprogramowanie i urządzenia pozwalają na wskazanie każdej osoby z niemal stuprocentową (99,8%) skutecznością. Jak doskonały jest to system, przekonał się na własnej skórze pewien korespondent BBC, kiedy w liczącym 3,3 mln mieszkańców Guiyangu władze zdołały go rozpoznać i zlokalizować w mniej niż siedem minut. Dodatkowo chińscy obywatele muszą instalować w swoich telefonach specjalne aplikacje pozwalające służbom na całkowitą inwigilację zawartości urządzeń i prowadzonych rozmów. Co więcej, działające w Chinach przedsiębiorstwa, np. popularny także w Polsce serwis Alibaba, mają obowiązek przekazywania władzom wybranych informacji o swoich klientach. Dzięki temu wiadomo, kto ile czasu spędza, grając — im dłużej, tym większa szansa, aby zostać uznanym za „osobę leniwą" — a kto np. kupuje wartościowe (z punktu widzenia partii komunistycznej) książki, zyskując tym samym dodatkowe punkty.

Anonimowość na wagę złota

Czy zatem w sytuacji totalnej inwigilacji jakikolwiek opór jest możliwy? Większość z ponad 2,5 tys. osób, aresztowanych w Hongkongu, trafiło do aresztu nie bezpośrednio z ulicy, lecz zostało zidentyfikowanych i zlokalizowanych przez system kamer i algorytmów już po zamieszkach. „Kto potrzebuje cenzury, kiedy system rozpoznawania twarzy sprawia, że sami siebie zaczynamy cenzurować?" — pytał niedawno brytyjski publicysta i architekt Owen Hopkins. Sami protestujący na różne sposoby próbują ukryć swoją tożsamość: zamazując sprayem kamery, kierując na nie laserowe wskaźniki czy po prostu zakrywając swoją twarz. To ostatnie rozwiązanie jest jednak ryzykowne, zważywszy, że technologia pozwala na identyfikację m.in. po elementach ubioru czy innych cechach charakterystycznych.

O ile protestujący nie mogą liczyć na anonimowość, o tyle policja i służby porządkowe pozostają bezkarne. W rezultacie rośnie ich brutalność — w październiku po raz pierwszy użyto wobec demonstrantów broni palnej. Groteskowe i przerażające jest tu więc zestawienie tysięcy kamer i nowoczesnych algorytmów z osobami nimi zarządzającymi, odwracającymi wzrok od jawnego łamania prawa przez „stróżów porządku". Czasami jednak system stworzony do kontroli społeczeństwa obraca się przeciwko jego nadzorcom. Tak też bywa w Hongkongu. Skoro oficjalne skargi nie pomagają, protestujący sami fotografują i filmują brutalnych funkcjonariuszy, a następnie wrzucają nagrania do internetu. Dzięki temu każdy policjant wie, że nie pozostaje anonimowy, nawet jeśli schował — za namową i zgodą przełożonych — identyfikator i odznakę.

Na długo przed upowszechnieniem internetu, Neil Postman, autor słynnego Technopolu, zauważył, że „nowe technologie zmieniają strukturę naszych zainteresowań: sprawy, o których myślimy. Zmieniają charakter naszych symboli: nasze narzędzia myślenia. Zmieniają też naturę naszej społeczności: arenę, na której rozwija się nasza myśl". Dziś zapewne dodałby, że nowe technologie zmieniają także sposób, w jaki protestujemy. Państwo otrzymało niezwykle skuteczne narzędzie do kontroli i zniewolenia społeczeństwa. Za sprawą algorytmów i systemów identyfikacji walka z władzą stała się trudniejsza niż do tej pory, ale czy zupełnie niemożliwa? Odpowiedzi trzeba szukać już dzisiaj na ulicach Hongkongu. ★

Spółdzielnia Socjalna Czarna Galicja

Anarchizm jest często utożsamiany z utopią, a co za tym idzie z teoretyzowaniem. Jednak dla wielu osób w ruchu anarchistycznym to praktyka jest podstawowym celem działalności. Jednym z takich przykładów jest istniejąca w Rzeszowie od listopada 2018 roku Spółdzielnia Socjalna Czarna Galicja, z której kolektywem przeprowadziliśmy wywiad.

A-TAK: Dlaczego spółdzielnia a nie etat w korporacji?

Kolektyw SSCG: Z wielu powodów. Pierwszy powód jest taki, że spółdzielczość umożliwia w kapitalistycznych realiach start grupie osób, które nie mają szans na duży wkład finansowy przy rozpoczęciu działalności, ale za to posiadają umiejętności czy fach i własne narzędzia. Drugi powód to lata znajomości i częste przebywanie ze sobą (wspólne akcje i inicjatywy) uczyniły z nas osoby sobie bliskie, a to był podatny grunt na taki rodzaj działalności. Trzeci powód — jako anarchiści uważamy, że spółdzielczość jest najlepszym środkiem zarządzania zasobami ludzkimi i przedsiębiorczością; chcieliśmy to pokazać w praktyce. Ostatnim powodem jest chęć odczarowania złego odbioru społecznego, jaki został przyklejony idei spółdzielczości w XX wieku po latach realnego socjalizmu w Polsce. W korporacji bylibyśmy piątą kolumną. W Spółdzielni możemy robić coś pożytecznego dla otoczenia, a zarazem budować dla siebie przestrzeń — tak obok kapitalizmu, jak to tylko możliwe. Można też na to spojrzeć z punktu widzenia ekonomii społecznej, bo spółdzielczość to droga do zmiany sytuacji w krwiożerczym kapitalizmie.

Z jakimi reakcjami spotykacie się, kiedy mówicie ludziom, że zamiast pracować u kapitalisty, jesteście członkami spółdzielni?

Ogólnie z bardzo dobrymi. Niektórzy kojarzą co nieco w temacie spółdzielczości, a reszta pyta: „Ale jak to, bez szefów? A to tak można?!" — my wtedy opowiadamy, na jakich zasadach działa spółdzielczość; to jest moment szczerości wobec „klienta". Warto jednak zaznaczyć, że czasem zdarzają się trudne sytuacje, ale mimo wszystko idziemy do przodu wbrew przeciwnościom, żeby każdy z nas był i trwał, i w miarę możliwości pomagał sobie.

Jakiego rodzaju pracę wykonujecie i jaki macie podział obowiązków?

W Spółdzielni Socjalnej Czarna Galicja spotykają się osoby o wielu zaskakujących talentach. Wykonujemy głównie prace remontowe, ogrodowe, wysokościowe, a także sprzątanie. Oprócz tego równolegle robimy wyceny, kosztorysy i ogarniamy urzędowe sprawy. Jeśli chodzi o podział obowiązków, to niepisaną zasadą jest, że każdy uczy każdego. Dzięki temu staramy się zachować „poziome zarządzanie".

Dlaczego ktoś, kto ma do zrobienia np. remont, powinien zatrudnić Spółdzielnię, a nie zwykłą firmę?

Większość ludzi interesuje cena. Nasze ceny są bardzo dobre, ale to w zasadzie nie o to chodzi. Na rynku usług dominuje fałszywa uprzejmość, lizusostwo i brutalność. Wszyscy czują, że ktoś chce ich oszukać. My dla odmiany jesteśmy dajemy z siebie wiele. To może zabrzmi śmiesznie, ale nie trzeba po nas wywozić butelek... Łatwo nas polubić, a wykonana przez nas praca cieszy oko, bo jest porządnie zrobiona.

A czym jest dla was spółdzielczość?

W myśleniu Czarnej Galicji są to przyjaźń, pomoc wzajemna i antykapitalizm, chęć przetrwania na jak najbardziej ludzkich warunkach. Organizacja pracy w ramach Spółdzielni jest też sposobem tworzenia codzienności — jeśli nie poza, to przynajmniej na obrzeżach panującej ideologii, jakkolwiek byśmy jej nie nazwali. Ten dystans czy choćby minimalne odklejenie się od bezwzględności, bylejakości i okrucieństwa z jakimi spotyka się na co dzień klasa pracująca, pozwala odzyskać jakąś część życia, która w domyślnych scenariuszach życiowych jest z założenia oddana kapitałowi.

Jakie macie plany na przyszłość?

Przede wszystkim, aby Spółdzielnia przetrwała. Kolejna sprawa to usystematyzowanie ciągłości prac — ta kwestia jest bardzo ważna, bo na obecną chwilę dużo czasu i energii pochłaniają szukanie i wycena zleceń. Pozwoliłoby to nam na większe zaangażowanie w aktywizm, wydarzenia kulturalne itd. Cała idea Spółdzielni Socjalnej Czarna Galicja jest też taka: nieważne co robisz, tylko z kim to robisz. A w dłuższej perspektywie chcemy oczywiście zastąpić kapitalizm czymś ludzkim i użytecznym.

Rozmawiał Kapitan Flint



Kontakt ze Spółdzielnią Socjalną Czarna Galicja:
tel.: 508510500
e-mail: spoldzielnia.czarnagalicja@gmail.com
facebook: czarnagalicja

Zły akord

Etat w sklepie muzycznym miał być pracą marzeń. Pracą, że się tak wyrażę, elitarną, bo chociaż sklepów z instrumentami i przeróżnymi akcesoriami muzycznymi trochę w Polsce jest, to nie są one fabrykami zatrudniającymi setki osób, ale miejscami, w których pracują po dwie lub trzy osoby. Szybko jednak okazało się, że moja pasja i podejście do klienta — wbrew naiwnym oczekiwaniom — miały się nijak w porównaniu do planów sprzedażowych, które nawet gdy zostały spełnione, przysparzały wielu kłopotów.

Pracownik Nieetatowy

Rozmowa rekrutacyjna do firmy — nazwijmy ją umownie — Akord była dość prosta i dzieliła się na dwa etapy. Pierwszym było udanie się do jednej z placówek firmy i pokazanie pracownikom, że umie się opowiadać o tym, do czego służą różnego rodzaju akcesoria. Drugim etapem była wideorozmowa z rekruterką. Mając już pewne doświadczenie w tego typu rozmowach, odpowiadałem śmiało. Na pytanie: „Gdzie widzi się pan za pięć lat?", odpowiedziałem: „Na miejscu pani szefa". Dostałem umowę o pracę na pełen etat (dotychczas mój jedyny w życiu), jednak z trzymiesięcznym okresem próbnym.

Intro (miesiąc pierwszy)

Od początku zwracano mi uwagę, żeby nie używać słowa „sklep", bo obniża to prestiż miejsca, i mówić, że pracuje się w „salonie". Ten zabieg był jednym z elementów języka wartości, którego uczy się sprzedawców na całym świecie.

Sprzętu muzycznego było bardzo dużo, m.in. gitary (akustyczne, klasyczne, elektryczne, przestery i efekty cyfrowe), perkusje (w tym bębny, talerze, werble, stopy, naciągi i pałeczki do gry), klawisze elektryczne i pianina, a także trąbki, skrzypce, harmonijki itd., plus oczywiście to wszystko w różnych przedziałach cenowych i należące do różnych marek. Żeby dobrze zapoznać się z tym wyposażeniem — tzn. wiedzieć nie tylko to, że ono w ogóle jest, ale też jakie ono jest — trzeba by spędzić przynajmniej tydzień, który można by po prostu nazwać okresem szkoleniowym. Wydaje mi się jednak, że nie dostałem nawet jednego pełnego dnia. „Sprzęt będziesz poznawał w wolnej chwili", powiedział mi kierownik. Pracę zacząłem od remanentu, czyli sprawdzenia faktycznej ilości towarów znajdujących się w naszym oddziale Akordu. Niektóre rzeczy widziałem wówczas pierwszy i ostatni raz. Zajęło nam to jakieś dwa dni, podczas których kierownik oraz drugi pracownik w międzyczasie obsługiwali klientów.

W następnych dniach zaczęła się już, jak mi się wydawało, normalna praca — ogółem po osiem godzin dziennie (czasem tzw. połówki), w sobotę nieco krócej. Klienci przychodzili do nas o różnych godzinach i z różnym natężeniem. Myślałem więc, że w obiecanej przez kierownika „wolnej chwili" będę mógł wypróbowywać sprzęt. Kiedy jednak zaczynałem to robić, wynajdowano mi różne inne zajęcia, np. miałem zrobić porządek na zapleczu, wyrzucić śmieci, zmyć podłogę, umyć kibel... To ostatnie miałem zrobić, ponieważ byłem w tej pracy nowy; zapewniono mnie, że każdy ma swoją kolej na sprzątanie. W kolejnym tygodniu musiałem znów uśmiechać się do ubikacji, bo drugi pracownik (dobry kolega mojego przełożonego), który miał mieć dyżur, był czymś zajęty... „No, sorry, jesteś nowy", usłyszałem znów od kierownika. Coś jednak w tym czasie sprzedawałem. Był to okres przedświąteczny, więc w połowie miesiąca klientów było co niemiara. Pytali o sprzęt, szukali porady, miałem zatem okazję, żeby trochę pograć.

Outro (miesiąc drugi i ostatni)

Zaczął się nowy rok, który bardzo miło mnie zaskoczył. Okazało się, że — nie będąc o tym wcześniej poinformowanym — zrealizowałem jeden z planów sprzedażowych Akordu, otrzymując tym samym ponad czterysta złotych nagrody. Sukces ów był o tyle niezwykły, że osiągnąłem 300% normy! Chodziło o sprzedaż gitary, na którą był plan „jedna sztuka miesięcznie", a pozostali pracownicy przez długi czas nie osiągnęli nawet minimum. Wszystko super, prawda? Powinni zbić ze mną piątkę i w końcu przyjąć do drużyny? Nic z tych rzeczy...

Z dnia na dzień odczuwałem ich rosnącą niechęć wobec mnie. Jednego dnia usłyszałem od kierownika, że za wolno chodzę: „Może jesteś chory? Idź się zbadaj, bo wiesz, do klientów trzeba szybko podbiegać, a ty się ociągasz". Innego dnia na zapleczu zastałem zaśmiecony kącik socjalny — pudełko po pizzy i stolik ubrudzony keczupem; poprzedniego dnia musiałem wcześniej wyjść i moi „koledzy" z pracy zostali na dwie godziny sami. Zostawiłem to i zająłem się swoimi sprawami. W pewnym momencie usłyszałem od kierownika, iż jest bardzo oburzony moim zachowaniem: „Jeśli masz dyżur, to sprzątasz wszystko!". Odpowiedziałem, że to przecież ich śmieci z poprzedniego dni, ale dowiedziałem się tylko, że nie powinienem podważać poleceń przełożonego. Było to nic innego jak stosowanie wobec mnie mobbingu. Tylko z jakiego powodu?

Po tej sytuacji podjąłem decyzję o rezygnacji z pracy. Złożyłem wypowiedzenie, które zostało przyjęte, lecz później okazało się, że data zakończenia pracy nie do końca się zgadzała. Dziś już dobrze nie pamiętam (wydarzenia te miały miejsce kilka lat temu), ale kierownik uznał chyba, że nie mogę przestać pracować w środku tygodnia, czy coś w tym stylu, i przeciągnął ten czas aż do weekendu, kiedy to w sobotę wypadał ostatni dzień miesiąca. Jak się okazało, tego dnia — jak również następnego, czyli w niedzielę, która zawsze była wolna — mieliśmy robić remanent. Zapytałem, dlaczego nie będą tego robić z nowym pracownikiem, tak jak było w moim przypadku. Usłyszałem: „Nowy przechodzi jeszcze proces rekrutacyjny, a tak w ogóle to musimy jeszcze sprawdzić, czy nic nie zniknęło w czasie, gdy z nami pracowałeś". Wyczułem w tym wszystkim podstęp, ale nie mogłem nic zrobić, ponieważ od niedzieli miałem już zaplanowany urlop poza miastem, opłaciłem nocleg itd. Kierownik o tym wiedział... Okazało się oczywiście, że czegoś na stanie sklepu brakowało. Pensję dostałem dużo mniejszą — jak teraz, tak na oko, na to patrzę, to odjęta suma była podobna do mojej wcześniejszej nagrody... A nowym pracownikiem został kolega kierownika.

★

Jakie wnioski płynął z tej historii?

Po pierwsze, nawet umowa o pracę i wszystkie jej obwarowania nie uchronią pracownika przed zwykłymi międzyludzkimi problemami. Później od znajomych wielokrotnie słyszałem, że trzeba było mobbing zgłosić dyrektorowi regionalnemu (przy okazji — kolejnemu kumplowi kierownika). Wyobrażacie sobie, jak wtedy wyglądałaby moja praca w Akordzie?

Po drugie, plany sprzedażowe, o których dla jasności wywodu nie wspominałem zbyt dużo, prowadzą do wyścigu szczurów, tak uwielbianego przez kapitalistów. Jadnak, jak było w moim przypadku, realizacja planu, który przecież na zdrowy rozsądek daje więcej punktów dla danej placówki, może spowodować niesnaski wśród pracowników. Z drugiej strony, o czym również warto wspomnieć, plany te są często narzucane uznaniowo przez kierownictwo (regionalne i ogólnopolskie). W jednym miesiącu zarobiłeś sto tysięcy? To w następnym na pewno też dasz radę, a nie ważne, że wtedy był bardziej sprzyjający czas.

Co ciekawe, mój przypadek nie był odosobniony. Poznałem pracowników innych „salonów" Akordu w Polsce. Jeden się z nimi sądził, inny wręcz zdychał od upału w nieklimatyzowanym pomieszczeniu, bo oszczędzali na rachunkach za prąd. Kiedy po trzech latach zażądał podwyżki (miał świetnie zrealizowane plany sprzedażowe!), grożąc, że się zwolni, zatrudniono nowego pracownika. ★



Autor: Pablo

Siła i opinia

Część druga, czyli o tym, dlaczego (niektórzy) marksiści nie przepadają za Chomskym

Wydawnictwo Książka i Prasa w 2018 roku wydało esej Noama Chomsky'ego „Siła i opinia". W „Posłowiu" Zbigniew Kowalewski stawia amerykańskiemu anarchiście i językoznawcy wiele zarzutów o różnym charakterze. Między innymi, że w swoim tekście mylnie interpretuje on sukces ruchów społecznych w krajach Europy środkowowschodniej. Uwolnienie się spod dominacji Kremla miał bowiem autor eseju uzależnić od wyprowadzenia wojsk radzieckich stacjonujących na terenie państw tego regionu. W poprzednim numerze „A-Taku" wyjaśniłem, że wbrew temu, co twierdzi Zbigniew Kowalewski, Chomsky w „Sile i opinii" tak tego problemu nie stawia. Błąd Kowalewskiego wynikał przede wszystkim z niedokładnego tłumaczenia. Z drugiej strony jednak daje się też zauważyć w tej krytyce niedocenienie roli radzieckich baz wojskowych w utrzymaniu przy władzy lokalnych reżimów komunistycznych.

Jarosław Urbański

Starcie paradygmatów

W „Posłowiu" Kowalewski poddaje szerokiej krytyce dorobek intelektualny i postawę polityczną Chomsky'ego — bez wyraźnego związku z wydanym esejem. Spróbuję te zarzuty streścić. Jak wiadomo, Chomsky uważany jest za jednego z najwybitniejszych i najbardziej rozpoznawalnych językoznawców na świecie. Między innymi z tego powodu jego poglądy polityczne znajdują posłuch i są powszechnie komentowane. Wydaje się on zdawać z tego sprawę i wykorzystuje swój autorytet naukowy dla głoszenia niepopularnych opinii i anarchistycznych sympatii. Aby zdeprecjonować pozycję Chomsky'ego Kowalewski postanowił wykazać, iż za naukową karierą językoznawcy stoją wrogie siły i nieczyste intencje. Pisze, że Chomsky, aby przeforsować swoją teorię, brutalnie zaatakował dotychczasowy dorobek i narzucił swój punkt widzenia. On i jego najbliżsi współpracownicy mieli nazywać „gównem to, co ktokolwiek zrobił przed nimi" (s. 78), traktować innych naukowców jak wrogów, regularnie dążyć do „rozlewu krwi", urządzając nie debaty, ale „ostentacyjne, publiczne demolki", itd. (s. 77). Liczba epitetów, które potrafi przytoczyć w tym kontekście Kowalewski, jest naprawdę imponująca. Co więcej, w celu dokonania „przewrotu" Chomsky miał wykorzystać: (1) atmosferę związaną z rozpętaniem w Stanach Zjednoczonych po II wojnie światowej „czerwonej histerii"; (2) pieniądze Pentagonu, dzięki którym mógł prowadzić swoje badania; (3) a później także swoją dominującą pozycję na MIT (Massachusetts Institute of Technology) — gdy została ona już dostatecznie ugruntowana — tłumiąc wszelką naukową opozycję.

Ze wzburzenia na temat tego, jak Chomsky doszedł do naukowej dominacji, mogłoby wynikać iż Kowalewski ma jakieś wyidealizowane i z gruntu tak naprawdę nie-Marksowskie podejście do roli nauki w społeczeństwie. Od czasów Thomasa Kuhna i jego „Struktury rewolucji naukowych" upowszechnił się pogląd, że nauka nie rozwija się w sposób „demokratyczny", niezakłócony, liniowo i bez związku z kontekstem społecznym. Kuhn twierdzi, że każda teoria naukowa, która przestaje tłumaczyć nowe ustalenia empiryczne, a w zamian konstruuje coraz bardziej zawiłe wyjaśnienia, zakłada istnienie rosnącej liczby wyjątków, odstępstw i niewiadomych, zostaje — prędzej czy później — zastąpiona inną teorią. W zasadzie autor „Struktury rewolucji naukowych" pisze o dwóch (starym i nowym) paradygmatach, zmiana ta ma bowiem w większości przypadków o wiele szerszy charakter. Naukowy establishment zazwyczaj niechętnie ustępuje i broni „swojego" status quo w nauce, wykorzystując — jak trzeba — narzędzia polityczne. Powodów tego jest wiele. Zwykle chodzi nie o tzw. prawdę naukową, ale o zachowanie stanowisk, prestiżu i dochodów — czy szerzej o władzę. Kiedy zatem Chomsky zaatakował dotychczasowy paradygmat, kontrreakcja wielu dotychczasowych utytułowanych naukowców musiała być oczywiście adekwatna do zagrożenia ich pozycji ze strony nowej teorii. Kowalewski postanowił zebrać te opinie w jednym miejscu, aby uzyskać retoryczny efekt powszechnego oburzenia i niezgody. Na przykład wtedy, gdy przytacza co bardziej cięte riposty językoznawcy Charles F. Hocketta, zapominając jednocześnie dodać, iż pomimo krytyki zawsze wyrażał on uznanie wobec szkoły Chomsky'ego za dostrzeganie prawdziwych problemów w istniejących wcześniej podejściach.

Nawet jeżeli młody Chomsky i jego koledzy językoznawcy, atakując stary naukowy konsensus, byli tak bezwzględni i zawzięci, jak próbuje nas przekonać Kowalewski, to w ich dążeniach nie ma nic zaskakującego. Może po prostu uparcie i konsekwentnie głosili to, co uznawali za słuszne. Wielu przed nimi i po nich postępowało podobnie. Bywało, że ci, którzy forsowali nowe poglądy naukowe, kończyli na stosach lub pod murem. Natomiast sugerowanie ze strony Kowalewskiego, że w swojej karierze naukowej Chomsky wykorzystał antylewicową histerię w USA i był — w jakimś sensie — instrumentem władz amerykańskich, jest wyjątkowym nadużyciem i pomówieniem. Choć czasami przyjmuje się, że „red scare" trwała do końca lat 50. XX wieku, to prześladowania doby makkartyzmu dobiegły końca w 1954 r. — przed wstąpieniem Chomsky'ego na MIT (1955 r.) i przed uzyskaniem przez niego tytułu doktorskiego (1955 r.) i profesorskiego (w 1961 r.). Gdyby kariera naukowa Chomsky'ego miała miejsce w tych samych latach w Polsce, dziś byłyby w podobny sposób — jak czyni to Kowalewski — atakowany przez rodzimą prawicę próbującą zapewne zrobić z niego zajadłego stalinistę.

Również fakt, że naukowa walka jest głęboko osadzona w realiach politycznych i w uwarunkowaniach strukturalnych dotyczących np. finansowania

badań nie stanowi niczego niezwykłego z perspektywy koncepcji Kuhna. Chomsky nigdy nie ukrywał, że część badań na MIT była finansowana przez Pentagon. Oznacza to, iż także jego pensja częściowo pochodziła z tego źródła, choć formalnie płaciła mu uczelnia. Nie jest tak — mówiąc kolokwialnie — że to po nim spływało. Była to jednak jedna ze ścieżek w ówczesnych Stanach Zjednoczonych, którą finansowano ze środków publicznych rozwój naukowy i oczywiście działo się tak nie bez przyczyny. Nie oznacza to jednak automatycznie, że uprawiając naukę, było się na usługach wojska. W jednym ze swoich wywiadów z 1969 r. Chomsky omawia ten problem i zdradza, iż antywojenny ruch studencki, z którym był związany, rozważał możliwość zerwania związku uczelni z wojskowymi laboratoriami. Na MIT studenci od początku utrzymywali, „że nie byłoby to dopuszczalne wyjście. W efekcie oznaczałoby to jedynie pewnego rodzaju zmianę nomenklatury"[1]. Prace byłyby kontynuowane pod innym szyldem i stracono by możliwość choćby częściowej kontroli społecznej nad tym, co się w nich dzieje. A próbowano śledzić i ujawniać badania podejmowane w obrębie MIT na rzecz wojska.

Nie wiadomo zresztą, który z zarzutów Kowalewskiego względem Chomsky'ego jest istotniejszy, czy ten, że finansował go Pentagon, czy też że pieniądze wyrzucono w błoto, bo badania jego niewiele były warte. „Pentagon sponsorował lingwistykę, aby ulepszyć swoje systemy dowodzenia i kontroli..." (s. 97). Jednak nie tylko że lingwistyczne „studia teoretyczne nie przyniosły żadnego znaczącego sukcesu" (s. 98), to jeszcze przy okazji, dodajmy, wyhodowano żmiję na zbrojnym torsie USA w postaci prof. Noama Chomsky'ego — radykalnego i zaangażowanego pacyfisty, nieprzejednanego krytyka imperialnej polityki Waszyngtonu, wreszcie akademickiego dysydenta nieskrywającego swoich „lewackich" sympatii. Sam Kowalewski przyznaje, że „Chomsky przyczynił się do historycznej klęski Stanów Zjednoczonych w Wietnamie" (s. 106).

Nota bene karierę naukową autora „Siły i oporu" zupełnie inaczej przedstawiał — nieżyjący już — Michał Chmara w swojej przedmowie do „Rok 501. Podbój trwa"[2], czy angielski językoznawca John Lyons[3].

Mózg, nauka i Internet

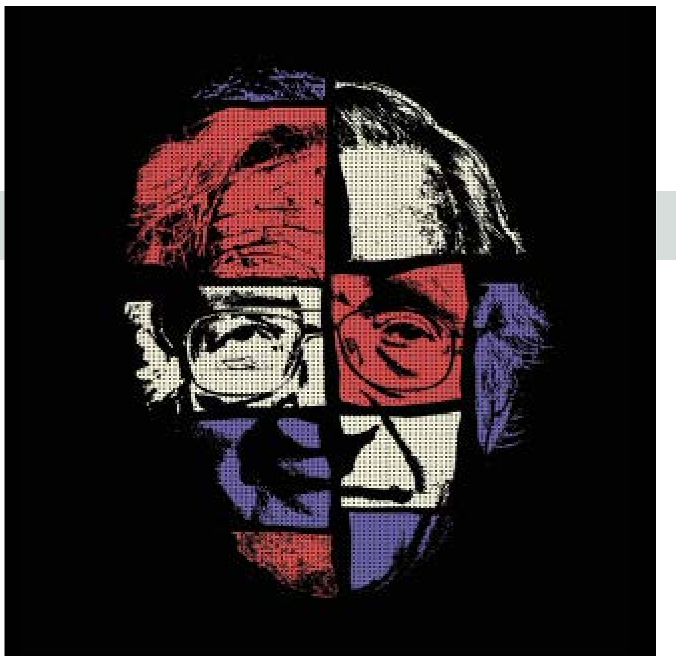
Teoretyczne badania Chomsky'ego miały być użyteczne (lub bezużyteczne, jak chce Kowalewski) w kontekście nabierającej na znaczeniu informatyki i komputeryzacji, ale dotykały także całego spektrum zagadnień z zakresu biologii i ewolucji oraz socjologii, antropologii, psychologii i pedagogiki. Choć Kowalewski chętnie cytuje opinie, że językoznawstwo Chomsky'ego jest rodzajem „pseudonauki", to dziś zdecydowana większość badaczy i badaczek jest raczej skłonna docenić znaczenie jego koncepcji, niekoniecznie bezwarunkowo ją podzielając. Chomsky jest też jednym z najczęściej cytowanych naukowców na świecie.

Na czym polegają różnice w podejściu do języka? (Kowalewski nie zadaje sobie zbytnio trudu, by ułatwić nam odpowiedź na to pytanie, a teorie lingwistyczne do łatwych nie należą). Pierwsze z nich, behawiorystyczne, twierdzi po prostu, że jako dzieci od początku uczymy się języka słowo po słowie oraz tego, jak poszczególne słowa ze sobą łączyć. Okazało się jednak, że liczba wariantów jest tu tak ogromna, że na tej drodze nie da się biegle opanować języka w przeciągu zaledwie kilku lat. Dlatego drugie podejście mówi, że uczymy się nie tyle poszczególnych słów, ale przede wszystkim zasad, według których łączymy je w zdania i tworzymy różne znaczenia. Jest to możliwe dzięki przyswojeniu głębokiej struktury swojej kultury. Dzięki opanowaniu ograniczonej liczby zasad, posługując się językiem, możemy tworzyć niezliczoną liczbę znaczeń. Chomsky twierdzi z kolei, iż faktycznie kwestia dotyczy zasad, ale nabywamy je nie w drodze socjalizacji (nauki), lecz są one nam wrodzone. Napisze: „jest zupełnie oczywiste, że dziecko nie wypracowuje teorii szczegółowej fonetyki i fonologii swego języka, zanim zacznie uczyć się słów"[4]. W mózgu człowieka wykształcił się rodzaj „organu umysłu", który odpowiada za nasze zdolności poznawcze, kognitywne oraz za język. W tym, że podstawowe reguły gramatyczne są nam znane od urodzenia, nie ma nic dziwnego, podobnie jako to, że ptaki posiadają skrzydła i wznoszą się w powietrze. Problem ewentualnie polega na tym, że „organu" tego nie potrafimy w mózgu dokładnie rozpoznać. Dlatego teorię Chomsky'ego traktuje się ciągle jako hipotezę, choć na razie najbardziej — z lingwistycznego punktu widzenia — prawdopodobną.

Kowalewski zdaje się reprezentować podejście bliższe dwóm pierwszym z przedstawionych wyżej wariantów i nie podziela stanowiska Chomsky'ego. Dlaczego? Zarzuty autora „Posłowia" nie są czymś nowym i stanowią kolejną odsłonę obrony starego stanowiska Fryderyka Engelsa wyłożonego w „Dialektyce przyrody" (1873—1883 r.). „Wpierw praca, a potem z nią i mowa — oto dwa główne bodźce, pod których wpływem mózg małpy przekształca się stopniowo w mózg ludzki..."[5]. Więc nie właściwości mózgu — jak twierdzi Chomsky — pozwoliły na rozwinięcie się mowy, ale wg Engelsa raczej odwrotnie.

Warto tu podkreślić, iż dla części adwersarzy amerykańskiego językoznawcy istnieje de facto tylko język, który w terminologii Chomsky'ego nazywany jest językiem zewnętrznym, natomiast on bada głównie język wewnętrzny, który utożsamia z regułami gramatycznymi. Język wewnętrzny jest uniwersalny (gramatyka uniwersalna), wspólny dla wszystkich ludzi. Język zewnętrzny to ten, którym posługujemy się na co dzień, czasami utożsamiany z językiem ojczystym czy etnicznym. Pierwszy z nich jest po prostu zbiorem wrodzonych reguł gramatycznych, które pozwalają na tworzenie niezliczonej liczby znaczeń. Aby je wykorzystać w komunikacji międzyludzkiej, musimy jednak zanurzyć się w konkretnych realiach, w jakich posługujemy się językiem ojczystym, który jest uwarunkowany społecznie i historycznie. Chomsky twierdzi, że mamy (dzięki językowi wewnętrznemu) wrodzoną zdolność do rozumienia wszystkich terminów. Nie możemy zatem mówić, iż istnieją języki bardziej „prymitywne" i bardziej „cywilizowane", zwłaszcza biorąc pod uwagę strukturę gramatyczną. Wbrew bowiem pozorom wszystkie języki na świecie są do siebie, w swojej strukturze, bardzo podobne. Więcej je łączy, niż dzieli.

Kowalewski, który ciągle definiuje język przede wszystkim w kategoriach „zewnętrznych", sądzi, że z koncepcji Chomsky'ego wynika, iż: „Słownictwo, nawet to, które wydaje się wytworem współczesnego społeczeństwa, nie jest zmiennym wytworem historii i kultury, lecz jest naturalnie dane, gdyż przyroda wyposażyła nas we wrodzony zasób pojęć..." (s. 85). Traktuje zatem ten zasób jako coś zastanego, a nie pewien potencjał, który może, ale nie musi się ujawnić w kontekście społecznym. Naigrywa się zatem z Chomsky'ego, że ten zakłada, iż człowiek pierwotny od razu wiedział — jakimś cudem — co to jest Internet. Nie, nie wiedział tego, ale od jakiegoś momentu posiadł potencjał, aby to zrozumieć, gdyby pojawiła się



taka konieczność. Nie był w tych zdolnościach gorszy od nas.

W konsekwencji Chomsky odgryza się w jednym z udzielonych przez siebie wywiadów (w 1983 r.), że jego podejście jest „czasem nazywane »idealistycznym«, przede wszystkim przez ludzi, którzy nazywają siebie 'marksistami', ale sądzę, iż niewiele z niego rozumieją, jak i z nauki w ogóle"[6]. Dla autora „Siły i opinii" oczywiste jest, że istnieją związki między językiem wewnętrznym i zewnętrznym. Nie traci z naukowego pola widzenia kontekstu społecznego funkcjonowania języka, a w ostatnich latach (2005 r.) przyznał, iż możliwe jest, że istnieją czynniki zewnętrzne, które mogą wpłynąć na strukturę gramatyki, a nie są związane „z językiem wewnętrznym człowieka, czyli jego zdolnością językową"[7].

Język i krew

Powyższe spory dotyczą kwestii nabywania języka w trakcie naszego rozwoju indywidualnego, osobniczego. Jak jednak te kontrowersje wyglądają z perspektywy koncepcji dotyczących rozwoju gatunkowego? Zdolności umysłowe i narodziny języka — twierdzi Kowalewski — trzeba wyjaśniać w odniesieniu do szerszego kontekstu reprodukcyjnego, społecznego, żywieniowego „i innych strategii behawioralnych, pojmowanych jako adaptację do zmieniających się warunków" (s. 90). W kwestii tej odwołuje się do koncepcji Chrisa Knighta, marksistowskiego antropologa ewolucyjnego i jednocześnie zagorzałego krytyka Noama Chomsky'ego. Miał on chyba największy wpływ na wyrażoną przez Kowalewskiego krytykę w „Posłowiu" do „Siły i opinii". Knight optuje za koncepcją społecznej „rewolucji symbolicznej", podczas której w relatywnie wąskiej, lokalnie funkcjonującej grupie ludzkich protoplastów pojawił się język symboliczny, sztuka, rytuał. Wyłoniły się owe „głębokie struktury kultury", które — wg tej koncepcji — jako dzieci musimy przyswoić, aby rozwinąć umiejętność posługiwania się językiem. Dzięki tej rewolucji miał powstać ok. 130 tys. lat temu stabilny system łowiecko-zbieracki, „komunizm w życiu" — wg Knighta — zapewniający idealne warunki do szybkiej ewolucji mowy.

Jakie to jednak dokładnie okoliczności reprodukcyjne i żywieniowe — o których pisze Kowalewski — miały wpłynąć na rozwój języka? Najczęściej narracja ta wygląda tak (skrótowo ujmując): hominidy pod presją zmian geograficznych (ocieplenie klimatu i powstanie w miejsce gęstych lasów rozłożystych sawann) zeszły z drzew, przyjęły postawę pionową i zmieniły swoją dietę, przerzucając się na mięso. Zaczęły masowo polować. Zdobyte i skonsumowane mięso stanowiło tzw. bodziec kaloryczny, pod którego wpływem możliwy stał się rozwój większego mózgu. Nastąpiło sprzężenie zwrotne. Większy mózg pozwalał na jeszcze sprawniejszą organizację łowów, budowę lepszej, czyli skuteczniejszej broni, sprawniejsze porozumiewanie się w czasie polowań itd. To oznaczało zdobycie jeszcze większej ilości mięsa, co znowu sprzyjało rozwojowi mózgu. I tak dalej. Myślistwo doprowadzić miało także do podziału pracy między mężczyznami i kobietami, które nie polowały, ale opiekowały się potomstwem, a w wymianie za seks mogły także uczestniczyć w konsumpcji mięsa.

Koncepcja ta ma też swoje rozliczne wariacje. W wersji, powiedzmy, konserwatywno-liberalnej kobiety „miałyby być ukształtowane przez męskie polowania: nastąpił zanik zewnętrznych oznak comiesięcznej owulacji, tak wyraźnie widocznych u szympansów, po to, by nie doprowadzać mężczyzn do szaleństwa seksualnej konkurencji, a przez to do popsucia męskiej współpracy podczas łowów"[8]. Inna wersja, komunistyczna, zaproponowana przez Knighta, stwierdza, że kobiety zmusiły mężczyzn do polowań, organizując wspólny strajk seksualny i żądając zaopatrzenia w mięso. „Rytualna sygnalizacja ze strony koalicji kobiet, zmuszająca ich [mężczyzn], aby wyprawili się na polowanie, to podstawa pierwszej strategii symbolicznej" (s. 93). Już Engels — czytamy w „Posłowiu" — miał uznać, że u zarania ludzkości „tylko poprzez sojusze kobiece można było obalić opartą na konkurencji męską dominację" (s. 92). Kowalewski ociera się w tym miejscu wręcz o groteskę, kiedy pisze o czerwonej ochrze (kojarzonej z krwią menstruacyjną) odkrytej w wykopaliskach, jako symbolu „walki strajkowej" kobiet. Sierpa i młota jednak dotąd nie znaleziono.

Koncepcja Knighta pozornie jest prokobieca czy feministyczna. Udział kobiet w społeczeństwie sprowadza on w dalszym ciągu głównie do wymiany seksu za jedzenie. Tymczasem łowieckie zdolności plejstoceńskich myśliwych to mit. Jak napisze Jared Diamond, dopiero z okresu ok. 100 tys. lat temu mamy pierwsze dowody na łowieckie zainteresowania człowieka i jednocześnie możemy być pewni, że konsumpcja mięsa była wówczas marginalna. Na wielkie polowania dowody pojawiają się dopiero ok. 40 tys. lat temu. Moim zdaniem i one są bardzo wątpliwe. Mięso — jak staram się wykazać w pierwszej części książki „Społeczeństwo bez mięsa" — miało zwykle małe znaczenie wyżywieniowe zarówno dla hominidów, jak i pierwszych ludzi. Najdobitniej tego typu koncepcje naukowe skomentowała feministyczna badaczka Elaine Morgan, nazywając je legendą i mitem politycznym, z którym trzeba skończyć. „Nigdy naprawdę tak nie było i wśród wspólnot łowieckich, które przetrwały, nadal tak nie jest. Po pierwsze, gdyby kobiety naprawdę tak się zachowywały, umarłyby z głodu"[9]. Nawet jak wysyłały po mięso swoich mężczyzn, to ci z reguły wracali z pustymi rękoma. Aprowizację w żywność nawet na poziomie 80-90% gwarantowały kobiety i dzieci (zbieractwo i ogrodnictwo). Głównie był to pokarm pochodzenia roślinnego. Cała ta narracja dotycząca „seksu za mięso" ma po prostu niedostateczne ugruntowanie empiryczne i jest wyjątkowo niepewnym domysłem.

Problematyczna w świetle wywodów Kowalewskiego jest nie tylko kwestia polowań i konsumpcji mięsa. Duża część badaczy i badaczek jest przekonana, że „eksplozja kulturowa" zaszła dużo później niż zakłada to Knight. „Przełom nastąpił zaledwie około czterdziestu tysięcy lat temu: wówczas to rozwój mowy odebrał genom monopol na przekazywanie złożonych informacji. Dzięki temu mogła rozwinąć się kultura, autonomiczna w stosunku do swych biologicznych podstaw"[10]. Możemy zatem napisać, iż niektóre elementy teorii Chomsky'ego — wbrew opinii Kowalewskiego — są spójne z ustaleniami współczesnych antropolożek, biologów i ewolucjonistów. „Niedorzeczne — pisze autor »Siły i opinii« — wydaje się przypuszczenie, że język to skutek ewolucji krzyków wydawanych przez naczelne, bo nie dzieli z nimi żadnych ciekawych właściwości. Nie wywodzi się też z systemów gestów ani z niczego, co znamy"[11]. W przeciwieństwie do swoich oponentów nie przyjmuje on, że język powstał jako efekt funkcji komunikacyjnych w ogóle, a tym bardziej w związku z polowaniem. „Organ umysłu", który umożliwił rozwój języka, pojawił się wg Chomsky'ego (na drodze ewolucji) ok. 50 tys. lat temu, co dało człowiekowi możliwości swobodnego analizowania i planowania, formułowania myśli, łączenia „odległych" faktów i skojarzeń itd. Na końcu dopiero porozumienia się z innymi. Z tym momentem ludzie, jako gatunek, posiedli wyjątkowe możliwości dostosowania się do środowiska. Koncepcja Chomsky'ego może oczywiście budzić wątpliwości, ale naprawdę trudno ją nazwać niematerialistyczną.

Dlaczego marksiści nie przepadają za Chomskym?

Argumentacja Kowalewskiego jest w tym przypadku jasna i w największym skrócie wygląda tak: ponieważ Chomsky jako naukowiec się myli, myli się też jako działacz i komentator polityczny. Co więcej, zarzuca mu, że jako twórca nowego, wg niego idealistycznego paradygmatu w nauce, miał się wydatnie przyczynić do klęski perspektywy materialistycznej (czyżby?) oraz kryzysu tego, co marksiści nazywają „naukowym socjalizmem". To typowe. Nurt ten rzadko przyznaje, że źródłem jego obecnej słabości były (są) jego własne wewnętrzne ograniczenia i błędy poznawcze. Na przykład uparte trzymanie się przez Chrisa Knighta Engelsowkiej wykładni antropologicznej z „Pochodzenia rodziny, własności prywatnej i państwa" oraz „Dialektyki przyrody" może prowadzić do szeregu interpretacji, które dziś często są już uznawane za nieadekwatne — w warstwie zarówno metodologicznej, teoretycznej, jak i empirycznej. Ale czy z faktu, że wielkie plejstoceńskie polowania okazują się mitem, wynika, że Kowalewski się myli na temat tego, jak wygląda współczesna sytuacja polityczna na Ukrainie? Daleki jestem od tego, aby to przyznać. Zwykle bardzo sobie cenię zdanie Zbigniewa Kowalewskiego.

Kowalewski zarzuca zatem Chomsky'emu brak odpowiedniego (czytaj: marksistowskiego) backgroundu teoretycznego. Faktem jest — jak dobrze rozumiem myśl autora „Siły i opinii" — że raczej nie uznaje on, że można mówić o czymś takim jak „naukowy socjalizm". Istnieją teorie naukowe i teorie „filozoficzne", których nie należy ze sobą mylić. Dla Chomsky'ego pierwsze z powyższych podejść reprezentują jedynie nauki ścisłe; drugie — pozostałe dyscypliny wiedzy. Nie oznacza to, iż uznaje on, że ruch społeczny nie potrzebuje żadnej teorii. „Bez rewolucyjnej teorii czy świadomości nie powstanie żaden rewolucyjny ruch. Nie będzie poważnej działalności bez jasnej analizy i teoretycznego punktu widzenia"[12]. Dlatego tak często chwyta za pióro. Nie zmienia to sytuacji, że perspektywa marksistowska, jak też anarchistyczna, jest czymś całkiem odrębnym od tego, co Chomsky rozumie przez ↪

„naukowe badania lingwistyczne" czy w ogóle naukowe. „W tym sensie są logicznie niezależne"[13]. Nie oznacza to, że nauki ścisłe funkcjonują bez związku ze światem społecznym, ale że inaczej sprawdzamy ich prawomocność.

Marksiści nie mogą także wybaczyć Chomsky'emu tego, że krytykuje on pewnego typu „przewymiarowanie" niektórych „teorii społecznych", twierdząc, że raczej zaciemniają obraz rzeczywistości, niż wyjaśniają. Zbijają nas z tropu. Tymczasem wyjaśnienia mogą być prostsze. Tutaj zresztą ujawniają się pewne związki teorii lingwistycznej Chomsky'ego z jego przekonaniem, że człowiek sam posiada racjonalne, wrodzone zdolności do twórczego interpretowania rzeczywistości społecznej (na wzór rozwijanych kompetencji językowych). Nie jest on całkowicie zależny od zastanego porządku symbolicznego. Koncepcję, że umysł ludzki miałby być początkowo „pusty" (tabula rasa), plastyczny i nieustrukturyzowany, a natura ludzka bez reszty tworem społecznym, uważa Chomski za z gruntu reakcyjną, dającą się łatwo przedzierzgnąć w ideologię klasy rządzącej. Nie musimy opierać się na zdaniu żadnego kościelnego czy świeckiego kleru (inteligencji). Nie musimy słuchać przywódców partii politycznych, które przedstawiają siebie jako dysponentów jedynie słusznej doktryny, a przedstawicieli mas traktują w kategoriach jedynie interesu materialnego i fałszywej czy „niedorozwiniętej" świadomości. Chomsky kwestionuje także leninowską koncepcję prymatu świadomości politycznej (partyjnej) nad socjalną (związkową). (Pisałem na ten temat, recenzując książkę Slavoja Žižka „Rewolucja u bram"[14]). To z pewnością uczyniło z niego zwolennika anarchosyndykalizmu oraz nieprzejednanego krytyka komunistycznych dyktatur — także Czerwonych Khmerów. Na zakończenie bowiem Kowalewski wyciąga i ten wyświechtany wobec Chomsky'ego zarzut, iż był on nie dość krytyczny wobec kambodżańskiego reżimu (który miał na sumieniu zapewne ok. 1,5 mln ofiar). I ponownie Kowalewski nie zauważa, że w tym kontekście Chomsky — piętnując Khmerów — wykazywał, że nagłośnienie ich ludobójstwa służy jednocześnie ukryciu zbrodni wojsk amerykańskich podczas wojny w Indochinach (cała wojna pochłonęła ok. 2 mln ofiar cywilnych, miliony osób zostały dotkliwie poszkodowane przez dywanowe naloty, napalm i amerykańską broń chemiczną). Więcej — odwraca kota ogonem i twierdzi, że wszystko, co Chomsky na ten temat napisał, w istocie Waszyngtonowi sprzyjało. No cóż, w efekcie tego typu podejścia wiemy w Polsce zdecydowanie więcej na temat tego, czym się „wsławił" Pol Pot, niż Richard Nixon.

Podsumowując, uważana przez Kowalewskiego jako jedyna słuszna i alternatywna wobec koncepcji Chomsky'ego teoria naukowa dotycząca języka, wokół której ma ponoć panować antropologiczny konsensus, jak się okazuje, posiada poważne mankamenty, także empiryczne. Nie za bardzo też wiadomo, na czym polega logiczny związek między — wg Kowalewskiego — błędnymi opiniami politycznymi autora „Siły i opinii", a jego teorią lingwistyczną. Autor „Posłowia" zakłada to po prostu a priori i kamufluje mętnymi rozważaniami Knighta rodem z psychoanalizy (próba „dekodowania Chomsky'ego"). Pomijam już, że to, co miało być błędem Chomsky'ego, okazało się w istocie błędem Kowalewskiego (przynajmniej odnośnie do transformacji w Europie środkowowschodniej). Po trzecie wreszcie — o porażce tej krytyki decyduje też jej „formalny" kontekst. „Posłowie" niemal dorównuje swoją objętością esejowi Chomsky'ego. Jego wydanie przez Książkę i Prasę zostało wykorzystane do gremialnej i bezpardonowej rozprawy z autorem „Siły i opinii". Jeżeli Kowalewski miał ambicje tak szerokiej polemiki, mógł jednak wydać artykuł lub książkę pod własnym nazwiskiem. Żaden autor raczej nie chciałby, aby tak potraktowano jego pracę. Krytyka ta zatem na wielu osobach — nawet tych, które w ostrych sporach nie widzą nic złego — zrobiła wrażenie celowej napaści politycznej i paszkwilu. ★

1. Noam Chomsky, „Polityka. Anarchizm. Lingwistyka", Poznań 2007, s. 201.
2. Noam Chomsky, „Rok 501. Podbój trwa", Poznań 1999, s. 13-16.
3. John Lyons „Chomsky", Warszawa 1998.
4. Noam Chomsky, „Polityka. Anarchizm. Lingwistyka", Poznań 2007, s. 215.
5. Karol Marks, Fryderyk Engels, „O języku", Warszawa 1978, s. 23.
6. Noam Chomsky, „Polityka. Anarchizm. Lingwistyka", Poznań 2007, s. 244.
7. Ewa Willim, „O sporach wokół formy i funkcji we współczesnym językoznawstwie. Formalizm kontra funkcjonalizm?", Linguistica Copernicana nr 1 (3)/2010, s. 120.
8. Jared Diamond, „Trzeci szympans. Ewolucja i przyszłość zwierzęcia zwanego człowiekiem", Warszawa 1996, s. 63.
9. Elaine Morgan, „Pochodzenie kobiety", Warszawa 2007, s. 163.
10. January Weiner we Wstępie do: Jared Diamond, „Trzeci szympans. Ewolucja i przyszłość zwierzęcia zwanego człowiekiem", Warszawa 1996, s. 9.
11. Noam Chomsky, „O naturze i języku", Poznań 2005, s. 140.
12. Noam Chomsky, „Polityka. Anarchizm. Lingwistyka", Poznań 2007, s. 203.
13. Tamże, s. 206.
14. Jarosław Urbański, „Lenin — Nowy idol lewicowej pop-kultury?", Przegląd Anarchistyczny nr 6/2007, s. 49.

Outsourcing na terenie Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego w Gdańsku

„Były wczasy pod gruszą, płatne urlopy, potem weszła na teren szpitala firma prywatna" — wspominają starsi pracownicy szpitala. Można by rzec: „miałeś chamie złoty róg, ostał Ci się ino sznur", tylko że nie jest to wina „chama", który został zdegradowany na wskutek decyzji władz Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego (UCK) w Gdańsku. Chcąc zredukować koszty funkcjonowania szpitala na terenie Gdańskiego Uniwersyteckiego Medycznego, wcześniej Akademii Medycznej, zredukowano pracowniczą podmiotowość i bezpieczeństwo sanitarne w szpitalu.

Cyprian Kraszewski

Na teren UCK weszła firma Impel. Swoją działalność na terenie UCK zaczęła od niewypłacenia pensji pracownikom. Zapanowała atmosfera niemalże kastowa, w której pracowników zatrudnionych na outsourcingu traktuje się jako osoby drugiej kategorii. Traktowani są tak przez firmę, która ich zatrudnia, niestety niekiedy nawet przez personel medyczny i władze szpitala. Nierzadko również, nie najwyżej prestiżowo stojące w tej hierarchii, pielęgniarki, ze swego rodzaju „drobnomieszczańską" brutalnością, wyżywają się na gońcach, sprzątaczkach czy sanitariuszach.

Pracownicy firmy zewnętrznej są obcym organizmem na łonie szpitala, zerwana została organiczna więź obecna w czasach, gdy byli oni bezpośrednio zatrudnieni przez szpital. Każdy nowy pracownik nieznający jeszcze w pełni swych obowiązków budzi irytację personelu szpitalnego patrzącego z góry na żółtodzioba. Oczywiście, nie zamierzam uogólniać i demonizować personelu medycznego, gdyż bardzo wielu zauważa problem i ma bardziej empatyczny stosunek do pozostałych pracujących. Nikt jednak nie chce głośno mówić o tej patologii. Tym samym daje przyzwolenie na te praktyki. Pogarda dla gońców czy sprzątaczek wśród części personelu medycznego to konsekwencja outsourcingu.

Taki stan nie służy nikomu poza wąską grupą ludzi, która na takim układzie zarabia. Brak stałego personelu utrudnia pracę wszystkim pracującym w szpitalu. Po wprowadzeniu outsourcingu nastąpiła duża rotacja pracowników. Nie przeszkadza to jednak władzom UCK wciąż korzystać z usług outsourcingowych. Publiczny szpital uległ swego rodzaju ekonomizacji.

Po zakończeniu umowy z firmą Impel weszła kolejna firma zewnętrzna — Grupa DGP, działająca na terenie szpitala jako trzy spółki z o.o.: Dozorbud, Partner Medica i Gos-zec. Grupa DGP świadczy usługi w bardzo różnych dziedzinach w całej Polsce od 30 lat. Jest to więc „dziecko" transformacji ustrojowej po 1989 r. Pani prezes zarządu firmy: „Pracę zawodową rozpoczęła w 1974 r. na stanowisku Inspektora ds. rozliczeń produkcji w Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Legnicy. Pełni funkcję Prezesa Zarządu DGP nieprzerwanie od 1989 roku. Od początku powstania firmy stawiała na jej intensywny rozwój, dzięki czemu DGP od lat utrzymuje pozycję jednego z liderów na rynku usług outsourcingowych". Prócz tego pani prezes zajmuje się filantropią, ale to już temat na zupełnie inny artykuł.

Na terenie UCK część wcześniejszych kadr Impela została przejęta przez DGP. Łamanie praw pracowniczych to stała praktyka DGP i kadry w tym wyzysku aktywnie uczestniczą. Działalność DGP w UCK nie ma nic wspólnego z racjonalnym planowaniem. „Racjonalnie" prowadzony jest tylko wyzysk, polegający na jak największym oszczędzaniu na taniej sile roboczej, oszukiwaniu pracownika przy wypłacie i unikaniu stabilnego zatrudnienia, które wiązał się z większymi kosztami dla firmy. Na umowie zlecenia potrąca się nawet pracownikowi za przerwy, których... oficjalnie nie ma.

Szczególnie wymowny jest przypadek pani Barbary Dzielskiej i jej córki, Marty Jurewicz. Panie te zasłynęły z akcji ratunkowej w listopadzie 2016 roku: „— Przeszłyśmy szkolenie z udzielania pierwszej pomocy — mówi pani Marta. — Kiedy zobaczyłam tego pana, który leżał przy budce ochrony, natychmiast do niego pobiegłam. Z pomocą przechodzącego obok chłopaka przewróciłam go na plecy, odchyliłam głowę i zaczęłam reanimować — opowiada młoda kobieta, która jest gońcem w Klinice Kardiologii. Pracuje w firmie DGP Dozorbud, która świadczy usługi outsourcingowe dla UCK".

Poza chwilą medialnej popularności panie, które reanimowały 53-letniego pacjenta, nic nie dostały. Ukończyły kurs sanitariusza, który został im potrącony z pensji w ratach (700 zł — całość kursu). Panie wzięły w nim udział, ponieważ był to warunek konieczny do dalszej pracy.

Pani Marcie za ten bohaterski czyn obiecano umowę o pracy, której się nie doczekała. Tłumaczono to tym, że... pan kierownik zgubił papiery. W międzyczasie pani Marta zaszła w ciążę. Po siedmiu latach pracy jako goniec/sanitariusz dano jej propozycję pracy jako... sprzątaczka, z której zrezygnowała.

Pani Barbarze nie przedłużono umowy. Zakończyła pracę w lipcu 2018 r. Zostało jej półtora roku do emerytury. Pracowała w szpitalu 10 lat.

Ten przypadek można uznać za najbardziej drastyczny, teren szpitalny obfituje jednak w patologie na tym polu. W wyjątkowo brutalny sposób wykorzystuje się niepełnosprawnych, którzy np. pracują nawet po 12 godzin, zamiast ustawowych siedmiu.

Niewielu pracowników ma odwagę zaprotestować. Lepsza jest nisko opłacana stabilizacja niż utrata pracy. Krytyka lub strajk grozi utratą pracy. Tak wygląda wolność w mieście „Solidarności"... W tym kontekście warto przypomnieć jej postulaty i skonfrontować je ze stanem faktycznym:

„2. Zagwarantowanie prawa do strajku oraz bezpieczeństwa strajkującym i osobom wspomagającym". — W okresie działalności firmy Impel czy DGP na terenie UCK nie było żadnego strajku. Pracownicy boją się, że po czymś takim mogliby stracić pracę.

„3. Przestrzegać zagwarantowanej w Konstytucji PRL wolności słowa, druku, publikacji, a tym samym nie represjonować niezależnych wydawnictw oraz udostępnić środki masowego przekazu dla przedstawicieli wszystkich wyznań." — Zostałem zwolniony za nagłośnienie sprawy łamania praw pracowniczych, choć nikt m nie podał uzasadnienia zwolnienia.

„16. Poprawić warunki pracy służby zdrowia, co zapewni pełną opiekę medyczną osobom pracującym". — Nie ma ani solidnej organizacji, ani bezpieczeństwa sanitarnego. Chory pracownik może zostać zwolniony za to, że jest chory.

„18. Wprowadzić urlop macierzyński płatny przez okres trzech lat na wychowanie dziecka". — Przy śmieciowym zatrudnieniu postulat nie do zrealizowania. Jak już wspominałem pani Marcie pracującej przez 7 lat jako goniec/sanitariusz po zajściu w ciążę zaproponowano pracę sprzątaczki. Tej samej osobie nie dano obiecanej umowy o pracę, która miała być nagrodą za uratowanie życia pacjentowi.

Pracownicy DGP pracowali głównie na umowę zlecenie. Sytuacja miała się zmienić 18 marca 2019 r. Niemniej tylko część dostała umowę o pracę, która należała się już od dawna każdemu pracownikowi według prawa pracy. Ja długo prosiłem o umowę o pracę. Przez około trzy tygodnie pracowałem bez żadnej umowy. Najpierw kadry tłumaczyły się nadmiarem obowiązków. Potem tłumaczono, że muszę zrobić kurs sanitariusza, który zostanie potrącony z mojej pensji (640 zł) albo podpiszę lojalkę na cztery lata (potem zmieniono na dwa lata). Abym mógł dostać umowę o pracę, musiałbym zrobić również badania sanitarno-epidemiologiczne. Gdy poprosiłem o skierowanie na te badania, odmówiono mi. Powiedziano, że dostanę je po zdanym egzaminie na sanitariusza. Osoby pracujące w szpitalu pracowały bez badań sanitarnych i szczepień na WZW.

Przyznano mi też zbyt niską wypłatę, co jednak skorygowano miesiąc później po wielu bojach z kadrami i kierownictwem. Ostatecznie zostałem zwolniony 10 maja, zanim dostałem umowę o pracę. Swój przypadek nagłośniłem początkowo anonimowo na portalu Strajk.eu. Arkadiusz Lendzion, zastępca dyrektora naczelnego ds. administracyjno-technicznych UCK, twierdził, że „Pan Kraszewski zatrudnił się w okresie przejściowym pomiędzy jednym kontraktem a drugim, zawieranym przez firmę DGP i UCK, w którym warunki i wymagania szpitala znacznie się zmieniły. Aktualnie większość pracowników firmy DGP jest zatrudniona na podstawie umowy o pracę. Sytuacja wymagała od wykonawcy czasu i stanowiła dość skomplikowany proces, zwłaszcza kadrowy".

Część szpitali zrezygnowała z usług outsourcingowych, odkąd w życie weszła klauzula pracownicza w 2017 r. z minimalną stawką godzinową. Outsourcing zaczął tracić sens. Z usług firmy zewnętrznej nie zrezygnowało jednak UCK. W marcu 2019 r. firma DGP „wygrała" kolejny przetarg, z czym wiąże się umowa ze szpitalem na 4 lata. Czy takie rozwiązanie się dla szpitala opłaca? Tym bardziej że warunki przetargu wymagały, aby każdy pracownik otrzymał umowę o pracę po 17 marca. Nie każdy ją dostał. Do czerwca być może nawet około połowy pracowników DGP nie miało umowy o pracę. Jeśli outsourcing ciągle się szpitalowi opłaca, to tylko dlatego, że zredukowano liczbę pracowników. Oczywiście odbija się to na funkcjonowaniu szpitala.

Outsourcing w instytucjach publicznych to prywatyzacja zysków i uspołecznienie kosztów. Koszty ponosi podatnik finansujący firmę zewnętrzną, która swój prywatny zysk — wąskiej grupy udziałowców firmy — przedkłada nad prawidłowe funkcjonowanie instytucji. Rozmycie odpowiedzialności, zaburzenia w organizacji i komunikacji — to stałe patologie outsourcingu. Dlaczego podatnik ma płacić za ten bałagan? Dlaczego ma finansować interes wąskiej grupy ludzi, których w żaden sposób nie poprawiają działania instytucji publicznych?

Wyczyszczenie służby zdrowia z outsourcingu nie rozwiąże jej wszystkich problemów, jeśli same szpitale będą oszczędzać na swoich pracownikach, pacjentach i bezpieczeństwie sanitarnym. Byłby to jednak kamień milowy i znacznie poprawiłoby to organizację w szpitalu. ★

Mniej mitów, więcej faktów o Rozbracie



Rozmowa na temat sytuacji prawnej skłotu z Antonim Wiesztortem, działaczem warszawskiego i poznańskiego ruchu lokatorskiego, członkiem Kolektywu Rozbrat.

Stanisław Krastowicz: Przy okazji obrony Rozbratu często podnosi się argument niejasnych transakcji tą działką, czy też dzikiej reprywatyzacji. Po zmianie ustroju władze miasta miały nie bronić społecznej własności tego terenu i sprzyjać przejmowaniu go w prywatne ręce. W lipcu tego roku aktualne władze Poznania odniosły się do takiej narracji. Odrzucają krytykę Rozbratu i twierdzą, że mówienie o dzikiej reprywatyzacji tej części Poznania jest „całkowicie nieuzasadnione". Na czym — Twoim zdaniem — opiera się taka postawa władz?

Antek Wiesztort: Takie stanowisko jest raczej kontynuacją wyparcia, które trwa już trzecią dekadę. Materiały, które także latem ujawniło nam miasto, dokumenty z kwerendy w archiwum państwowym, opinie biegłego i prawników doświadczonych w kwestii reprywatyzacji w Warszawie — to wszystko prowadzi do dwóch konkluzji. Po pierwsze, każdy kolejny cykl prywatyzacji tej działki na Pułaskiego odbywał się w wątpliwych prawnie okolicznościach. Po drugie, już po zmianie ustroju władze uczestniczyły w tym procesie w sposób, który trzeba nazwać sprzyjaniem prywatyzacji. Poznański ratusz w epoce Grobelnego i wcześniej nie dbał o ten publiczny majątek wyceniany teraz na około 5 milionów złotych. Aktualne władze jednak do dziś nie potępiają tamtych czasów, główne niejasności są wciąż przemilczane, a w ich miejsce powiela się argumenty pod tezę o słuszności prywatyzacji. W stanowisku władz z lipca pt. „Skłot Rozbrat: fakty i mity" jest po prostu za dużo mitów i za mało faktów.

Jakie mity o Rozbracie powieliły władze w tym stanowisku?

Opinia, że nie doszło tu do żadnej dzikiej reprywatyzacji, sprowadza się do argumentacji pewnego ważnego wyroku sądu okręgowego w Poznaniu w 2002 roku. O publiczny majątek kosztem prywatnej własności tej działki miało starać się miasto w imieniu Skarbu Państwa.

Sąd w 2002 r. zatwierdził prywatyzację terenu. Był to jednak wyrok kuriozalny, ocierający się o grafomanię. Niemniej, miasto było bardzo słabo przygotowane do procesu, po prostu nie zależało mu na wygranej, nie odwołało się też od wyroku. Dziś niestety nowa ekipa powtarza bez większej refleksji tezy sądu, które zwyczajnie nie trzymały się kupy.

Sędzia podważyła powojenne upaństwowienie terenu wraz z zakładem pracy, który w trakcie okupacji stworzyli na nim naziści. Podała dwa istotne argumenty na rzecz prywatyzacji tej działki — oba niezgodne ze stanem faktycznym i prawnym. Stwierdziła po pierwsze, że nie mogło dojść do upaństwowienia zakładu pracy na tym terenie, bo nie było na nim żadnego zakładu pracy, tylko łąka. Tym samym sąd zignorował archiwalne materiały, do których miał dostęp, a były to jednoznaczne dowody na istnienie budynków, maszyn, innymi słowy miejsca pracy. Na tle wojennych zniszczeń, wobec nazistowskiej grabieży przemysłu, taki nie w pełni rozkradziony zakład był na wagę złota. Dawał szansę na jakąkolwiek produkcję i odbudowę miasta, a przy tym zarobek i wyjście z głodu dla kilkudziesięciu poznańskich rodzin. Formalnie państwo przejęło ten zakład w 1946 roku, ale jak widać w archiwach, które zdobyliśmy, lokalni robotnicy przejęli maszyny i uruchomili produkcję właściwie chwilę po ucieczce nazistów.

Co z tego. Sąd w 2002 roku stwierdził, że była tam łąka, nie zakład. Władze miasta natomiast wzięły to na poważnie, nie zdołały rozróżnić łąki od zabudowań i się nie odwołały.

Po drugie, sąd stwierdził, że prywatny przedwojenny właściciel łąki na Pułaskiego przywrócił sobie sądownie jej posiadanie zaraz po wojnie, zanim została uspołeczniona wraz z zakładem pracy. Nawet gdyby państwo miało przejąć zakład (choć sędzia zaprzeczyła, że był tu zakład), to nie mogło przejąć prywatnego gruntu, na którym ten zakład stał. Co ciekawe, tego rodzaju argumentacja poznańskiego sądu w 2002 roku była sprzeczna z orzeczeniem Sądu Najwyższego wydanym w identycznej sprawie rok wcześniej, to jest w 2001 r. Sąd Najwyższy jednoznacznie stwierdził, że przejęcie na własność państwa przedsiębiorstw w oparciu o tę samą ustawę, co przejęcie zakładu na Pułaskiego, obejmowało grunty, na których stały te przedsiębiorstwa. „Niezależnie od tego, czyją stanowiły własność". Bez gruntu pod nogami zakład po prostu nie mógłby prawidłowo funkcjonować. Prywatnym właścicielom przysługiwało jedynie odszkodowanie po złożeniu o to wniosku.

Przed felernym wyrokiem w 2002 roku władze miasta nie wspomniały o tym korzystnym dla siebie orzeczeniu Sądu Najwyższego. Nie złożyły też odwołania, w którym mogłyby powołać się na to orzeczenie, by ratować wielomilionowy majątek.

Przy okazji sąd okręgowy, jakby na dowód tego, że nie przykłada do sprawy w zasadzie żadnej wagi, dopuszczał się oczywistych bubli, na które także miasto nie reagowało. Stwierdził na przykład, że przedwojenny prywatny właściciel, Szczepan Jeleński, przywrócił sobie posiadanie działki na Pułaskiego po decyzji sądu z 1945 roku, ale w oparciu o prawo z roku 1946, czyli takie, które jeszcze nie istniało, zostało ustanowione rok po tej decyzji. Jeśli nie brzmi wiarygodnie, że powojenny sąd umiał podróżować w czasie, to była to kolejna nieścisłość, która powinna skłonić władze Poznania do przyjrzenia się tej sprawie bliżej, a w końcu — do odwołania się od orzeczenia o prywatyzacji. Jednak tego nie uczyniły.

Możemy się tylko domyślać, dlaczego okręgowy sąd w Poznaniu wydał taki wyrok, a miasto tak słabo broniło interesu publicznego. W Polsce rozwinęło się w tym czasie coś, co po latach w Warszawie urzędnicy nazwali „taśmową reprywatyzacją": im więcej prywatyzacji tym lepiej, pomijać niewygodne fakty, wyrobić normę. Ideologiczna, międzypartyjna zgoda na neoliberalny kurs w państwie prowadziła do grabieży na akord. Omawiany tu szkodliwy dla miasta wyrok zapadł w okresie największych przekrętów na rynku nieruchomości, które w Poznaniu ujawniły się m.in. w postaci tzw. afery testamentowej.

Dla mieszczańskiej, liberalnej opinii publicznej decyzje władz i sądów PRL-owskich i tak są nielegalne, a przynajmniej podejrzane.

Po części nie można się temu dziwić. Przejmowanie w prywatne ręce publicznych terenów czy zakładów pracy z PRL-u to po prostu liberalna wersja tej samej „walki z komuną", którą równie gorliwie forsuje prawica i narodowcy przez trzy dekady po zmianie ustroju. W imię takiego antykomunizmu od trzydziestu lat przejmuje się spore części dużych miast i całe miasteczka, od Gdyni przez Warszawę po Szczawnicę. Wszędzie wiąże się to z likwidacją zakładów pracy, odbieraniem społecznego dostępu do usług czy masowymi eksmisjami. Dopiero w wyniku zmagań lokatorów czy innych grup społecznych okazuje się, że wiele przejęć ma charakter wątpliwy prawnie czy wprost kryminalny. Liberałowie i konserwatyści ochoczo i rycersko walczą z „gwałtem na własności prywatnej" wyrządzonym w poprzednim ustroju. Zarazem do dziś nie są w stanie powstrzymać utraty społecznej kontroli nad terenami w miastach i ich masowej grabieży w aktualnym ustroju, za który sami są odpowiedzialni.

Oprócz tego, że walka z komuną to do dziś jeden z najbardziej zyskownych interesów w kraju, żarliwa krytyka „szargania własności prywatnej" po wojnie wynika także z niezrozumienia realiów tamtych czasów. U progu wojny największe polskie miasta były głównie własnością prywatną. Poznań był w 70 proc. prywatny, także w przedwojennej stolicy 95 proc. gruntów leżało w prywatnych rękach stosunkowo niewielkiej grupy mieszkańców. Należy pamiętać, że po wojnie, w zrujnowanym kraju, przedwojenna prywatna własność niejednokrotnie paraliżowała wysiłki odbudowę miast z ruin.

Dziś beneficjenci reprywatyzacji podkreślają często, że ich działalność to dziejowa sprawiedliwość, bo anulują kradzież cudzego majątku. Po wyniszczającej wojnie zabezpieczenie prywatnej własności dla niewielkiej części społeczeństwa było najmniejszą bolączką. Ważniejsze było, aby kraj nie umarł z głodu. Chodziło o to, by zakłady mogły ruszyć z produkcją, by ludzie mogli pracować, by mieli gdzie mieszkać itd. W przypadku działki na Pułaskiego chodziło przede wszystkim o zabezpieczanie funkcjonującego, poniemieckiego przedsiębiorstwa, aby mogło produkować meble — łóżka do rozgrabionych szpitali, ławki do zniszczonych szkół itp. Zanim zabezpieczyła to władza, dokonali tego zwykli ludzie, tak jak zwykli ludzie zajęli ruiny stolicy, zanim jeszcze rząd zdecydował o jej odbudowie.

Zresztą dziś władze także stosują wywłaszczenia, nie pod tanie mieszkalnictwo komunalne, ale np. pod budowę autostrad czy kopalni odkrywkowych. Mieszczańska opinia publiczna nie gromi za to rządów III RP.

Mówiłeś mi wcześniej, że ciekawy jest też wątek politycznego zaangażowania przedwojennego właściciela tej działki, Szczepana Jeleńskiego?

Tak. Reprywatyzacja zawsze wiąże się z historią. W zmaganiach wokół własności Pułaskiego aktualne władze najwyraźniej gryzie sumienie — jak wolne demokratyczne państwo może szkodzić spadkobiercom „polskiego inżyniera poszkodowanego przez komunę i nazistów". Czy to ma jednak usprawiedliwiać dzisiejsze działania spółki Darex, wyłudzanie przez nią kredytów, czy plany elitarnej zabudowy części Klina Zieleni na terenie przy Pułaskiego?

Jeśli już jednak mamy się skupiać na sylwetce Szczepana Jeleńskiego, to mówmy o wszystkich jej stronach. Jeleński np. zapisał najbardziej niechlubne karty polskiego antysemityzmu. Był on m.in. redaktorem naczelnym pionierskiego żydożerczego pisma na ziemiach polskich, wychodzącego pod nazwą „Rola". Tygodnik, produkujący na przykład mapy polskich miast ze wskaźnikiem ich „zażydzenia" zaczął wydawać jego ojciec, Jan Jeleński. Na temat „Roli" napisano kilka opracowań naukowych, m.in. autorstwa Małgorzaty Domagalskiej pt. „Zatrute ziarno". To dość symboliczne, że dziś przeciwnicy faszyzmu w Poznaniu działają na byłym terenie ostatniego redaktora legendarnej „Roli". Dawne fragmenty tygodnika Jeleński być może uznałby za proroctwo, np. „spod ziemi wylewa się naraz na widownie życia anarchizm i pod hasłem »wolności« szerzy terror straszliwy".

Wróćmy do właściwego tematu — co się działo z tym terenem dalej?

Funkcjonował tu już polski zakład, który powstał na bazie wcześniej wspomnianego niemieckiego przedsiębiorstwa. Sytuacja prawna w księgach wieczystych nie została jednak uporządkowana. Po upaństwowieniu w księdze wciąż widniało nazwisko Jeleńskiego, a w latach 80. wpisała się jego córka. Po zmianie ustroju w 1989 r. działania instytucji publicznych, aby bronić społecznego charakteru własności działki przy Pułaskiego, są — delikatnie mówiąc — bardzo opieszałe. Nieudolne staranie powoduje jedynie, iż córka Jeleńskiego odstępuje teren firmie Darex Sp. z o.o. Robi to notabene po tym, gdy zapada orzeczenie sądu argumentujące, że rzeczywistym właścicielem Pułaskiego jest Skarb Państwa, ale państwo musi w końcu wpisać się do księgi wieczystej. Władze znów działają niezwykle opieszale, złożenie wniosku o taki wpis zajmuje im ponad dwa lata. Pod nieuwagę władz, spółka Darex wpisuje się przed nimi do księgi wieczystej. Sąd wpisuje jednak także zastrzeżenie do księgi, że kwestia własności jest niezgodna z rzeczywistym stanem prawnym. Darex tymczasem od razu po zdobyciu wpisu do księgi bierze pod zastaw działki na Pułaskiego kredyt na kwotę pięciokrotnie większą niż wartość jej zakupu w tym samym roku. Po tym słuch o firmie w Poznaniu ginie na ponad 20 lat. Spółka praktycznie nie interesuje się gruntem, nie płaci podatku od nieruchomości, nie prowadzi żadnej działalności.

A co z przedsiębiorstwem, które tu działało?

Tak naprawdę największą inicjatywę w walce z prywatyzacją tego terenu wykazywali przedstawiciele zakładu pracy działającego na tym terenie do początku lat dziewięćdziesiątych. Zakład doprowadzono do likwidacji w 1994 roku i formalnie nie było już komu dbać o teren, sprawy sądowe itd. W takich okolicznościach także wspomniany wcześniej sąd okręgowy zaczął działać kuriozalnie.

Opuszczone budynki, które były systematycznie „czyszczone" przez złomiarzy, zajął Rozbrat. Jeszcze w drugiej połowie lat 90. i na początku dwutysięcznych, przychodzili na Rozbrat byli pracownicy tego zakładu — tak z sentymentu. Był to ośrodek meblarski związany z fabryką mebli w Swarzędzu, którą zresztą też doprowadzono do upadku.

Jeżeli Darex przejmował ten grunt od córki Jeleńskiego, która była wpisana do księgi wieczystej, czy nie działał w tzw. dobrej wierze? Oznaczałoby to, że ma czyste ręce.

Nie. Przede wszystkim, kiedy funkcjonujący tu państwowy zakład przeżywał trudności finansowe, Darex wynajmował od niego część terenu i magazynów. Płacił mu za to. Miał zatem świadomość, że teren jest we władaniu podmiotu innego niż córka Jeleńskiego. Po drugie, za niby kupno tego gruntu Darex zapłacił bardzo małe pieniądze, tak jakby kupował raczej wpis do księgi wieczystej niż realny grunt. Wpis wystarczył, aby zaciągnąć kredyt, którego nie spłacił. W sprawie tej transakcji mamy opinię biegłego. Nie może być zatem mowy, aby Darex nie miał świadomości co do sytuacji prawnej i kupował grunt „w dobrej wierze". Nie była to „dobra wiara".

Czy to oznacza, że chodziło jedynie o przekręt, wyłudzenie kredytu...?

Wszystko na to wskazuje. Sytuacja zaczęła się dziś niespodziewanie rozwijać: dług wprawdzie rośnie, ale o wiele szybciej zaczęła rosnąć rynkowa wartość gruntu. Szczególnie od momentu, kiedy staje się jasne, że Polska wstępuje do Unii Europejskiej. Po 2004 roku ceny nieruchomości wręcz eksplodowały. Teraz wartość tego gruntu wynosi 4—6 mln zł — w zależności od szacunków. W każdym razie jest to wielokrotnie więcej, niż wynosi sam dług z ogromnymi odsetkami.

Nie wiem, czy aktywny zaczął być od tego momentu sam Darex, czy też — co wg mnie bardziej prawdopodobne — znaleźli go poznańscy deweloperzy. Zaczęła się „gra", aby ten grunt przejąć od Darexu pod inwestycje. Mamy w naszych wewnętrznych opracowaniach schemat powiązań szeregu przedstawicieli kilku deweloperów z osobami, których nazwiska pojawiają się m.in. w sądach przy okazji sprawy Darexu. Są to znane firmy na rynku poznańskim i siłą rzeczy powiązane też z władzą polityczną w tym mieście.

Na drodze do przejęcia tych gruntów stoi Rozbrat. Od 5 lat trwa sprawa o nasze zasiedzenie — skoro miasto nie potrafi zabezpieczyć społecznego charakteru własności tego gruntu, my staramy się to zrobić. Tak jak to już kilkakrotnie powtarzano przy różnych okazjach, byłoby absurdem, gdyby okazało się, że firma, która wyłudziła działkę, wzięła kredyt pod jej zastaw i nigdy go nie spłaciła, nie interesowała się terenem przez ponad 25 lat, nie wywiązywała się ze swoich zobowiązań, miała mieć większe do niej prawa, niż nasza wspólnota, która w tym samym czasie działa na rzecz miasta i broni interesów jego mieszkańców. ★

Jesteśmy, działamy, Rozbratu nie oddamy!

Relacja z demonstracji

14 września o godzinie 13:00 na ulicy Pułaskiego, tuż przy istniejącym już 25 lat skłocie Rozbrat, rozpoczął się protest w jego obronie. Jak informowaliśmy już kilkakrotnie, nad naszym autonomicznym centrum społeczno-polityczno-kulturalnym od dłuższego czasu gromadzą się czarne chmury. W obliczu narastającego zagrożenia potencjalną sprzedażą działki, na której części znajduje się Rozbrat, postanowiliśmy zorganizować demonstrację, która przejdzie ulicami Poznania. Wykrzyczeliśmy na niej nasz stanowczy protest przeciwko likwidacji Rozbratu i przeznaczenia ziemi, którą on zajmuje, pod inwestycje deweloperskie.

Na początku demonstracji aktywistka i aktywiści z Rozbratu przypomnieli o znaczeniu tego miejsca w kontekście obrony wielu grup wykluczonych: lokatorów, pracowników, bezdomnych, osób LGBTQ+, migrantów. Wspomniano o istocie projektów takich jak skłot, gdzie różne inicjatywy mogą powstawać w oparciu o struktury niehierarchiczne — bez szefów czy kierowników narzucających swoją wolę, a na zasadach demokracji bezpośredniej, poszukując konsensusu. Następnie, w rytm wykrzykiwanych haseł „Najpierw ludzie, potem zyski", „Wolność, równość, solidarność", ponad tysiąc osobowa demonstracja ruszyła w kierunku ulicy Dąbrowskiego. Na mijanym przez protestujących wiadukcie można był zobaczyć jeden z wielu banerów solidarnościowych powieszonych tego dnia w Poznaniu. Widniał na nim komunikat skierowany do potencjalnych „graczy" i spekulantów na rynku mieszkaniowym i deweloperskim: „Kupując Rozbrat, kupujesz kłopoty".


Fot.: Radosław Sto

Pierwszym i niezwykle ważnym symbolicznym postojem demonstracji była kamienica przy ulicy Dąbrowskiego. Z kamienicy tej w 2011 roku eksmitowano małżeństwo państwa Jencz. Czynnie eksmisje blokowali m.in. aktywiści i aktywistki z Rozbratu. To właśnie w wyniku rzekomej napaści na policjanta w trakcie tej blokady skazany został **Łukasz Bukowski, który spędził 3 miesiące w więzieniu**. Policja oskarżyła wtedy również kolejne dwie osoby za przewodzenie nielegalnemu zgromadzeniu (obie zostały uniewinnione). Cała sytuacja miała miejsce w czasie, gdy w Poznaniu aktywnie działali czyściciele kamienic, a zagrożeni ich przemocą lokatorzy nie mogli uzyskać pomocy ani od policji, ani władz miasta. Zaledwie kilkanaście metrów dalej protestujący zatrzymali się niedaleko od siedzimy komornika Bartosza Guzika, prowadzącego sprawę egzekucyjną wobec części terenu, na którym mieści się Rozbrat. Przypomniano, że nadal trwa sprawa o zasiedzenie terenu i w związku z powyższym wszelkie działania komornicze winny być wstrzymane do jej zakończenia.

W tym miejscu głos zabrał również **dyrektor Teatru Polskiego Maciej Nowak: „Teraz gdy nad Rozbratem zbierają się chmury, jesteśmy z nim! Dla tożsamości Poznania, to miejsce jest tak samo ważne jak Teatr Polski. Mamy wiele wspólnego, łączą nas wartości!".** Demonstranci owacjami podziękowali za ten ważny wyraz solidarności.

Na wysokości Rynku Jeżyckiego można było usłyszeć wypowiedzi przedstawicieli środowisk ekologicznych. Przypomnieli oni, że to ludzie związani ze środowiskiem Rozbratu wspierali blokadę autostrady przez Park Krajobrazowy na Górze Św. Anny, uczestniczyli w obronie Rospudy, Puszczy Białowieskiej, współorganizowali kolejne edycje **Obozu dla Klimatu** czy inicjowali powstanie grup ekologicznych, takich jak **Poznaniacy Przeciwko Myśliwym**. Głos zabrali również przedstawiciele inicjatywy **Jedzenie Zamiast Bomb**, przypominając, że dzięki wsparciu sprzedawców m.in. z Rynku Jeżyckiego możliwe jest przygotowywanie bezpłatnych posiłków dla osób bezdomnych i potrzebujących. To na Rozbracie od wielu lat działa kuchnia umożliwiająca przygotowywanie posiłków. Również tej jesieni możliwe będzie włączenie się w działania grupy Jedzenie Zamiast Bomb na Rozbracie

Protest wyruszył dalej ulicami poznańskich Jeżyc, nadal skandując hasła: „ Kto dziś Rozbrat atakuje, niech na wojnę się szykuje. Komorników stąd przegnamy, eksmitować się nie damy", „Kliny zieleni obronimy, a pilarzy przegonimy", „Pustostany w ręce wyobraźni". Docierając do komendy miejskiej przy ulicy Szylinga, uczestnicy i uczestniczki protestu jasno wyrazili swój sprzeciw wobec działań policji. Poznańscy policjanci wielokrotnie represjonowali aktywistów i aktywistki społeczne. Wykazano, że niektórzy współpracowali nawet z czyścicielem kamienic Piotrem Śrubą, przez co nie reagowali na wezwania nękanych lokatorów. Policja zawsze jest bowiem gotowa, zgodnie z wykrzykiwanym hasłem, chronić i bronić bogatych przed biednymi.

Pod samą komendą głos zabrała jedna z aktywistek oskarżonych za udział w tzw. Czarnym Proteście. Przypomniała ona o znaczeniu Rozbratu dla krzewienia idei feministycznych, wspierania walk kobiet, pracownic żłobków i innych sfeminizowanych zawodów. Jasno przy tym zaznaczała, że środowisko anarchistyczne nadal musi wiele zrobić dla wyeliminowania zachowań seksistowskich i walki z uprzedzeniami, także we własnych szeregach. Podkreśliła jednak, że pomimo tego to właśnie to środowisko inicjowało i wspierało wiele inicjatyw równościowych takich jak Manify i Marsze Równości. **Na zakończenie przemówienia przypomniano o trwającym procesie aktywistek i aktywistów, biorących udział w Czarnym Proteście i wezwano do solidarności przy okazji najbliższej rozprawy 7 listopada b.r.**

W momencie, kiedy demonstracja znalazła się na wysokości ul. Stolarskiej, głos zabrała jedna z byłych mieszkanek tej kamienicy. Kamienica została przejęta przez nowych właścicieli, którzy postanowili pozbyć się lokatorów przy pomocy nielegalnych działań Piotra Śruby — czyściciel kamienic m.in. za te działania został już skazany na 2-letni wyrok więzienia i grzywnę, nadal bezkarni zostali jednak jego mocodawcy. Lokatorka przypomniała, że to od anarchistów i anarchistek otrzymała realną pomoc i wsparcie, a urzędnicy czy miejscy politycy zupełnie nie interesowali się losem kamienicy i jej mieszkańców. Podziękowanie dla środowiska rozbratu wyraziły w tym miejscu także inne lokatorki poznańskich kamienic, które uzyskały wsparcie i zaangażowały się w działania powołanego wspólnie ze środowiskiem anarchistycznym **Wielkopolskiego Stowarzyszenia Lokatorów**. Głos poparcia dla działań lokatorskich i samego Rozbratu wyraziła również przedstawicielka międzynarodowej koalicji **European Action Coalition for the Right Housing and to the City**.

W pobliżu LO nr 1 w Poznaniu głos zabrały nauczycielki zrzeszone w **Poznańskiej Inicjatywie Nauczycielskiej**. Podziękowały one za wsparcie, jakie uzyskały od środowiska rozbratu i **Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Inicjatywa Pracownicza**, w trakcie niedawnego strajku. Podkreśliły ważność istnienia miejsca takiego jak Rozbrat, które umożliwia spotykanie się bardzo różnych środowisk, rozmowy dyskusje i dających szansę na podjęcie wspólnych działań. Głos zabrali również przedstawiciele komisji **OZZ Inicjatywa Pracownicza MWIK Bydgoszcz**, którzy również podziękowali za niedawny udział poznańskiego środowiska anarchistycznego w ich proteście pracowniczym i wyrazili swoje poparcie i solidarność z Rozbratem.

Przy dźwiękach niezastąpionej **Samba Hałastra / RoR Poznań**, manifestacja dotarła na Plac Adama Mickiewicza. Wyrazy solidarności wyrazili tu przedstawiciele berlińskiego środowiska wolnościowego. Podziękowano wszystkim za udział w proteście, w którym nie zabrakło przedstawicieli ruchu wolnościowego z Gdańska, Rzeszowa, Krakowa, Wrocławia, Warszawy, Śląska i innych rejonów kraju

Po oficjalnym zakończeniu demonstracji, zgromadzeni mogli zobaczyć jeszcze krótki happening. W jego trakcie przedstawicielka środowiska deweloperów/spekulantów mieszkaniowych, prowadząc spychacz usiłowała rozjechać przypadkowe osoby. Na samym spychaczu hasła mówiące o „ZABETONOWANIU POZNANIA" i „ZNISZCZENIU KLINÓW ZIELENI" podkreślały, jakie są cele deweloperów. Kiedy Pani biznesmen była zajęta rozmową przez telefon, do spychacza podkradła się grupa aktywistów i pod osłoną świec dymnych dokonała unieszkodliwienia maszyny. Po happeningu większość zgromadzonych osób skierowała się ponownie w stronę Rozbratu, by brać udział wieczorem w drugim dniu festiwalu z okazji 25 urodzin Rozbratu.

Na zakończenie relacji pragniemy jeszcze raz podziękować wszystkim tym, którzy uczestniczyli w proteście. Dziękujemy również osobom i inicjatywom, które nie mogły brać udziału w demonstracji, ale wsparły nas swoimi wyrazami solidarności. Walczymy dalej i nie ustępujemy! ★

Sztuka przeciwko kapitalizmowi

Elías Taño, hiszpański ilustrator pochodzący z Walencji, rysuje ludzi bez osobowości, zawsze w grupie, by uwypuklić polityczne ideały. Mówi, pije, dyskutuje, rzuca bluźnierstwami i pali papierosy. Publikuje ziny (zavka, arros negre, deberes femeninos) i tworzy plakaty oraz wzory na koszulki z jedwabiu. Maluje też murale w miastach na całym świecie, a z okazji 25-lecia Rozbratu przyjechał do Poznania, gdzie na terenie skłotu stworzył mural (www.eliastano.es).

„A-tak": Ile lat temu zacząłeś tworzyć i w jakich okolicznościach?

Elías Taño: Rysuję całe życie, ale w 2011 roku zacząłem to robić „na poważnie". Wtedy rozpocząłem studia magisterskie z ilustratorstwa w Walencji i poznałem ludzi, którzy robili fanziny. W 2016 roku byłem w Chile, gdzie malowałem pierwszy raz na ścianie. Nigdy nie przestanę tego robić! Właściwie to zacząłem rysować, żeby wyrazić swoją polityczną wizję i używam tego jako narzędzia do uświadamiania i generowania pytań dotyczących relacji władzy.

Co jest dla ciebie największą stylistyczną inspiracją?

Źródeł moich inspiracji jest wiele, ale oczywiście cały latynoamerykański muralizm — od początku rewolucji meksykańskiej (1916), aż do Rivery, Orozco i Siqueiros, poprzez niesamowite dzieła El Mono González z Brygady Ramony Parry (chilijscy muraliści, który byli robotnikami, a nie artystami, tworzyli wspólnie duże i majestatyczne murale przeciwko dyktaturze Pinocheta, ryzykując przy tym własnym życiem). Wpłynęli na mnie także Keith Haring, Hennig Wagenbreth, Maruja Mallo, Jose Guadalupe Posada (i wszyscy wielcy rytownicy z Meksyku), Frida Khalo... niekończąca się lista!

Jakie tematy najczęściej pojawiają się w twoich pracach?

Zasadniczo jest to przedstawienie walki klas. Wiele razy inspirowałem się tematami związanymi z klasa pracującą, różnymi rodzajami protestów, odzyskaniem praw człowieka itd. W zasadzie interesują mnie wszelkie tematy o antykapitalistycznym wydźwięku! W pewnym sensie chodzi mi o to, żeby przedstawić nasze walki i całkiem nie ulegać językowi kapitalistycznych wartości... Staram się stworzyć język dla nas, dla ludzi, który sprzeciwi się temu, w jaki sposób działa świat.

Jak doszło do twojej współpracy z Zapatystami?

Tak naprawdę to nie współpracowałem z samymi Zapatystami. Po prostu w 2018 roku wybrałem się do miasta San Cristóbal de las Casas w stanie Chiapas (wszystko, co widziałem w tym mieście, było inspirowane armią Zapatystów), gdzie poznałem ludzi, którzy malowali, a oni zaprosili mnie do wzięcia udziału w małym festiwalu. Poszedłem też na spotkanie do Universidad de la Tierra, gdzie trafiłem m.in. na przemówienia Marichuy (María de Jesús Patricio Martínez, stosująca medycynę naturalną działaczka praw człowieka, wybrana jako rdzenna rzeczniczka, a w 2018 r. kandydowała jako niezależna kandydatka na prezydenta Meksyku — red.) oraz Subcomandante Marcos (Rafael Guillén Vicente, jeden z liderów organizacji Zapatystowskiej Armii Wyzwolenia Narodowego, EZLN — red.).

Brałeś udział w obchodach 25-lecia Rozbratu. Jak podobał ci się skłot i samo wydarzenie?

To niesamowite miejsce, zbudowane — mimo wielu przeciwności losu — z pasją i miłością. Widziałem tam naprawdę fajne warzywne ogródki, niezłe miejsca na koncerty, rowerownię, studio sitodruku. Rozbrat to jeden z największych skłotów, które widziałem i w całej okazałości posiada styl starych europejskich skłotów. Jestem naprawdę pod wrażeniem politycznej aktywności, a także biblioteki anarchistycznej, samowydawania i kultury DIY (zrób to sam). Spędziłem niesamowite trzy dni podczas urodzin Rozbratu i mam nadzieję, że jeszcze tam wrócę!

Co ukazuje mural, który stworzyłeś na Rozbracie?

Tematy, które pojawiają się na ścianie, to (od lewej do prawej): ruch antywojenny, antyrasizm, biblioteka i wydawnictwo literackie, ekologia, feminizm społeczny, ruch lokatorski, antyfaszyzm, kultura bez cenzury, ruch robotniczy, „chleba zamiast igrzysk" (lokalny ruch społeczny przeciwko dużym sportowym wydarzeniom, które wyzyskują klasę robotniczą i przynoszą jej niedostatek). O takich tematach swojej działalności poinformował mnie kolektyw Rozbrat i starałem się to namalować jak najlepiej.

Dziękujemy za rozmowę i do zobaczenia! ★

Rozmawiał Kapitan Flint



Higieniści miejscy

W czerwcu 2019 roku Łukasz Wantuch, krakowski radny, ogłosił kontrowersyjny projekt uchwały miejskiej, która miałaby regulować „status" bezdomnych w Krakowie, czego skutkiem byłaby np. delegalizacja ich dokarmiania. Pomysł wywołał ogromną dyskusję, a sam radny umocnił swój wizerunek urzędnika, którego marzeniem jest wyregulować jak najwięcej dziedzin życia miejskiego. To nie jest jednak osobliwość czy unikat na skalę kraju w nurcie, w którym samorządy chcą swoją mocą regulacyjną wprowadzać pewne porządki „higieniczne". Takie rzeczy już się dzieją na różnych płaszczyznach lokalnej polityki.

Maciej Wy

Historycznie o higienie miejskiej można wspomnieć, choćby przywołując koncepcje architektoniczne, które zakładały potrzebę „wietrzenia miast", czy — jak w modernistycznych wizjach — ich przebudowę dla wprowadzenia prozdrowotnych zmian, co zostało ujęte np. w Karcie ateńskiej: „Budynki przeznaczone na mieszkania znajdują się w warunkach będących w sprzeczności z niezbędnymi wymaganiami higieny. (...) słońce, zieleń i otwarta przestrzeń są trzema podstawowymi tworzywami urbanistyki". Chodziło m.in. o rezygnację z zabudowy kwartałowej, sprzyjającej rozprzestrzenianiu się chorób — głównie gruźlicy. Z kolei dość specyficzną formą „higieny narodowościowej" był zakaz osiedlania się Żydów w wielu polskich miastach, który obowiązywał gdzieniegdzie aż do drugiej połowy XIX wieku, a czasem i z wzajemnością: występowało „nieakceptowanie chrześcijan" w dzielnicach żydowskich, np. w podkrakowskim Kazimierzu, będącym niczym zamknięte getto, porównywanym do innych, funkcjonujących w miastach zachodniej Europy.

Dla mnie historia pewnego regulacyjnego trendu, który ma wzmocnić „wizerunkową higienę miasta", zaczyna się na początku lat 90. XX wieku, już w tej „nowej, wolnej Polsce". To czas przemian ustrojowych i ekonomicznych, bardzo widocznego rozkwitu drobnej działalności gospodarczej, właśnie na miejskich ulicach. Gdy upadają zakłady przemysłowe i PGR-y, dosłownie na chodnikach tworzy się ówczesny biznes — handel czy usługi ze stolików, z prowizorycznych budek, kiosków, łóżek polowych. Jednocześnie w 1990 roku nowelizowana jest ustawa o policji, w której zawarta zostaje część dotycząca straży miejskiej, mającej dostać nowe uprawnienia — gdy zaczyna działać, włodarze miast realizują swoje wizje dotyczące porządkowania przestrzeni publicznych, używając do tego właśnie strażników. Handel, poddawany kolejnym regulacjom, zaczyna znikać z ulic, przeganiany przez funkcjonariuszy i przenoszony częściowo do nowo organizowanych prowizorycznych placów targowych. Z czasem kupcy przenoszeni są w coraz mniej atrakcyjne miejsca, gdzie po prostu już nie przychodzą klienci i zaczynają się problemy, bo dla sprzedających są to miejsca pracy, a dla kupujących — różnice w cenie towarów. W centrum, ale i na osiedlach, pojawiają się czasem handlarze drobnej spożywki — sprzedają truskawki, jagody, orzechy, grzyby, mleko, ale to wciąż cel do odstrzału dla Straży Miejskiej. Punktem kulminacyjnym tamtej epoki staje się bitwa na placu Defilad w Warszawie (2009) między handlarzami, wyganianymi przez miasto, a agencją ochrony, mającą ich spacyfikować i wspierającymi ją policjantami i strażnikami miejskimi.

Proces czyszczenia ulic i regulacji estetyki miejskiej rozkręca się z coraz większą mocą, a „czyszczenie" wydaje się dobrym określeniem, gdyż przy wprowadzaniu w 2011 roku przepisów w kodeksie wykroczeń dotyczących handlu przyulicznego, mowa była o środkach „niezbędnych dla ochrony życia lub zdrowia obywateli oraz dla zapewnienia porządku, spokoju i bezpieczeństwa publicznego". Osobno obowiązują przepisy gospodarcze i sanitarne, które to poniekąd regulują, więc porządkowanie ulic z drobnego handlu wydaje się mieć uzasadnienie przede wszystkim estetyczne (np. „dopasowanie oferty sprzedażowej do otoczenia", jak w wielu miastach na ich starówkach) i w ogólny sposób „higieniczne", by ów handel nie brudził miasta i koncepcji jego uporządkowania. W ramach dygresji wspomnę tylko o samochodach, z którymi, mimo że w smutny sposób wpisały się w estetykę miasta, Straż Miejska o wiele mniej ochoczo się rozprawia — sami przecież ich używają, prywatnie i służbowo. Trendem, który „porządkując" miasta, wyrządził też wiele szkód, jest tzw. rewitalizacja — pokrywanie często zabytkowych placów, ulic i chodników w całości kostką, płytami kamiennymi, umieszczanie drzew w donicach, likwidacja trawników. Szczególnie jest to odczuwalne w czasie upałów, ale i w czasie ulewnych deszczy, gdy woda nie ma gdzie wsiąkać, jednak satysfakcja urzędników z uporządkowania przestrzeni, doprowadzenia jej do o wiele bardziej „higienicznego" stanu (łatwego do utrzymania w czystości), to istna perwersja, nigdy się niekończąca mania obłędnie pojmowanej sterylności.

Z czasem pojawiają się też lokalne pomysły, przekraczające granice ustaw uchwalanych przez parlament, jak to ma miejsce na przykład w temacie spożywania i sprzedaży alkoholu. Są one oczywiście o wiele bardziej restrykcyjne (np. w Kielcach obowiązuje zakaz picia nie tylko w miejscach publicznych, ale i w miejscach wspólnych w zabudowie wielorodzinnej — strychy, piwnice, bramy, klatki schodowe), wydaje się bowiem, że w sytuacji, gdy miasto traci kontrolę nad swoim wykoncypowanym estetycznym wizerunkiem, chce naprawić go kolejnymi przepisami. Mimo istniejących paragrafów o wykroczeniach przeciw obyczajności czy zakłócaniu porządku lub też spożywaniu alkoholu w miejscu publicznym, samorządy zaczęły wprowadzać także przepisy prohibicyjne ograniczające handel alkoholem w godzinach nocnych, by zlikwidować chorobę u źródła, wytępić zarazki ją powodujące.

W tak gęstej atmosferze samorządowego urządzania życia w miastach pojawia się nadaktywna postać krakowskiego radnego Łukasza Wantucha. Ma wiele wizji, które nie spotykają się ze zbytnim zrozumieniem i poparciem, ale wciąż objawia nowe. Jednym z jego szeroko opisywanych pomysłów była zmodyfikowana już idea zamontowania w Krakowie kilkuset tysięcy (!) kamer, które zakończyłyby bezkarność przestępców i bezradność policji. Wczytując się w szczegóły tej koncepcji, odkrywaliśmy wcześniejsze wersje, gdy porządku strzec miały krasnale czy też sowy ogrodowe z zamontowanymi w środku kamerami, stojące na trawnikach, ale na szczęście każdy z tych pomysłów padał bez życia na różnych etapach opracowywania koncepcji. Ostatnio krakowski polityk poruszył jednak temat, który rozpełzł się po mediach i wywołał przetaczającą się jak monsun falę komentarzy.

Wantuch już w 2017 roku atakował werbalnie inicjatywę Zupa na Plantach, która zajmuje się w Krakowie właśnie tym, do czego odnosi się nazwa, czyli rozdawaniem posiłków. W czerwcu 2019 roku jednak zgłosił swój projekt uchwały, która miała regulować zarówno higienę bezdomnych, jak i prawo do ich funkcjonowania na terenie miasta, oraz pracę instytucji, które pomagają im trwać w tak „komfortowej sytuacji". Według radnego Planty powinny być jedną z wizytówek Krakowa, „pięknym miejscem, które może być naszą dumą. Ozdobą, którą pokazujemy znajomym i turystom", w związku z czym bezdomni wraz z ludźmi, którzy ich karmią, powinni zniknąć z Plant. Wantuch stwierdził, że zielone tereny w centrum „pełne są śpiących, pijanych, brudnych i śmierdzących osób, a rozdawanie jedzenia w tym miejscu przyciąga »ich« jeszcze więcej". W swoich pseudoracjonalnych rozważaniach powołwał się na „teorię zbitej szyby", twierdząc, że najdrobniejsze zakłócenie harmonii miejskiej, jeden bezdomny na ławce, każde oddanie moczu pod krzakiem, jedno wypite piwo pod chmurką, przyciągają kolejne wykroczenia, tworzą atmosferę przyzwolenia dla rozwoju chuligaństwa i przestępczości, zaniżają atrakcyjność oraz wartość dzielnic i całego miasta. Cóż, sam uważam, że ta teoria pasuje także do wizji restrykcyjności i rozrostu kontroli w miastach — gdy kolejne realizowane chore pomysły władzy municypalnej nie napotykają większego oporu, wprowadzane są następne, i następne.

O tym, jak groźne i szalone, mimo pozorów racjonalności, mogą okazać się pomysły wspomnianego samorządowca, zdałem sobie sprawę, gdy zaczęły się zazębiać z doktryną eugeniczną, opisaną drobiazgowo w książce „Higieniści" autorstwa Macieja Zaremby Bielawskiego. W Polsce używano raczej pojęcia eugenika, ale jest to ten sam nurt „naukowy", który stworzył ideę higieny rasy, skrystalizował ideologię nazistowską, wysterylizował setki tysięcy ludzi na całym świecie, a właśnie w Polsce z początku XX wieku proponował utworzenie policji sanitarnej. Pomysł sterylizowania, rozwinięty np. w Szwecji do skali przemysłowej, oparty był na założeniu, że nie przynosi szkody jednostce, a tylko poprawia finanse publiczne. Wantuch po swojemu ujął to odnośnie do dokarmiania bezdomnych w taki sposób: „Mówię uczciwie: to nie jest obliczone na pomoc bezdomnym. To jest obliczone na pomoc mieszkańcom". Jednym z jego pomysłów, jak ograniczyć działalność organizacji rozdających jedzenie, byłoby cofnięcie im dotacji miejskich i zlikwidowanie ulg na wynajem lokali. W innej wypowiedzi, niczym oficer niepowstałej policji sanitarnej, proponował, by powstał zakaz umożliwiający niewpuszczanie do tramwajów i autobusów komunikacji miejskiej ludzi, którzy „śmierdzą". Jednak by uzmysłowić wszystkim czytelnikom, jak bardzo krakowski radny jest konsekwentny w swoich pomysłach higienicznych, warto przywołać jego pomysł z 2013 roku: „Chodzi mi o podjęcie dyskusji, czy nie wprowadzić wyższej składki zdrowotnej dla osób otyłych. Prawdziwą plagą XXI wieku nie jest wcale HIV ani nic innego. To otyłość: to ona naraża budżety państwa na największe straty. Wprowadzenie wyższych składek dla osób z nadwagą zachęciłoby ich do dbania o swoje sylwetki, a tym samym o zdrowie". W powiązaniu z jego innymi, co dziwne — całkiem niegłupimi pomysłami, trudno mu przypisać dążenia totalitarne oscylujące wokół faszyzmu, raczej bliżej mu do socjaldemokratycznych szwedzkich autokratycznych urzędników, którzy poddali społeczeństwo totalnej kontroli, wprowadzili przepisy regulujące niemal wszystko, sterylizowali ludzi na podstawie urzędowego orzeczenia, zapisywali przymusowo wszystkie dzieci do państwowego (!) kościoła, a dorosłych do związków zawodowych. Przepytywany w programie „Trzy Szybkie" o to, czemu tak naciska na uchwałę, która doprowadzi do pozbycia się bezdomnych z centrum Krakowa i dlaczego nie wystarczą statutowe obowiązki Straży Miejskiej, by przeciwdziałać negatywnym efektom ich obecności w centrum i ich karać, odpowiedział, że ma to doprowadzić do fizycznego pozbycia się bezdomnych z Krakowa, doprowadzić do uczynienia go nieatrakcyjnym dla nich, stwierdził nawet, że pobyt w areszcie jest dla nich przyjemnością, a ponieważ są nieściągalni, gdy chodzi o mandaty czy grzywny, to potrzebne są rozwiązania systemowe. Pijani i sikający w miejscach publicznych Anglicy (i wszyscy alkoturyści) nie są już takim problemem, gdyż można ich karać finansowo, mogą płacić za swoje występki, więc nie są tak „nieprzydatni", „niepożyteczni", są po prostu dochodowymi turystami.



Autor: Pablo

Nie można mówić, że Łukasz Wantuch jest ewenementem, wyjątkiem, choć jest chyba najbardziej spektakularny w propagowaniu swoich wizji. Miasta, jako ciała urzędnicze, czynią jeszcze wiele innych kroków, by przestrzeń miejską uczynić bardziej sterylną i higieniczną. Można tu wymienić np. procesy gentryfikacyjne, przesiedlanie mieszkańców do lokali komunalnych położonych na obrzeżach miast, zazwyczaj słabo skomunikowanych z centrum, o kiepskiej infrastrukturze, nieatrakcyjnych i, co zapewne równie ważne — mało widocznych dla inwestorów i turystów. Podobnie odbywało się „ukrywanie" społeczności romskich. Z kolei rady miejskie, gminne, powiatowe, a nawet wojewódzkie, kierowane swoiście pojmowaną higieną moralną, ogłaszają, że ich terytoria wolne są od „ideologii LGBT", co jest dość kontrowersyjne choćby dlatego, że deklaracje te, choć przegłosowane zgodnie z prawem, nie odwołują się do żadnych zapisanych w ustawie zadań samorządowych. Takich jednostek samorządowych w lipcu 2019 roku było jednak ponad 30. Ciekawe, że żadne z nich nie ogłosiły się wolnymi od korupcji czy nepotyzmu, choć akurat na to mają wpływ i jest to na pewno o wiele bardziej oczekiwane przez mieszkańców. Podobnie ma się sprawa z wielokrotnie powtarzającą się praktyką zakazywania Marszów Równości przez prezydentów miast, w których miały się odbyć, a które to zakazy były następnie uchylane przez sądy, jako nieposiadające podstaw prawnych. Urzędnicy tak postępujący niczym nie różnią się od żenujących aktywistów Młodzieży Wszechpolskiej, którzy chcieli dezynfekować ulice, po których przemieszczał się Marsz Równości, a nie jest to przecież zupełnie zadaniem tych urzędników, by jakimś „higienicznym" zabiegiem ukryć ludzi czy problemy, lub by je usunąć poza granice miasta. Tak na przykład postąpili urzędnicy Uniejowa, którzy ludzi z problemami alkoholowymi wysiedlają z miasta do innych lokali komunalnych, położonych już poza jego granicami. Podobny krok uczynili radni krakowskiej Nowej Huty, którzy nie zgodzili się na proponowaną lokalizację ogrzewalni dla bezdomnych i świetlicy dla seniorów, w zamian umieszczając w tymże budynku posterunek Straży Miejskiej. Problem ukryty nie istnieje? Jak daleko mogą się posunąć samorządy, ustanawiając standardy higieny miejskiej? Gdy pozbędą się handlarzy pietruszką, bezdomnych, lokatorów komunalnych z centrum miast, Romów, alkoholików, drzew, tęczowych flag, uregulują wszystkie rzeki i sadzawki, obejmą wszystkie ulice kontrolą kamer, to czym zajmą się w następnej kolejności? ★

Wzrost czy cywilizacja?

Wszyscy (oprócz skrajnych wyjątków) mają już świadomość kryzysu, jaki nas czeka w wyniku zmian klimatu. Trąby powietrzne, susze i inne anomalie pogodowe już dotknęły Polskę i świat. Stąd też rok 2019 obfitował w liczne protesty osób domagających się zmian. Pomysły na to są różne: od paneli obywatelskich, po zmiany w sektorze energetycznym – panele fotowoltaiczne lub Elektrownie Jądrowe (EJ). Choć część z tych rzeczy zaczyna być wdrażana, światowe emisje CO_2 nadal rosną. W 2018 roku osiągnęły rekordową ilość 37,1 mld ton. Wiąże się to ze światowym wzrostem zużycia energii o prawie 3%. Jak więc z tym walczyć? Odpowiedzią jest idea *degrowth*, po polsku zwana postwzrostem.

Kawka

Postwzrost jest bardzo często mylnie kojarzony i równany z prymitywizmem. Jednak w przeciwieństwie do tego drugiego nie zakłada, że mamy wrócić do lepianek. Mówi o tym, że aby się uratować, musimy skończyć ze wzrostem PKB i mierzeniem wszystkiego tą miarą, inaczej cywilizacja upadnie, a z nią i samo PKB. Wybór jest prosty – albo zrobimy to teraz sami, albo klimat zrobi to za nas. Wówczas jednak dojdzie do tego w sposób niekontrolowany.

W tak krótkim tekście nie da się opisać całej idei, pokazać, w jaki sposób dzięki postwzrostowi można ograniczyć emisje CO_2. Przytoczę więc teraz zaledwie kilka przykładów w najbardziej emisyjnych sektorach.

Energetyka

To właśnie z tego sektora pochodzi najwięcej emisji. Oczywiście głównym problemem jest węgiel. Ale czy tylko? W tym roku w środowisku ekologicznym i obrońców klimatu rozgorzała na nowo dyskusja, czym go zastąpić. Oczywiście każda racjonalnie myśląca osoba jest przeciwna wprowadzaniu jako alternatywy gazu, który w stosunku do czarnego złota wcale nie ogranicza emisji w znaczącym stopniu. Dlatego alternatywą są odnawialne źródła energii (dalej OZE) lub atom. Większość środowiska skłania się ku OZE, są też i tacy, którzy uważają (podobnie zresztą jak partia rządząca), że atom jest najlepszym rozwiązaniem. Skąd jednak wziął się atom w energetyce?

Początki swojej historii kapitalizm opierał na energii z drewna. Lasy szybko zaczęły znikać, więc zamiast ograniczyć produkcję, kapitaliści znaleźli nowe źródło energii, jakim były paliwa kopalne (węgiel i ropa naftowa), które doprowadziły nas do aktualnego kryzysu. Wiedząc, że węgiel też jest zasobem, który może się wyczerpać, rozpoczęli poszukiwania nowego źródła, które w stabilny sposób umożliwi dalszy wzrost. Pod koniec lat 30. udało się przeprowadzić i opisać rozszczepienie atomu. Dawało to dostęp do energii o olbrzymiej mocy. W konsekwencji rozpoczęto budowę Elektrowni Jądrowych.

Tymczasem to właśnie nieustanny wzrost jest głównym problemem energetyki. To przez niego emisja CO_2 w ostatnich dwóch latach nieustannie rośnie. Nie będziemy w stanie osiągnąć celu, jakim jest ograniczenie emisji o połowę przez następne 10 lat, dopóki nie ograniczymy zużycia energii. Wprowadzanie atomu podtrzymuje przekonanie, że dalej możemy zużywać więcej prądu, bo nigdy nam go nie zabraknie (co okazało się problematyczne w te wakacje, kiedy w wyniku braku wody do chłodzenia, kilka reaktorów w Niemczech i Francji zostało wyłączonych).

W nadchodzących warunkach klimatycznych nie jest to więc właściwe rozwiązanie i żadne źródło energii chłodzone wodą lub ją zużywające nie może być tak traktowane.

EJ generują jeszcze dwa problemy (wymieniając tylko te dotyczące dekarbonizacji, bo innych jest o wiele więcej):

- najkrótszy realny czas budowy reaktora to 15 lat, więc zanim zaczną pracować i zastępować węgiel, przekroczymy już rok 2030, który jest pierwszą datą graniczną dla osiągnięcia celu, tj. ograniczenia emisji o 40%
- do 2050 roku mamy mieć, zgodnie z celami określonymi przez naukowców, neutralność klimatyczną (czyli światowo produkować tyle CO_2, ile oceany, lasy i gleba będą w stanie pochłonąć); nie spełnimy jednak tych wymogów, korzystając z EJ, których czas budowy razem z czasem eksploatacji wynosi kilkadziesiąt lat, więc nie będzie możliwości wyłączenia ich, a tym samym ograniczenia emisji pochodzącej z produkowanej przez nie energii w 2050 roku.

OZE staje się coraz popularniejsze, jednak bez ograniczenia zużycia energii nigdy nie będzie w stanie zaspokoić potrzeb ludzkości. I tutaj przechodzimy do drugiego sektora.

Redukcja

Za przykład posłuży nam sektor przemysłowy. Możemy w nim ograniczyć zarówno zużycie energii elektrycznej, jak i surowców. Większość produktów, które trafiają do Europy i Polski, jest produkowana w Chinach i dostarczana do nas już gotowa lub jako komponenty. Kapitalizm potrzebuje nieustannego wzrostu, więc nie może pozwolić sobie na to, abyśmy używali telefonu lub komputera przez następne 20 lat, ponieważ mamy kupić nowy. Stąd też powszechna jest polityka postarzania produktu, znana również jako „spisek żarówkowy". Bateria w urządzeniu musi wytrzymać maksymalnie 2 lata, jeśli jednak uda nam się zachować ją dłużej, stracimy możliwość wgrania najnowszych aktualizacji oprogramowania, co zmusi nas do kupna nowego sprzętu. Dzięki temu produkcja na rynku chińskim zwiększyła się w ciągu ostatnich 10 lat ponad dwukrotnie. Gdyby odwrócić ten proces i wrócić do trwałych produktów, które zamiast 2 lat wytrzymają 20 (co jest technologicznie możliwe, patrząc chociażby na stare, nieśmiertelne urządzenia), jesteśmy w stanie w znacznym stopniu ograniczyć emisję. Wydawać się to może błahostką, jednak tylko takie działanie pozwoli nam na spadek emisji do 20% – czyli połowę celu z 2030 roku. Takie rozwiązanie jest jednak nie na rękę producentom, więc nikt nawet nie bierze go pod uwagę.

Nadmiary

Rolnictwo wraz z uprawą ziemi i wylesianiem odpowiada za emisję CO_2 „tylko" w ponad 20%, jednak metanu już w 50%. Ktoś powie, że tu nie da się nic uciąć, bo jeść musimy wszyscy, a przecież nie chcemy zabijać połowy ludzkości. Jeśli chodzi o nadmiary, zaproszę was więc najpierw na wycieczkę na tyły pierwszego lepszego supermarketu. Wystarczy podejść do stojącego tam kontenera i zobaczyć, ile leży w nim, w przeważającej większości jeszcze dobrego, jedzenia. Szacuje się, że marnujemy aż 1/3 światowej żywności i to tylko dlatego, że właściciele dużych sklepów mają ją gdzieś. Jeśli jeszcze jesteście na wycieczce, zwróćcie uwagę na absurdalne zabezpieczenia tych kontenerów i na fakt, że za zabranie wyrzuconego banana grozi Wam areszt, gdyż w dalszym ciągu jest to kradzież. Możemy tu mówić o tym, że gdyby żywność, którą produkujemy, była inaczej dystrybuowana, nie byłoby problemu głodu. Jednak teraz rozmawiamy o emisjach. Z prostej matematyki wychodzi, że 1% produkowanej energii oraz ok. 7% CO_2 i ok. 17% metanu emitowanych rocznie trafia do śmietnika. Pamiętajmy też, że w produkcji dzieje się podobnie. Rolnictwo pokazuje jeszcze jeden problem.



Autor: Pablo

Tranzyt

To teraz przejdźmy do wnętrza sklepu. Transport odpowiada za 30% zużycia energii i emisję gazów na poziomie 15%. Spójrzmy na półki – ziemniaki z Turcji, cebula z Hiszpanii. Wszystko szczelnie zapakowane w plastik. Czy naprawdę kapitaliści mają tak słabo wykształconych logistyków, że nie są w stanie sprzedawać produktów lokalnie, tylko muszą je przerzucać przez cały kontynent? Jednocześnie, dzięki temu, że są w stanie zaoferować dużo niższe ceny, eliminują lokalnych sprzedawców, którzy handlują produktami z pobliskich wiosek. Ciężko jest mi wyliczyć, jakie korzyści dla planety dałoby skończenie z tym procederem, z pewnością jednak znaczne.

Samochody

Poza transportem towarowym istnieje jeszcze indywidualny. I to on w 60% odpowiada za emisję w tym sektorze. Z czego to jednak wynika? Zastanówmy się. Największe korki mamy rano i ok. godz. 15, kiedy ludzie z kamienic i blokowisk jadą do podmiejskich fabryk, a mieszkańcy podmiejskich domków deweloperskich jadą do banków i biurowców w centrum. Wtedy obserwujemy nerwowych kierowców siedzących samotnie w pięcioosobowych samochodach produkujących smog. Zawdzięczamy więc to wszystko organizacji pracy. W XIX wieku małe fabryki i manufaktury znajdowały się w bliskim sąsiedztwie mieszkań pracowników, tak by mogli bez problemu dojść pieszo do pracy. Z czasem międzynarodowi giganci wykupywali mniejsze firmy, w tym te państwowe i spółdzielcze, i koncentrowali produkcję w ogromnych obozach pracy, w specjalnych strefach ekonomicznych. W ten sposób, by dojechać do miejsca zatrudnienia, niektórzy pokonują dystans ponad stu kilometrów dziennie w jedną stronę. Decentralizacja miejsc pracy przyniosłaby ulgę pracownikom, którzy nie musieliby spędzać kilku godzin dziennie w podróży oraz w znacznym stopniu ograniczyłaby emisję.

I tutaj pojawia się kolejny problem:

Transport publiczny

Przemysł motoryzacyjny robił wszystko, aby samochody osiągnęły sukces. W niektórych krajach i miastach wykupywał linie tramwajowe i doprowadzał je do bankructwa. W konsekwencji również w Polsce mamy sytuację, w której dotarcie do niektórych wsi i miasteczek transportem publicznym jest bardzo trudne lub niemożliwe, co zmusiło ich mieszkańców do zakupu samochodów. W rezultacie mamy więc coraz więcej samochodów i dróg. Budowane są one często kosztem terenów zielonych, w tym tych cennych przyrodniczo. Dlaczego zamiast nich nie kładzie się nowych linii kolejowych? Wiele z tych, które istniały jeszcze 15 lat temu, zostało zlikwidowanych, nie pozostawiając alternatywy dla samochodów. Transport międzynarodowy, zamiast przerzucić ciężar na kolej, odbywa się w dalszym ciągu na drogach. W aktualnej działalności wielu rządów (w tym polskiego) nie widać nadziei na zmianę w tym zakresie.

Problem ten istnieje też na poziomie miejskim. Władze, zamiast inwestować w tani lub darmowy transport publiczny dostępny dla wszystkich i konkurencyjny dla samochodów, wolą łatać drogi zniszczone przez samochody i budować cały czas nowe miejsca parkingowe. Dopóki ta polityka się nie zmieni, nie wygramy ze zmianami klimatu.

Niektórzy w tym przypadku szukają nadziei w pojazdach elektrycznych. I owszem, mogą być one nadzieją, jeśli chodzi o transport publiczny czy samochody służb miejskich. Jednak jeśli wszyscy posiadacze samochodów zmienią je teraz na „elektryka", to wyprodukujemy takie ilości CO_2 do ich produkcji, że wbijemy sobie gwóźdź do trumny. Już nie wspominając, że zabraknie nam zasobów do produkcji baterii. Jest to znamienne, że tutaj, podobnie jak w przypadku energetyki i każdego innego sektora, zastąpienie jednego przedmiotu innym nie jest możliwe bez znacznego ograniczenia produkcji i co za tym idzie konsumpcji.

Kapitalizm

Ostatnio coraz więcej osób, w tym ekonomistów, zauważa, że postwzrost jest naszą jedyną nadzieją. Jednak część z nich próbuje bronić systemu, twierdząc, że jest możliwe jego przeprowadzenie w ramach kapitalizmu, co jest kłamstwem. Przykłady, które tu wymieniłem, zwłaszcza dotyczące produkcji i rolnictwa, wiążą się automatycznie z ograniczeniem PKB. Przypomnijmy sobie, kiedy ostatnio nastąpił jego spadek – podczas kryzysów gospodarczych i krachów giełdowych. Kapitalizm jest zaprogramowany tak, że kiedy nie ma wzrostu, od razu pojawia się kryzys, w wyniku którego najbardziej cierpią najbiedniejsi. Dlatego właśnie, mimo że koncerny naftowe wiedziały o szkodliwości paliw kopalnych dla planety i ludzi, od 50 lat nic z tym nie zrobiły. Podobnie teraz, pomimo tego, że rozwiązania same się nasuwają, wielkie przedsiębiorstwa i podporządkowane im rządy z nich nie korzystają i nie rezygnują z wydobycia węgla, aby kapitalizm mógł trwać – nawet kiedy nas już nie będzie z powodu zmian klimatu.

Podsumowując

Jak wspomniałem na początku tekstu, nie da się streścić całej idei postwzrostu w jednym artykule. Mam jednak nadzieję, że udało mi się ją pokazać na konkretnych przykładach. Gdyby wprowadzić w życie wszystkie zmiany zawarte w tym tekście, jesteśmy w stanie ograniczyć emisję o potrzebne na ten moment 40%, bez wyłączania prądu w szpitalach i większej zmiany w naszych domach (może z wyjątkiem samochodów). Jesteśmy w stanie to zrobić nawet bez zmiany aktualnego miksu energetycznego i zamykania kopalń. Wprowadzając ten dodatkowy krok, w ciągu kilkunastu lat moglibyśmy osiągnąć wszystkie założone przez naukowców cele klimatyczne. *Degrowth* jest jedyną nadzieją na ocalenie ludzkości. ★

RATUJ PLANETĘ, NISZCZ KAPITALIZM!

Nie będę pisał wielkich apelów mądrymi słowami. Nigdy nie studiowałem, jestem zwykłym fizycznym pracownikiem. Mam 30 lat, w domu gazówkę „Ewa", a w korytarzu pralkę „Frania", która służy jako szafka. Oba te urządzenia są starsze ode mnie, gazówka działa codziennie od kilkudziesięciu lat, pralka jest używana, gdy psuje się nowa — kilkuletnia pralka kupiona za pół wypłaty. Telefony, narzędzia w warsztacie, telewizor, łopaty, taczki, ubrania...

Za kilkanaście lat zostaną wyczerpane światowe zasoby srebra, złota i innych cennych minerałów (m.in. złoto wykorzystuje się do produkcji telefonów). Wymieniać mogę tak samo długo, jak każdy z Was. Wszystkie te przedmioty łączy to, że mimo tego, iż możliwości są coraz większe, technologia rozwinięta coraz bardziej — rzeczy robi się coraz gorsze, by szybko się zepsuły, a reklama podsyci ludzi, by kupowali nowe.

Produkuje się coraz więcej jednorazowych rzeczy mimo tego, że od dawna technologia daje możliwości robienia rzeczy nieśmiertelnych — jak żarówka i miliony innych. Tymczasem w szalejącym kapitalizmie jest ważne to, by produkować bez końca, eksploatować bez końca, sprzedawać i zarabiać bez końca. Bez względu na to, że środowisko jest zanieczyszczane, że nasze wnuki prawdopodobnie przeklną nas za degradację środowiska, zniszczenie powłoki ozonowej, globalne ocieplenie, zanik wielu gatunków, problemy z wodą pitną. Tymczasem promowane są bzdury, żeby wodę oszczędzać, używać ekologicznych opakowań, segregować śmieci itd. Nie neguję takich rozwiązań i sam je stosuję, jednak zdaję sobie sprawę, że to jest kropla w oceanie potrzebnych zmian. W rzeczywistości 90% wody zużywane jest w przemyśle i rolnictwie (spora część przy produkcji mięsa), a tylko 10% przypada na życie codzienne. Tyle samo wody zużywają wszyscy ludzie w swoich domach, co pola golfowe*. Nie łudźmy się: gdy my na dole będziemy umierać z pragnienia, pola golfowe nadal będą nawadniane. A emisja dwutlenku węgla? We Wrocławiu mamy już prawie tyle samo samochodów co mieszkańców, wpływ wzrostu zagęstnienia samochodowego jest ogromny: wiecznie zakorkowane ulice, smog i zanieczyszczenie powietrza utrzymujące się w zimie i w lecie, smród i hałas. Ale niewiele osób zdaje sobie sprawę z tego, że luksusowe rejsy statkami emitują tyle samo dwutlenku węgla co cały transport w Unii Europejskiej*! A ty jeździsz dalej w tym smrodzie rowerem do pracy? Pytanie jest retoryczne, ponieważ raczej nie pojedziesz podpalić luksusowego statku, jedyne co możesz zrobić, to jechać jednośladem. To samo tyczy się segregacji śmieci. W Stanach Zjednoczonych śmieci komunalne to tylko 3% wszystkich odpadów**. W Europie jest podobnie. Oznacza to, że nawet jeśli wyznajesz zasadę *zero waste* (zerowa produkcja śmieci), dla środowiska nie ma to większego znaczenia. Czy to znaczy, ze masz zaprzestać tych działań? Oczywiście, że nie! Wszelkie działania ekologiczne są cenne jako przykład dla innych ludzi, nie są jednak zmianą społeczną, nie są rewolucją.

Uważam, że nie ma ratunku dla tej planety bez walki z kapitalizmem. System, gdzie własność prywatna i zysk za wszelką cenę jest postawiona ponad wszystkim innym, a planeta, zasoby naturalne czy po prostu zwykły człowiek jest na samym końcu tej piramidy i nigdy nie będzie troszczył się o planetę, gdyż codziennie musi walczyć o swój byt. Zachęcam do włączenia się do współpracy z grupami, które podnoszą prawdziwy problem katastrofy ekonomicznej — czyli systemu, który opiera się na osiąganiu ciągłego zysku, nie zważając na nic innego. Zapraszamy do Federacji Anarchistycznej, Młodzieżowego Strajku Klimatycznego, Wolnej Biblioteki, Związku Syndykalistów Polski, Obozu Dla Klimatu czy innych, które podnoszą temat i nie boją się otwarcie mówić o prawdziwych powodach katastrofy ekologicznej, zamiast namawiać do korzystania z knajp, gdzie nie używa się jednorazowych opakowań. Jeśli nie zjednoczymy się w walce z wielkim kapitałem, wiedzmy, że w kryzysie klimatycznym to biedni umrą pierwsi. Bogaci już teraz wykupują sobie działki na najbezpieczniejszych terenach. ★

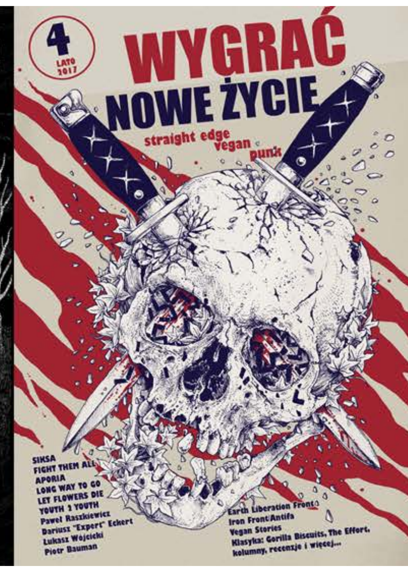
*http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/7,114881,24914311,luksusowe-rejsy-niszcza-srodowisko-emituja-wiecej-tlenku-siarki.html

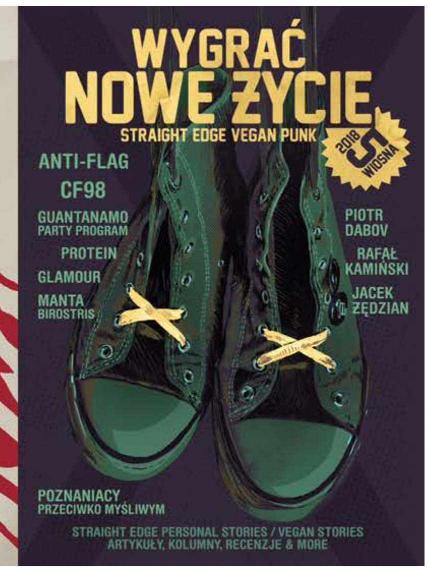
**https://nowyobywatel.pl/2016/06/22/uluda-krotkiego-prysznica/











EKOFASZYZM

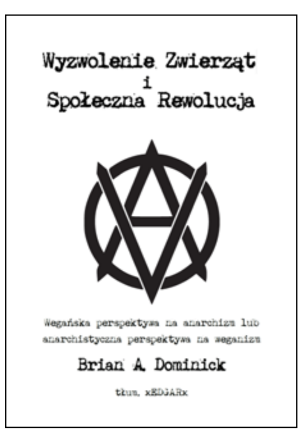


Problem infiltracji środowisk ekologicznych i przywłaszczania ich idei przez grupy kierujące się ideologią nienawiści nie jest niczym nowym. (...) Wiadomo od dawna np. o próbach przeniknięcia głosicieli supremacji białej rasy do brytyjskich Zielonych już w latach 80. W kolejnej dekadzie zauważono wzrost zainteresowania ze strony skrajnej prawicy takimi grupami jak Animal/Earth Liberation Front, a szczególnie ich aktywistami popadającymi w mizantropię. W 2013 roku niemieckie media alarmowały o skupowaniu ziemi przez ugrupowania nacjonalistyczne na zaniedbanych gospodarczo terenach w celu włączenia się w ekologiczną produkcję zdrowej żywności. W Internecie można natknąć się na coraz to nowsze ugrupowania łączące postulaty ekologiczne z narodowy radykalizmem. tego typu przykładów jest o wiele więcej. Ktoś mógłby zapytać, po co właściwie się tym przejmować, skoro „zieloni faszyści" to w dalszym ciągu plankton, który jedynie sprawia wrażenie większego ruchu poprzez aktywność internetową?

(...) U podstaw przyjmowania przez dzisiejszych faszystów/nazistów ekologicznego spojrzenia na świat leży przede wszystkim idea „krwi i ziemi" (niem. Blut und Boden) zakładająca przywiązanie człowieka do terenu, na którym żyje, a także do lokalnej przyrody. Krew miała oznaczać naród jednej rasy, zaś ziemia ojczyznę. Za wzór ukazywano życie w zgodzie z naturą i jej cyklami. Z tego też powodu ideolodzy nazistowscy, przejmując ową koncepcję od dziewiętnastowiecznych, romantycznych nacjonalistów-rasistów, stawiali na piedestale niemieckich rolników jako tych, którzy są wierni „prawdziwej" tradycji ludów germańsko-nordyckich i w pełni dostrzegają „naturalny porządek".

(...) Współczesnych eko-nazistów z hitlerowskim dowództwem łączy jedno — skrajna hipokryzja. Abstrahując już od tego, czy faktycznie elita III Rzeszy była wrażliwa na los innych gatunków, czy była to jedynie sprytna próba wyłagodzenia wizerunku (nie ma to tak naprawdę znaczenia), zapomina się o jednym. Człowiek to też zwierzę. Niezależnie od ewentualnego oburzenia przedstawicieli antropocentrycznych religii bądź, opierających się na mitologizacji, systemów światopoglądowych, osiągnięcia niezliczonych antropologów, biologów i genetyków jasno wskazują na łączność homo sapiens z królestwem zwierząt. Dlatego też określanie się mianem obrońcy żywych istot przy jednoczesnym przedmiotowym, dyskryminującym traktowani grup społecznych, które nie pasują nam z jakiś powodów, jest gigantyczną niekonsekwencją. Nie wspominając już nawet o faktycznym zabijaniu kogokolwiek z tych zbiorowości z tak irracjonalnego powodu jak jego pochodzenie/kolor skóry/płeć/religia/orientacja/poglądy polityczne, by chwilę potem ubolewać nad problemem polowań. ★

WEGANARCHIZM



Od pewnego już czasu wyzwolenie zwierząt oraz walczący w tej sprawie aktywiści uwikłani są w gorącą dyskusję. Choć sama teoria wyzwolenia i związany z nią aktywizm rzadko są brane na poważnie przez mainstreamową lewicę, wielu anarchistów dostrzega ich słuszność, nie tylko jako istotną sprawę, lecz także jako integralną i niezbędną część radykalnej teorii oraz rewolucyjnej praktyki. Podczas gdy większość osób określających się mianem anarchistów nie przeszła na weganizm jako styl życia wynikający z idei wyzwolenia zwierząt, rosnąca liczba młodych anarchistów włącza w swoje praxis ekologię i inkluzywny dla zwierząt sposób myślenia.

W podobny sposób wielu wegan i wyzwolicieli zwierząt znajduje się pod wpływem myśli anarchistycznej oraz jej bogatej tradycji. Dowodem na to jest rosnąca wrogość pro animalistycznych aktywistów wobec państwowego, kapitalistycznego, seksistowskiego, rasistowskiego i ageistycznego establishmentu, który zwiększa intensywność prowadzonej przez siebie wojny, wymierzonej nie tylko w pozaludzkie zwierzęta, ale też i w ich obrońców. Relatywnie nowa społeczność wyzwolicieli zwierząt błyskawicznie staje się świadoma całokształtu siły napędzającej maszynę szowinizmu gatunkowego, którą jest współczesne społeczeństwo. W momencie, gdy tego typu świadomość rośnie, tak samo powinna zacieśniać się więź między bojownikami o wyzwolenie zwierząt i ich bardziej zorientowanymi na społeczeństwo odpowiednikami — anarchistami.

Im więcej dostrzeżemy podobieństw i współzależności między naszymi walkami, które kiedyś traktowaliśmy jako całkiem oddalone od siebie, tym lepiej zrozumiemy, co tak naprawdę znaczą „wyzwolenie" i „rewolucja".

Pomijając nasze dalekosiężne perspektywy, anarchiści i wyzwoliciele zwierząt dzielą tę samą strategiczną metodologię. Nie mówiąc za wszystkich, sądzę, że ci, których uważam za prawdziwych anarchistów i wyzwolicieli, dążą do zrealizowania naszych celów za pomocą wszelkich skutecznych środków. Rozumiemy, wbrew naszemu obrazowi prezentowanemu przez główny nurt, że bezmyślna destrukcja i przemoc nie zakończy tego, co chcemy zwalczyć. Lecz w przeciwieństwie do liberałów i postępowców, których cele są ograniczone do reform, jesteśmy gotowi przyznać, że prawdziwa zmiana nastąpi tylko wtedy, gdy dodamy naszą niszczycielską siłę do twórczej transformacji opresyjnego społeczeństwa. Możemy zbudować co tylko chcemy i powinniśmy być jak najbardziej aktywni. Jednakże rozumiemy też, że możemy znaleźć miejsce na nieskrępowaną kreację tylko poprzez wymazanie tego, co istnieje, aby zapobiec naszej wolności.

Jestem weganinem, ponieważ wykazuję współczucie w stosunku do zwierząt; widzę je jako istoty o wartości równej wartości ludzi. Jestem anarchistą, ponieważ mam to samo współczucie dla ludzi, a także odmawiam przyjmowania perspektywy podyktowanej kompromisem, połowicznymi strategiami i zaprzedanymi celami. Jako radykał, moje podejście do wyzwolenia zwierząt i ludzi jest bezkompromisowe: całkowite wyzwolenie dla wszystkich.

W poniższym eseju chciałbym pokazać, iż każda próba osiągnięcia społecznej zmiany musi w sobie zawierać zrozumienie nie tylko relacji społecznych, ale też i relacji pomiędzy ludźmi i naturą, włączając w to pozaludzkie zwierzęta. Mam również nadzieję pokazać, dlaczego żadne próby wyzwolenia zwierząt nie są możliwe bez dogłębnego zrozumienia i zanurzenia się w społeczną rewolucję. Wszyscy musimy się stać, jak wolicie, „weganarchistami". ★

Brian A. Dominick, Wstęp, sierpień 1996
Tłumaczenie: xEDGARx / Wygrać Nowe Życie 2019

Wygrać Nowe Życie **to fanzine działający w obrębie sceny hardcore/punk, osadzony w tradycji i estetyce DIY (zrób to sam). Naszym głównym celem jest promowanie zdrowego stylu życia, wolnego od substancji zmieniających świadomość, oraz filozofię i dietę wegańską. Z założenia ma to stanowić alternatywę dla konsumpcyjnego stylu życia, opartego na destrukcyjnym stosunku do siebie, otoczenia i bezmyślnym okrucieństwie wobec zwierząt. Bliska naszemu sercu jest postawa straight edge, oparta na wzajemnym szacunku, świadomości i rozwoju osobistym.**

Trzymamy się z daleka od jakiejkolwiek religii, kościoła czy organizacji politycznych. To nasz prywatny stosunek i nie zabraniamy nikomu mieć własnego. Jednak nasza tolerancja kończy się tam, gdzie zaczyna się nienawiść. Nie mamy nic wspólnego z nacjonalistyczną mutacją SxE. Jesteśmy bezwzględnie przeciwko jakiejkolwiek ideologii opartej na nienawiści, w tym faszystowskiej, rasistowskiej, seksistowskiej, homofobicznej etc.

Muzyka hardcore/punk to nasza młodość, pasja i zaangażowanie. Dlatego jest ona tak bliska naszemu sercu i dlatego prezentujemy na naszych łamach zespoły i wszelkie formy aktywności działające w obrębie tego gatunku.

Jesteśmy otwarci na współpracę z każdym, kto podąża tą samą ścieżką, lub bliskie mu są podobne wartości. Aby gościć na naszych łamach, nie trzeba koniecznie być vegan/straight edge, ale trzeba mieć coś ciekawego do powiedzenia oraz — co wydaje się oczywiste — pozytywny stosunek do w/w wartości. To, w jaki sposób żyjesz jest kwestią Twojego indywidualnego wyboru, my nie oceniamy, nie krytykujemy i nie mówimy, co jest lepsze. Staramy się jedynie swoją postawą pokazać, jak żyjemy, co jest dla nas ważne i dlaczego.

Stay true! Stay Positive! ★

Business as usual

Redakcja A-Taku otrzymała taką oto wiadomość:

„W październiku postanowiliśmy przypomnieć o roli banku PKO BP w inwestycji, która będzie mieć katastrofalny wpływ na nasz klimat i zdrowie nas wszystkich. W tym celu przygotowaliśmy adekwatne do sytuacji plakaty „reklamowe" wspomnianego banku i powiesiliśmy je w wielu miejscach na terenie miasta Poznania.

Bank PKO BP jako jeden z ostatnich inwestuje pieniądze (miliardy złotych) swoich klientów w węgiel, a co za tym idzie, niszczy naszą przyszłość i przyczynia się do zmian klimatu. PKO BP udzieliło kredytów o wysokości 800 mln złotych na budowę jedynej w tym momencie planowanej elektrowni węglowej w Europie — Ostrołęki C i planuje przeznaczyć kolejny miliard na obligacje, aby budowa mogła ruszyć. Zamiast inwestować w naszą przyszłość, inwestują w jej brak. Dla PKO zyski są ważniejsze niż klimat. Ważniejsze niż pieniądze klientów, ponieważ inwestowanie ich w nieopłacalny węgiel może skończyć się ich stratą.

Jeżeli macie konto w tym banku lub swoje pieniądze zastanówcie się nad ich usunięciem i skasowaniem konta". ★



Trzy pytania do...

Janusza „Janego" Waluszko



Gdańsk, 2012 r.

Czym była ekologia dla polskiego ruchu anarchistycznego w latach 80.?

Kolejnym odkrytym tematem, którego nie ruszała dawna, dorosła opozycja, czyli „Solidarność". Z tego zagadnienia wyrosły nowe ruchy społeczne, takie jak: pacyfizm (odmowa służby wojskowej, walka bez przemocy), porozumienie z Ukraińcami (sprawy mniejszości w ogóle), miasto dla człowieka (ruchy miejskie), także kontrkultura (choć i kontestacja jej wersji apolitycznej, popkultury), sprawy obyczajowe...

Jakie znaczenie miała ekologia w latach 90.?

Z jednej strony silny nacisk na władzę (dzięki czemu jest czym oddychać, mówiąc w dużym uproszczeniu), organizowanie się grup lokalnych wokół bardzo różnych tematów (w Gdańsku było ich wiele, najmocniej poszło to w rozwój komunikacji rowerowej, najsilniejszy w Polsce). Z drugiej strony odpływ ludzi i korumpowanie różnych grup przez system — organizacje pozarządowe za granty zajęły się tematami akceptowanymi przez system, a ruszanie niewłaściwych, np. Elektrowni Jądrowych, było karane obcinaniem dotacji, odbieraniem lokali etc., na co szli tylko radykałowie; ba, dochodziło do sprzedawania się całych formacji za jawne łapówki, jak sprawa Obywatela w Łodzi itp.

Jak oceniasz współczesne zagrożenie ekologiczne i sytuacje, która się wokół tego buduje? Pytam, ponieważ zauważyliśmy, że pewne środowiska próbują zniechęcić ludzi do anarchistów (np. poprzez internetowy trolling itd.)?

Tu nie chodzi o zniechęcanie do anarchistów, tylko o negowanie zagrożeń ekologicznych przez całą prawą stronę sceny politycznej, lobbing na rzecz elektrowni jądrowych ze środowiska technokratów, ale także ludzi mających się za ekologów, np. lewaków, według których wystarczy zanegować CO_2 i będzie ok, np. budując elektrownie jądrowe; choć to oznacza nie tylko zagrożenie awariami, ale przede wszystkim wzmocnienie systemu — Odnawialne Źródła Energii są związane z samorządnością prosumentów, a elektrownie jądrowe to wielkie inwestycje, koncerny, układy z władzą (ciągła wymiana kadr między polityką i administracją państwową a koncernami energetycznymi), co w połączeniu z hasłem bezpieczeństwa, kontroli czy szykanowaniem ekologów jako zagrożenia oznacza po prostu elementy państwa policyjnego i mafijnego zarazem, bo mafia to nie uliczni gangsterzy a powiązania władzy i biznesu.★

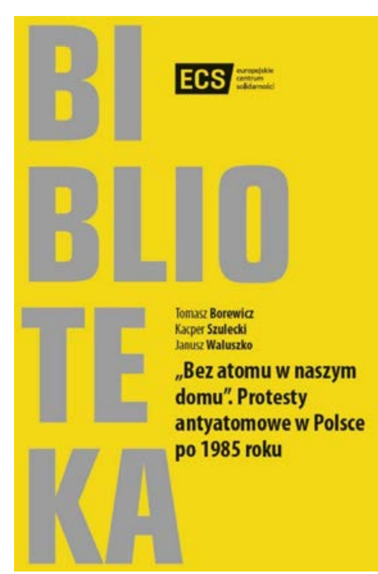
Rozmawiał Kapitan Flint

„Bez atomu w naszym domu". Protesty antyatomowe w Polsce po 1985 r.

Praca zbiorowa autorstwa Tomasza Borewicza, Kacpra Szuleckiego i Janusza Waluszko o protestach przeciw energetyce jądrowej w Polsce umiejscawia antyatomowe protesty, które przetoczyły się przez Polskę w latach 1985-1990, w szerszym kontekście.

Janusz Waluszko

Energetyka jądrowa była symbolem nowoczesności, choć od początku budziła kontrowersje przez skalę ryzyka. Wybuch w Czarnobylu to iskra, która zapaliła nowe ognisko społecznego protestu wobec władz komunistycznych. Autorzy, korzystając m.in. z dokumentacji po Elektrowni Jądrowej Żarnowiec, archiwów Służby Bezpieczeństwa (walka z opozycją i ochrona programu atomowego), prasy oficjalnej i podziemnej oraz wywiadów z uczestnikami wydarzeń (tak przeciwników, jak i budowniczych elektrowni) pokazują, jak pozorna apolityczność ekologii, szeroki rezonans kwestii zdrowia, nośność antyatomowych haseł i nowe formy protestów — jawnych i bez użycia przemocy — wytworzyły nowe jakościowo zjawisko na opozycyjnej scenie.



Zielony wkład w rozmontowywanie systemu w drugiej połowie lat 80. XX wieku pozostawał dotąd mało zbadany. Jednocześnie najostrzejsze protesty wokół budowy Elektrowni Jądrowej Żarnowiec — blokada portu, głodówka i referendum społeczne — doczekały się kulminacji już po wyborach 4 czerwca 1989, a więc pod rządami Solidarności. Tym samym historia protestów ekologicznych wymaga opowieści o roku 1989 jako początku procesu, a nie błyskawicznym przejściu z komunizmu w demokrację. Każe też zadawać pytania o zderzające się wizje demokracji i jej jakość. Historia projektu jądrowego, który wznowiono po 2010 roku, pokazuje, jak silne pokusy autorytaryzmu idą w parze z tą specyficzną technologią energetyczną.

Największym zagrożeniem ze strony atomu nie jest bowiem tylko sama awaria elektrowni, ale także to, że energetyka jądrowa ze względu na skalę i kwestie bezpieczeństwa zagraża jawności i pozbawia społeczeństwo kontroli nad tym, co się dzieje. Decyzje w wielu ważnych obszarach naszego życia oddaje się w ręce układu o charakterze iście mafijnym, gdzie o wszystkim decydują politycy, wysocy urzędnicy i ludzie z koncernów energetycznych, przy czym często są to te same osoby. I to głównie dlatego alternatywą dla atomu są odnawialne źródła energii, gdzie każdy z nas może być prosumentem (czyli producentem i konsumentem) energii, co — podobnie jak jej rozproszony charakter — sprzyja samorządności społeczeństwa i jego bogactwu. ★

Wojna nuklearna po Hiroszimie

Po ataku na Hiroszimę i Nagasaki nie używano bomb atomowych na polu bitwy, z militarnego punktu widzenia były tylko straszakiem trzymającym w szachu „drugą stronę". Używano ich jednak podczas licznych testów, będących zarazem demonstracją siły wobec przeciwnika. Nie mniej ważny jest fakt, że większość testów była nieodłącznie związana z różnicami społecznymi stworzonymi wcześniej przez imperia kolonialne albo — w przypadku ZSRR — po prostu z różnicami między centrum i prowincją, które miały wiele znamion relacji kolonialnej.



Happening w Hadze (Holandia, 2015)

Ludwika Wykurz

Kolonialne korzenie bomby atomowej

Nie tylko Niemcy w I połowie XX wieku były państwem rasistowskim i nie tylko dlatego, że uległy ideologii faszystowskiej. Rasizm, praktykowany i rozwijany przez państwa kolonialne w XIX wieku, miał swoje przesilenie w latach 30. i 40. następnego stulecia. Segregacja rasowa, kolonializm, uprzedzenia — to była codzienność tego świata. W latach 1884-85 miała miejsce konferencja w Berlinie, której celem był podział Afryki między zachodnie mocarstwa. Organizatorem był kanclerz Niemiec, Otto von Bismarck, uczestnikami zaś Belgia, Austro-Węgry, Włochy, Dania, Francja, Holandia, Portugalia, Hiszpania, Rosja, Imperium Ottomańskie, Anglia, Norwegia ze Szwecją i Stany Zjednoczone. Oczywiście ani jednego przedstawiciela Afryki. Jednym z postulatów było uznanie tzw. Wolnego Państwa Kongo, de facto prywatnej własności króla Belgii Leopolda. Jako pierwsze uznały własność Leopolda Stany Zjednoczone, co na długie lata powiązało Belgię i USA w tym regionie. W wyniku konferencji zakończono co prawda handel niewolnikami w Afryce, rozpoczynając jednak nie mniej brutalne i krwawe zniewalanie wszystkich mieszkańców kontynentu i ostrą segregację rasową. Głównym celem kolonizatorów — czy chcieli się do tego przyznać, czy nie — była eksploatacja tzw. Czarnego Lądu. Obok taniej siły roboczej, produktów rolnych i towarów egzotycznych (przypraw, skór, lokalnych dzieł sztuki), ważnym bogactwem do złupienia były złoża mineralne.

W 1915 roku brytyjski geolog, pracujący dla belgijskiej firmy Union Minière du Haut Katanga, odkrył w pobliżu wioski Shinkolobwe w prowincji Katanga złoża uranu. Wówczas nie miały one większej wartości, bo poszukiwanymi pierwiastkami były miedź i rad. Wkrótce zatrudniono (choć pewnie lepszym określeniem byłoby „zagoniono") okolicznych mieszkańców do pracy przy budowie kopalni odkrywkowej. Jak się później okazało, Shinkolobwe miała rudy niespotykanie bogate w uran — aż do 65%, w porównaniu ze średnią zawartością 1% w złożach USA czy Kanady.

Chociaż Belgia była jednym z pierwszych krajów zajętych i okupowanych przez III Rzeszę, belgijskie Kongo pozostawało po stronie aliantów, miało jedną z największych armii kolonialnych na terenie Afryki i wspierało aliantów swoją bogatą bazą surowcową. Rudy uranu trafiły do amerykańskich magazynów. Uran wydobywany rękami mieszkańców Kongo, pod jednym z najbardziej rasistowskich i okrutnych reżimów kolonialnych w Afryce, miał stanowić materiał do budowy najpotężniejszej i najstraszliwszej broni w dziejach ludzkości.

Głos nauki?

Wielu spośród amerykańskich budowniczych bomby, przede wszystkim inicjatorzy badań nad bronią jądrową — Leó Szilárd, Eugene Wigner, Edward Teller, Albert Einstein i Enrico Fermi — było imigrantami do Stanów z ogarniętej faszyzmem i nazizmem Europy. Ich obawy przed wygraną nazistowskich Niemiec były dużo bardziej oczywiste niż uczonych amerykańskich. Motywacja tych uczonych była więc może najbardziej usprawiedliwiona spośród licznego grona, które przyczyniło się do budowy bomby atomowej.

Warto tu wspomnieć o ludziach nauki, którzy odmówili współpracy. Jedną z nich była Liese Meitner, współodkrywczyni zjawiska rozszczepienia, nazwana przez dziennikarzy niesłusznie „matką bomby atomowej". Meitner — podobnie jak Wigner, Szilárd czy Einstein, była emigrantką ze względu na swoje żydowskie pochodzenie. Pozostając dużo bliżej „oka cyklonu" (osiadła w Szwecji) miała być może większe powody do obaw o życie swoje i bliskich. Jednak nie uważała tego za wystarczający powód do uczestnictwa w tworzeniu najbardziej śmiercionośnej broni. Warto też zaznaczyć, że sam Einstein, będąc z przekonania pacyfistą, miał opory przed namawianiem prezydenta do finansowania projektu. Do jego realizacji nie został nawet zaproszony, ponieważ obawiano się jego zbyt lewicowych poglądów. Wielu naukowców pracujących przy projekcie wierzyło naiwnie, a w każdym razie chciało wierzyć, że bomba nigdy nie zostanie użyta na polu bitwy — mylili się.

Całe specyficzne środowisko uczonych, które rozwinęło się po ataku na Hiroszimę i Nagasaki, przebadał i opisał w kilku pracach antropolog Hugh Gusterson. Nie będę tu wchodzić w szczegóły, ale warto podkreślić, że wielu z nich rzeczywiście wierzyło w to, że robią coś dobrego dla ludzkości. Niektórzy z naukowców protestowali przeciw wojnie w Wietnamie, walczyli o równe prawa i interesowali się ochroną środowiska. Pracowali przy broni nuklearnej, bo wierzyli, że jej rozwój podtrzymuje pokój na świecie.



Demonstracja przeciwko testom nuklearnym w Lyonie (Francja, 1980)

Broń, której nigdy nie mieli użyć

Do dziś trwają spory o to, dlaczego Amerykanie użyli bomby atomowej przeciw japońskim cywilom. Dość długo oficjalna wersja była taka, że bez tego nie zakończyliby wojny. Nie jest to do końca prawda. Każdy, kto przyjrzał się trochę historii II wojny światowej, wie, że państwa Osi były w odwrocie. Wobec sojuszu dwóch największych państw i najliczniejszych armii świata — amerykańskiej i radzieckiej, wobec prężnego udziału mocarstw, bądź co bądź kolonialnych, oraz wobec ogromnego zaangażowania podziemia antyfaszystowskiego w Europie było jasne, że wojna nie potrwa długo. Badacze coraz mniej wierzą też w wersję, że chodziło o oszczędzenie życia wielu żołnierzom. Prawdopodobnie główną motywacją była demonstracja siły wobec ZSRR. Dzięki wojnie Związek Radziecki stawał się światową potęgą, coraz bardziej realnie rywalizującą ze światem kapitalistycznym. Tak czy inaczej, bomby zostały zrzucone. W Hiroszimie od samego wybuchu zginęło ok. 90 tys. mieszkańców, a w Nagasaki ok. 70 tys., w tym uchodźców z Hiroszimy (których liczby nigdy nie ustalono). Oba wybuchy były „mało efektywne" jak na możliwości bomb, a same bomby były dużo mniejsze niż broń budowana później i istniejąca do dziś. Mimo to zniszczenia były ogromne. Oprócz ofiar bezpośrednich wybuchów i opadu radioaktywnego ucierpieli ci, którzy kilka dni po nalocie próbowali szukać bliskich w rejonie epicentrum wybuchów.

A to dopiero początek...

Próby atomowe nie są tematem popularnym — pozostają nim może tylko dla organizacji na rzecz rozbrojenia, ekologów i bezpośrednich ofiar. Chcemy wierzyć, że używanie broni jądrowej zakończyło się na Nagasaki. Niestety było wręcz przeciwnie. To dopiero zimna wojna przyniosła szalony wyścig zbrojeń, którego częścią były tysiące detonacji. W sumie od 1944 roku przeprowadzono ponad 2000 testów, z czego najwięcej w USA. Dokonywane na tzw. niezaludnionych terenach, w wielu przypadkach były przeprowadzane w pobliżu rezerwatów Indian, na terenach kolonii i byłych kolonii oraz na tzw. prowincji. Do „najbardziej zbombardowanych narodów" należą rdzenni Amerykanie, mieszkańcy Polinezji Francuskiej i Kazachowie. Oficjalnie po zakończeniu zimnej wojny mocarstwa zaczęły się wycofywać z testów. Najpierw ZSRR (do 1990 roku), potem UK (do 1991), USA (do 1992), Francja i Chiny podpisały Traktat o całkowitym zakazie prób z bronią jądrową w 1996 roku. Nie podpisały go Indie, Pakistan i Korea Północna. Ta ostatnia testy przeprowadzała w latach 2006-2017. Oficjalne zaprzestanie testów nie oznacza, że nie przeprowadza się ich potajemnie. Ostatni wybuch w Rosji, w sierpniu 2019, jest postrzegany przez niektórych komentatorów jako wynik prób z bronią jądrową. Być może tak nie jest, ale nie mamy żadnej gwarancji, że sygnatariusze rzeczywiście nie przeprowadzają prób nuklearnych. Podpisanie traktatu nie oznaczało też zaprzestania produkcji broni i jej udoskonalania ani używania zubożonego uranu na polu walki.

„Bardziej podobni do nas niż myszy"

Kolonialna i rasistowska postawa wobec mieszkańców miejsc, w których przeprowadzano próby, jest do dziś wyczuwalna w niektórych dokumentach. Ludzi dosłownie traktowano jak króliki doświadczalne (albo jak myszy laboratoryjne). Poniżej udostępniam fragment wypowiedzi naukowca, który optował za powrotem mieszkańców wysp Marshalla na skażoną wyspę Rongelap. Wielu naukowców uważało wprost, że obserwacja populacji na skażonym terenie może być pożyteczna dla nauki. Oto w jaki sposób to uzasadniał: „to prawda, że ci ludzie nie żyją, powiedziałbym, jak na Zachodzie, jak cywilizowani ludzie, ale prawdą jest też, że są do nas bardziej podobni niż myszy" (źródło: https://www.atomicheritage.org, tłum. Ludwika Wykurz).

Liczba ofiar testów nuklearnych (a mówimy tu jedynie o ludziach) nigdy nie została oficjalnie policzona. Współczesne badania i wyliczenia różnią się między sobą co do liczb i, prawdę mówiąc, nawet najlepsze chęci badaczy i badaczek nie wystarczą. Przewrotna „wygoda" testów i awarii nuklearnych polega na tym, że ofiary najczęściej po prostu chorują na różne formy nowotworów, zwykle pojawiające się kilka do kilkunastu lat po wydarzeniu. Wzrost zachorowań można stwierdzić tylko statystycznie. Z takimi zastrzeżeniami pracowali naukowcy, starający się policzyć, ile osób ucierpiało bezpośrednio lub pośrednio w wyniku prób nuklearnych. W samych Hiroszimie i Nagasaki zachorowania zaczęły się nasilać dopiero kilkanaście lat po detonacji. Nie inaczej było w miejscach testów.

Jedno z badań przeprowadzone przez zespół Keitha Meyersa z Uniwersytetu w Arizonie w 2017 roku wykazało, że między 1951 a 1973 rokiem, w wyniku testów mogło umrzeć nawet 695 tys. ludzi, w samych Stanach Zjednoczonych. Były to ofiary opadu radioaktywnego po przeprowadzonych w atmosferze testach. Mówimy o obywatelach amerykańskich. Mimo wszystko nawet oni byli najwyraźniej podzieleni na różne kategorie. Stany Zjednoczone wprost wyciągnęły argument obywatelstwa wobec mieszkańców Wysp Marshalla domagających się odszkodowań za szkody na zdrowiu, spowodowane czyszczeniem skażonych miejsc testowych. Nie dostaniecie odszkodowań, bo nie jesteście obywatelami amerykańskimi — mniej więcej tak brzmiało uzasadnienie. Jeśli chodzi o społeczności Navajo i Apaczów z Nowego Meksyku, nikt nawet nie pofatygował się, żeby poinformować ich o tym, co się dzieje. „Zdetonowali bombę w ramach testu Trinity i odjechali. Nigdy nie wrócili i nie powiedzieli ludziom, jak mają żyć, czego używać, co jeść i pić" (wypowiedź Cordovy, mieszkanki pueblo w Nowym Meksyku, która przeżyła nowotwór — źródło: newsmaven.io). Za liczenie ofiar National Cancer Institute zabrał się dopiero 70 lat później. Nie lepiej było z innymi mocarstwami nuklearnymi.

Brytyjczycy przeprowadzali testy w Australii, gdzie wiadomo o ponad 16 tys. samych robotników, wystawionych bez żadnego ostrzeżenia na działanie promieniowania po próbie atomowej. Aborygenów mieszkających w okolicy nikt nawet nie liczył. Wielu z nich, podobnie jak biali cywile, nadal jest narażonych na pozostałości po wybuchach. Przede wszystkim na promieniowanie, które ma się utrzymać jeszcze ok. 24 tys. lat (Tillman A. Ruff, The humanitarian impact and implications of nuclear test explosions in the Pacific region).

We francuskiej Algierii (przed wyzwoleniem spod władzy kolonialnej) pomocnikami francuskiej armii przy testach byli mieszkańcy. Pracowali bez żadnej odzieży ochronnej, ubrani w tradycyjne galabije (por. film Christine Bonnet pt. „Ofiary francuskiej bomby atomowej"). Niewiele bardziej armia francuska przejmowała się swoimi żołnierzami. Jednak głównymi ofiarami prób jądrowych byli mieszkańcy Oceanii i Australii. Spośród 16 miejsc testowych 10 było położonych w tym rejonie. Nie tylko nikt nie pytał mieszkańców o zgodę (oczywiście, populacji nie pyta się o zgodę na żadne testy wojskowe), ale celowo pozwalano im swobodnie obserwować testy i wychodzić z domów po ich zakończeniu. Świadkowie mówią o dzieciach, które wybiegały na dwór podczas opadu promieniotwórczego po zakończonym teście. Szacuje się, że zachorowalność na raka w rejonie Mururoa i Fangataufa wzrosła sześciokrotnie. Testy zakończono w 1996 roku, jakiekolwiek oficjalne obietnice o rekompensatach dla ofiar Francja zaczęła składać dopiero w 2008 roku! Oczywiście tylko pod naciskiem miejscowych grup weteranów i organizacji sprzeciwiających się broni nuklearnej. Wybór miejsca, sposób traktowania lokalnej społeczności, skandaliczne wypowiedzi i próby unikania reparacji — wszystko to składało się na politykę wobec ofiar prób nuklearnych, często dodatkowo podszytą rasizmem. Nie było to dalekie od traktowania ofiar awarii zakładów przemysłowych, wycinki lasów pod uprawy soi i palm olejowych czy budowę kopalni — z jedną różnicą. Były to testy wojskowe. Broni, którą miano ewentualnie użyć na polu bitwy (a w domyśle miała być tylko straszakiem), używano wielokrotnie wobec ludności cywilnej w czasie pokoju. ★

Rewolucja tusz tusz… wieprzowych, albo co szykuje nam turbokapitalizm

Być może „wiadomości agencyjne" są jedynie futurystycznym bajdurzeniem (i oby tak było), jednak fakty są takie, że dziesiątki firm pracuje już nad mięsem in vitro i mlekiem z drożdży. Dochodzi już do specjalizacji i rozwijają się przedsiębiorstwa, które zajmują się tylko mięsem ptactwa, ryb, wołowiną, jeszcze inne zajmują się jedynie gęsimi wątróbkami. Co jest tu niezwykle ważne, są już osobne firmy pracujące nad patentowaniem samych tylko substancji odżywczych niezbędnych do warzenia czystego mięsa.

Galu

Startupy zasilane milionami dolarów, począwszy od firm przetwórstwa mięsnego po Billa Getesa, Richarda Bransona (Virgin Group), Google czy potentata farmaceutycznego Merck, pracują nad obniżeniem kosztów produkcji kotletów z „probówki". Lada moment będziemy świadkami rewolucji, której skali i wszystkich skutków nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Jednak zmiany w rolnictwie, w uprawach gatunków roślin niezbędnych do produkcji wsadów, zniknięcie setek gatunków zwierząt hodowlanych, to jedna strona medalu. Te zmiany sprzedadzą nam koncerny i organizacje prozwierzęce (prawdopodobnie, po części, zgodnie z prawdą) jako niesamowity postęp w etyce tworzenia pożywienia i niesamowity skok w ograniczeniu szkodliwego oddziaływania na środowisko. Z drugiej jednak strony będziemy mieli niespotykane w historii zawłaszczenie prawa do zarządzania żywnością.

Prawa patentowe koncernów do roślin transgenicznych już dziś budzą uzasadnione obawy. Przykład Indii pokazuje, jak wiele krzywdy mogą wyrządzić zwykłym rolnikom. Jeśli będą nieodłącznym składnikiem czystego mięsa, które i tak jest już produkowane na podstawie opatentowanych technologii, korporacje spożywcze (po wygaszeniu hodowli tradycyjnych, które jako niehumanitarne i szkodliwe dla środowiska mogą odejść do historii przy wsparciu wielkiego biznesu oraz całego czułego na cierpienie zwierząt i środowiska świata szybciej niż nam się zdaje), staną się jedynymi właścicielami mięsa jako takiego.

Co na to weganizm? Mało prawdopodobne, by miał tu jakąś znaczącą rolę do odegrania. Jeśli dziś nie powstrzymał stałego wzrostu konsumpcji mięsa i mleka, na pewno nie zrobi tego, gdy produkty te będą „karmiczne" odciążone, z czasem tańsze (po pierwszej fali drenowania naszych kieszeni) i prawdopodobnie ciekawsze w smakach, bo technologie in vitro pozwalają na eksperymenty i tworzenie mieszanek smaków różnych gatunków, podobnie ma się rzecz z eksperymentami drożdżowego mleka.

Proces zmian klimatycznych, który zapewne nie zostanie powstrzymany wraz z zaprzestaniem hodowli przemysłowych będzie okazją, by jeszcze intensywniej wchodzić na rynek roślin z nowymi odmianami. Dobrym przykładem może być „cud" w Mato Grosso. Ze względu na swój tropikalny klimat nie był to teren atrakcyjny dla wielkoprzemysłowego rolnictwa. Dziś jest sojową monokulturą na siedmiu milionach hektarów. Mogło się to stać, ponieważ uprawy w 90% składają się z gatunków zmodyfikowanych genetycznie stworzonych przez Monsanto przy współpracy z Syngentą.

Turbokapitalizm przygotowuje się do wielkiego skoku. Za chwilę zacznie się zamienianie wielkoprzemysłowych hodowli zwierząt na warzelnie mięsa in vitro. Zrobi się to oczywiście nie dlatego, że wielcy tego świata przejmują się dobrostanem hodowanych, czujących istot, tylko dlatego, że będzie to bardziej opłacalne. Biznes spożywczy bez afrykańskiego pomoru świń, choroby szalonych krów, ptasiej grypy itd. oraz kłopotów z lagunami odchodów będzie dużo prostszy.

Dzisiaj jeszcze każdy z nas może kupić sobie kilkanaście żywych piskląków (nawet pocztą, ale specjalną) po 10 zł za sztukę i po paru miesiącach będzie miał kury. Jeśli sąsiedzi nie zrobią awantury, że śmierdzi albo że kogut pieje, kur nie zjedzą nam lisy czy dzikie koty, nie zagryzie ich pies czy nie zadusi tchórz, kupując pszenicę w sklepie z paszą, lub siejąc własną, możemy mieć własne jajka. Możemy też wyhodować następne kury, jeśli te, co mamy, będą miały instynkt kwoczenia, a jeśli nie, kupić sobie mały inkubator. Co prawda trudniej wygląda sprawa z bydłem, kozami czy świniami, jednak pomimo ciągle zaostrzających się przepisów, które powodują, że drobna hodowla na własny użytek staje się zajęciem trudnym i coraz mniej opłacalnym, jest to nadal możliwe.

Korzystając z pracy i często geniuszu poprzednich pokoleń, mamy do dyspozycji imponujące bogactwo ras zwierząt hodowlanych, jak i bardziej, i mniej okrutne sposoby pozyskiwania z nich pożywienia. Podobnie imponujący jest dorobek nasion, które wraz ze zwierzętami hodowlanymi, ciągle są jeszcze własnością nas wszystkich, całej ludzkości.

Jesteśmy właśnie na końcu tej drogi. Wiele wskazuje na to, że nasza dziesięciotysięczna przygoda z tak pozyskiwaną żywnością właśnie dobiega końca. ★

2045 rok // Przegląd wiadomości agencyjnych:

Kolejne państwo w Europie ogłosiło się krajem wolnym od krwawego mięsa i nabiału. Obywatele z radością przyjęli nowe przepisy zakazujące hodowli jakichkolwiek zwierząt w celach rzeźnych oraz hodowli w celu pozyskania mleka i jaj. Pomimo że mięso in vitro oraz mleko z drożdży już dawno wyparło tradycyjne produkty, to nadal znajdują się amatorzy „starych smaków", którzy, nie bacząc na krzywdę naszych braci mniejszych, sięgają po produkty ze zwierząt. Wzorem innych państw wprowadzono kary grzywny, zaś dla recydywistów kary pozbawienia wolności za hodowle konsumpcyjne oraz posiadanie produktów pochodzenia zwierzęcego. Dodatkowo zdelegalizowane zostały wszystkie organizacje zajmujące się wykorzystywaniem zwierząt; koła łowieckie, stowarzyszenia hodowców psów zaprzęgowych i hodowców gołębi pocztowych. Trwają prace nad rozwiązaniem klubów jeździeckich.

★

Koncern Meat-life stworzył test, który umożliwia rozpoznanie, czy dana osoba spożywała mięso inne niż mięso czyste. Projekt ten spotkał się z ogromnym poparciem organizacji prozwierzęcych oraz towarzystw ubezpieczeniowych z racji tego, że jak wiadomo spożywanie krwawego mięsa i nabiału zwiększa ryzyko chorób. Planuje się regularne przeprowadzanie testów w szkołach i miejscach pracy.

★

Interwencja humanitarna na terenach państwa Azawad. Po serii programów dotyczących traktowania przez Tuaregów kóz i wielbłądów koncern Meat-life zorganizował akcję „stop afrykańskiemu bestialstwu". W trakcie interwencji zginęło 800 agresywnych nomadów i 14 członków oddziałów humanitarnych. Społeczność międzynarodowa ze smutkiem przyjęła informację o ofiarach, jednak interwencja zbrojna była niezbędna ze względu na nieugiętą postawę plemion, które nie chciały zaprzestać uprawiania swojego bestialskiego procederu przepędzania zwierząt przez pustynie i pozyskiwania z nich mięsa, skór i mleka. Meat-life jednocześnie dementuje pogłoski, że jest właścicielem kopalni uranu w tej części kraju. Ma w nich jedynie udziały.

★

Policja zatrzymała kolejnych handlarzy nielegalnymi wsadami z CHRL. Niestety, nadal są łamane prawa autorskie koncernu Meat-life do produkcji czystego mięsa. Przypominamy, że jedynie licencjonowane wsady gwarantują prawdziwą czystość produktu, korzystanie ze wsadów bez licencji jest przestępstwem i zagraża zdrowiu, a nawet życiu konsumentów.

★

Wykorzystywanie zwierząt, spowodowanie zagrożenia rozprzestrzeniania pasożytów m.in. ptaszyńca, oraz stworzenie niebezpieczeństwa epidemiologicznego poprzez zagrożenie ptasią grypą — takie zarzuty postawiono grupie określającej się mianem Anarchistyczny Front Obrony Naturalnych Tendencji. Oskarżeni podejrzani są o nielegalną hodowlę kilkunastu kur i pozyskiwania od nich jaj.

Komentarz redakcji

Komentarz redakcji: opublikowany artykuł jest tekstem autorskim i niewątpliwie prowokatorskim, toteż zapraszamy wszystkich do dyskusji, a my ze swej strony już zapowiadamy rozbudowaną odpowiedź w kolejnym numerze A-taku… ;)

Przedstawiając technologie współudziału mieszkańców w tworzeniu i zmianie swojego miejsca zamieszkania, wspominaliśmy o dwóch technikach. Pierwsza z nich to opisana już metoda SAR (A-tak nr 10). Metoda ta polega na tworzeniu „ramy", środowiska konsultowanego z mieszkańcami, ale wymagającego specjalistycznej wiedzy projektowej i umiejętności budowlanych, które zapewnia odpowiedni standard budynku. W środku tej „ramy" mieszkańcy mogą dowolnie kształtować przestrzeń do mieszkania, a z czasem zmieniać ją.

Walter Segal i spójna różnorodność

Mateusz Gierszon

W drugiej metodzie to nie fizycznie wybudowane przez profesjonalną ekipę dach, fundamenty i szkielet mają zapewniać trwałość, bezpieczeństwo i ergonomię budynku, a system budowlany, to znaczy: z góry ustalona wielkość, rodzaj i sposób montażu elementów budowlanych.

Taki system zaproponował Walter Segal (1907-1985). Urodził się i wychował w Niemczech, jednak po dojściu NSDAP do władzy z powodu swojego żydowskiego pochodzenia emigrował w 1936 r. do Anglii. Tam też, po kilkuletnich poszukiwaniach samorządu zainteresowanego jego pomysłem, stworzył na przełomie lat 70. i 80. XX wieku projekty dwóch osiedli domów jednorodzinnych, które zostały zaprojektowane i wybudowane przy współudziale mieszkańców.

Metoda Segala

Pomysł Segala powstał po zakończeniu budowy własnego, tymczasowego domu (opracowanego przez niego samego) wykonanego w technologii szkieletu drewnianego. Segal wykonał w niedługim czasie kilka projektów domów indywidualnych opartych na tej konstrukcji, których część, z powodu prostoty budowy, wykonana została przez samych mieszkańców. Na podstawie tych doświadczeń architekt zaproponował nowe podejście do budownictwa mieszkaniowego. Propozycja Segala nie ograniczała się do sprawdzonych już kwestii konstrukcyjnych, nie była ona tylko „systemem konstrukcyjnym" - lecz metodą budowy. Architekt proponował szeroką partycypację mieszkańców w projektowaniu i budowie, potraktowanie ich jako współinwestorów, z powodu pracy, jaką wykonają oraz podmiotowe traktowanie, co dalekie było od standardu myślenia o mieszkalnictwie komunalnym w Anglii przełomu lat 70. i 80.

Dzięki znajomości Waltera Segala z Colinem Wardem (anarchistą i propagatorem współudziału mieszkańców w tworzeniu i zarządzaniu środowiskiem mieszkaniowym*) oraz Brianem Richardsonem (anarchistą zatrudnionym w wydziale budownictwa w londyńskiej dzielnicy Lewisham) udało mu się zainteresować projektem władze dzielnicy.

Po szeregu komisji i konsultacji zaproponowano scenariusz, który zakładał spotkania władz miejskich i architektów z wszystkimi mieszkańcami, którzy chcieli wziąć udział w przedsięwzięciu, losowanie spośród chętnych uczestników programu, założenie stowarzyszenia mieszkaniowego, warsztaty partycypacyjne, szkolenie i wreszcie budowę.

Technologia

Podczas budowy posłużono się drewnianym szkieletem, ponieważ drewno jest powszechnie znane, łatwe w obróbce i łatwe do naprawy w przypadku błędów. Projekt zakładał używanie licznych, drobnych elementów konstrukcji oraz uproszczone punktowe fundamenty, by prace na budowie były lżejsze. Dodatkowo wiele szczegółowych rozwiązań zaprojektowano tak, by mieszkańcy nie mieli możliwości popełnić błędu w kluczowych dla trwałości budynku punktach. Szkielet drewniany w opracowanych przez Segala modułach i przekrojach elementów budowlanych pozwalał na dosyć dowolne kształtowanie budynku. Konstrukcja i struktura ścian zewnętrznych była skrajnie uproszczona, co z jednej strony — ułatwiało budowę, lecz z drugiej — niosło ze sobą także wady dotyczące np. niewystarczającej szczelności. Jest to jedna z podstawowych i paradoksalnych wad konstrukcji zaproponowanej przez Segala: nie spełnia współczesnych standardów energooszczędności, a jednocześnie próba podnoszenia tego standardu sprawiała, że struktura ściany robiła się na tyle skomplikowana, że przestawała być prosta w budowie.

Organizacja

Konstrukcja zaproponowana przez Segala nie byłaby niczym szczególnym, gdyby nie tworzyła z ideą współudziału mieszkańców pozytywnego sprzężenia zwrotnego. Konstrukcja, którą proponował architekt, jest popularna w Anglii, co miało znaczenie, ponieważ po pierwsze umożliwiało wykorzystanie różnych, produkowanych masowo, więc tańszych i łatwo dostępnych elementów (a w przyszłości łatwą konserwację i ewolucję systemu), a po drugie wiedza i doświadczenie zdobyte na kursach i budowie ułatwiały mieszkańcom późniejsze zdobycie pracy. I rzeczywiście było kilka przypadków, kiedy mieszkańcy po budowie zaczęli zajmować się budową domów w szkielecie drewnianym. Tym bardziej że podczas inwestycji nadzorowanych przez Segala przyjęto zasadę, że każda rodzina sama buduje i wykańcza swój dom, w swoim tempie i na swoich zasadach. Pozwalało to mieszkańcom na wykonywanie każdego rodzaju pracy. Jednocześnie mieszkańcy mieli prawo do zatrudnienia rzemieślników do niektórych prac. Taka osoba była opłacana przez samorząd, a wkład pracy mieszkańca był odpowiednio redukowany. W następnych latach w projektach nawiązujących do metody Segala często wykorzystywano model organizacji, który zakładał wspólną budowę przez wszystkich mieszkańców podstawowego szkieletu wszystkich domów i dopiero wówczas dokańczanie domów przez poszczególne rodziny. Ten model z kolei pozwalał na specjalizację mieszkańców w poszczególnych pracach i zdjęcie obowiązku bardziej wymagających fizycznie prac z osób słabszych.

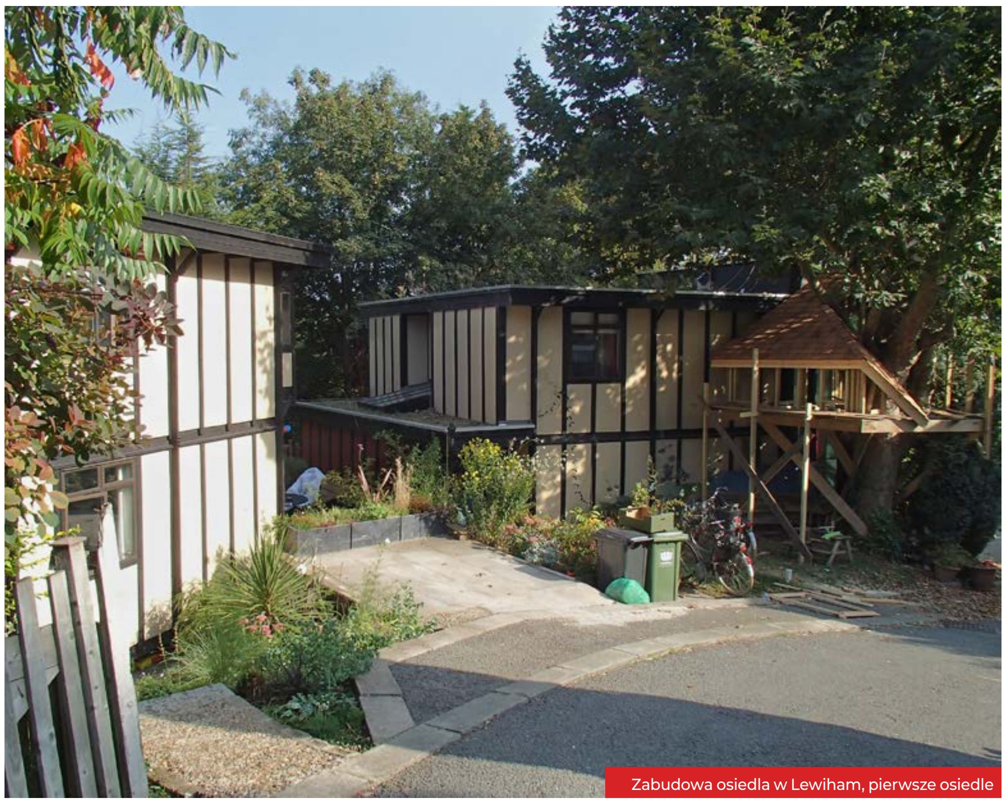
Praca na budowie umożliwiała wprowadzenie kolejnej zasady: mieszkańcy brali na siebie obowiązek konserwacji budynków. W zamian za to otrzymali prawo do dowolnej ingerencji w strukturę budynku.

Ziemia pod budowę domów była wydzierżawiana mieszkańcom, koszty budowy pokrywał samorząd, a praca mieszkańców na budowie nie była opłacana. W związku z tym mieszkańcy stawali się współwłaścicielami domów, które wybudowali. Co istotne: współwłasność wliczana była nie za pomocą kosztów pracy mieszkańców, lecz jako udział w wartości gotowego domu (związanej np. z lokalizacją). Mieszkańcy zobowiązywali się do wykupu minimum 50% udziałów w domu i płacili czynsz od części niewykupionych przez nich udziałów.

W związku z taką organizacją inwestycji mieszkańcy nie musieli dysponować żadnym kapitałem, nawet w przypadku, kiedy nie byli w stanie sami wykonać wszystkich prac, a w perspektywie mieli możliwość wykupu pełnej własności domu. Z drugiej strony także samorząd zyskiwał na inwestycji: mógł przeznaczyć na nią mniejsze środki, ponieważ zredukowane zostały koszty pracy — znacząca pozycja w kosztorysie projektu, a koszty konserwacji zostały scedowane na mieszkańców.

Zalet było zresztą więcej, mieszkańcy otrzymywali dostęp do zindywidualizowanych, zaprojektowanych przez nich domów z możliwością wykupu, dodatkowo, podczas wspólnych kursów, podczas etapu zdobywania pozwoleń i pracy na budowie, mieszkańcy budowali relacje i tworzyli społeczność jeszcze przed zasiedleniem domów.

Metoda Segala nie była działaniem oddolnym, nie zakładała dowolności projektowania i doboru sposobów budowy. To architekt znalazł chętny do współpracy samorząd i wspólnie przedstawili mieszkańcom projekt, z wyznaczonymi poprzez podstawowe zasady organizacji i technologię granicami. Dopiero w następstwie zgody mieszkańców na działanie w obrębie tych granic podjęte zostały szczegółowe decyzje, na które wpływ mieli mieszkańcy, a technologia umożliwiła dosyć dowolne kształtowanie domów. Doza swobody w ramach systemu konstrukcyjnego i estetycznego pozwalała na spójną różnorodność i na indywidualne korzyści w „ramach" wraz z rozwojem wspólnoty. ★



Zabudowa osiedla w Lewiham, pierwsze osiedle



Zabudowa osiedla w Lewiham, drugie osiedle

* Zainteresowanych tematem odsyłam do jego książek: Ward C., *Talking Houses*, Freedom Press, Londyn 1990, Ward C., *Talking to architects*, Freedom Press, Londyn 1996 oraz *Cotters and squatters. Housing's hidden history*, Five Leaves Publications, Nottingham 2002.

Faszyzm/antyfaszyzm w kinie cz. 7

„Kabaret" (1972) Boba Fosse'a

Musical filmowy rzadko bywa dziełem o potencjale politycznym. Tym bardziej zaskakujący jest fakt, że jeden z najlepszych filmów antyfaszystowskich to reprezentant tego gatunku. „Kabaret" Boba Fosse'a powstał w 1972 r., ale do dziś zachował świeżość. Sprawdza się zarówno jako film, jak i swoista kronika narodzin nazizmu.

Krzysztof Kołacki

Jak to się zaczęło?

Wszystko zaczęło się w 1929 r. Do Berlina przybywa Christopher Isherwood, pisarz, nauczyciel angielskiego, późniejszy autor „Berlin Stories" (1945). Książka ta stała się pierwowzorem sztuki teatralnej Johna Van Drutena „I'm a Camera" (1951), przekształconej w 1966 — już jako „Kabaret" — w broadwayowski musical. Na tym nie koniec. Najbardziej znany „Kabaret" to film Boba Fosse'a, nagrodzony ośmioma Oscarami i trzema Złotymi Globami, powszechnie uznawany za arcydzieło. Reżyser zaczerpnął fabularną ramę z wyżej wymienionych pierwowzorów, jednak przesunął akcenty tak, by wyróżnić społeczno-polityczną wymowę dzieła. Bob Fosse był jednym z innowatorów scenicznego i filmowego musicalu. Jego pracy przyświecała następująca zasada: taniec i śpiew powinny się pojawić wtedy, gdy nie można już emocji wyrazić słowami. Był pracoholikiem, uzależnionym od różnego rodzaju stymulantów, w dodatku kochliwym. Swoje artystyczne credo i jednocześnie gorzki autoportret przedstawił w arcydziele pt. „Cały ten zgiełk" (1979). Jego „Kabaret" na zawsze odmienił filmowy musical i do dziś pozostaje jednym z najchętniej oglądanych filmów wszechczasów.

Musical przeciwko nazizmowi

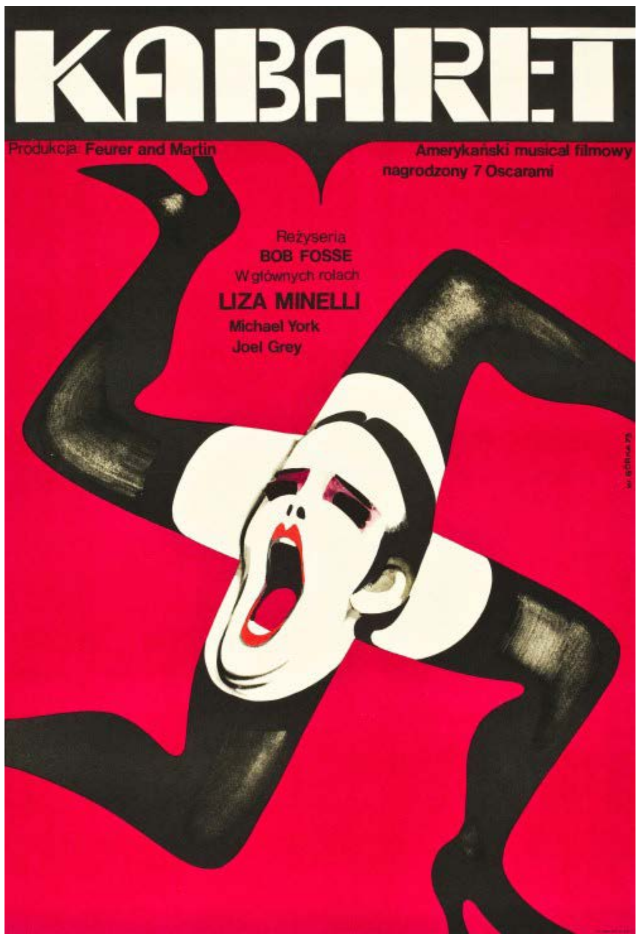
Berlin, rok 1931. W drzwi mieszkania kabaretowej aktorki (w tej roli Liza Minelli) puka młody mężczyzna, nauczyciel angielskiego. Zamieszkują razem, a znajomość szybko przekształca się w romans. Przez dom, wynajmowany zresztą od zafascynowanej Hitlerem antysemitki (w musicalu dość istotnej fabularnie, tu — obecnej dyskretnie, choć bardzo wymownie), przewijają się najrozmaitsze osoby. Wybuchają też dwa gorące romanse, powstaje nawet trójkąt.

Prawdziwym tematem filmu nie są jednak miłosno-obyczajowe perypetie, a narodziny nazizmu i stosunek do niego. Sally Bowles, grana przez Lizę Minelli, unika polityki, jak tylko może. Przechodzi obojętnie obok plakatów, nie reaguje na nazisowską przemoc (także werbalnie), wreszcie — dziwi się, że ktoś stawia opór. Jej żywiołem jest kabaret. To przestrzeń symboliczna. Na początku czysto eskapistyczna, ale jednak otwarta na inne języki i narodowości, a nazistom niechętna. Jednak wraz z upływem czasu, niewyrwany z korzeniami, nazizm coraz bardziej się umacnia. Gdy Sally decyduje się pozostać w kabarecie, na widowni widać już coraz więcej brunatnych koszul.

Zupełnie inną postawę prezentuje zakochany w aktorce Brian Roberts (w tej roli Michael York). Chłonie informacje o kolejnych incydentach z udziałem nazistów. Od początku jest krytyczny w stosunku do liberalnych elit. Głoszą one, że nazizm to „pożyteczny antykomunistyczny bandytyzm". Skądś to znamy? Apogeum stanowi tu odśpiewanie przez młodego nazistę i entuzjastyczne przyjęcie quasi-hymnu „Tommorow Belongs To Me". Faszyzm porywa tu tłumy, bo uderza wprost do emocji, pomijając rozum. Czysta apoteoza siły, dumy, dominacji, potęgi. Zniesmaczony jest tylko staruszek, ale kto by się nim przejmował?

Aktualność „Kabaretu"

Film Boba Fosse'a jest przejmującą analizą nie tylko ludzkich postaw wobec nazizmu, ale też mechanizmów jego powstawania i rodzącej się akceptacji. Często faszyzm przedstawia się jako jakąś aberrację, coś, co przychodzi z zewnątrz i niczym choroba zatruwa umysły. „Kabaret" pokazuje, że jest dokładnie odwrotnie. Nazizm jest dzieckiem elit. W „Kabarecie" powiedziane jest to wprost: faszyści to pożyteczni idioci, którzy pomogą zdławić komunistów. Liberałowie często traktują faszyzm jako opinię, którą można w toku dyskusji odrzucić. „Kabaret" pokazuje klęskę tej narracji. Celem faszyzmu jest eksterminacja, ludobójstwo. Z czymś takim się nie debatuje. Nawet śmiech to za mało. „Kabaret" tym samym jest dziś nie tyle zaproszeniem do rozmowy, a raczej wezwaniem do działania. ★





Kino letnie na Rozbracie

Kino Letnie na Rozbracie wystartowało na początku lipca 2019 r. Ideą cyklu jest zainteresowanie miejscem i działaniami anarchistycznymi nowych odbiorców. Takich, którzy są nie tylko zaciekawieni filmami, ale też kontekstami wokół nich. Nieco piknikowy charakter wydarzenia w połączeniu z polityczną obudową sprawia, że wiele osób po raz pierwszy przychodzi na Rozbrat i zaczyna interesować się działalnością społeczno-polityczną.

Kris

Rozbratowe pokazy filmowe mają długą tradycję. Funkcjonowały pod różnymi nazwami (m.in. Czwartkowe Obiadki Filmowe, Jadłodajnia Filmowa) i różniły się formułą. Niektóre były jednorazowymi wydarzeniami, poza jakimikolwiek cyklami (jak premierowy pokaz filmu „Pięść i dynamit. Gawęda o śląskich antyfaszystach" Dariusza Zalegi, połączony ze spotkaniem autorskim), inne stanowiły część większej całości (np. Urodzin Rozbratu).

Na tym tle Kino Letnie na Rozbracie wyróżnia się w kilku aspektach. Po pierwsze: to plenerowe pokazy w warunkach niemal pilnikowych, najczęściej z sekcją kulinarno-barową. Taki charakter pokazów, wzbogaconych o prelekcje i czasem dyskusje, powoduje, że wydarzenia filmowe ściągają każdorazowo po kilkadziesiąt lub (w przypadku „Operacji Hamburg") nawet sto osób. Zróżnicowany repertuar, od dokumentów przez klasykę kina po współczesne filmy z całego świata, okazał się strzałem w dziesiątkę. Każdy pokaz poprzedzony został swego rodzaju reklamówką kampanii Społecznej „Rozbrat Zostaje", której letnie pokazy są częścią.

W ramach Kina letniego na Rozbracie pokazaliśmy następujące filmy: „Miłość i anarchia" (1974), „Terra" (2015), „Śledztwo w sprawie obywatela poza wszelkim podejrzeniem" (1970), „Ajka" (2018), „Operacja Hamburg" (2018), „Anarchist from Colony" (2017). Niektórym pokazom towarzyszyły dodatkowe materiały video, głównie z politycznych zadym oraz spotkania z aktywistami. Dodatkową atrakcją były wegańskie hot dogi od Kuchni Różnych Doznań, okazjonalnie również Vege Pizza oraz spora oferta napoi.

Lato odeszło, a zatem z Kina Letniego przeszliśmy płynnie w Kulawe Piątki — wieczorki w Kulawym Mule! Miejsce znane z imprez, ostatnio też z pokazów i dyskusji. Chcemy je częściej wykorzystywać, by organizować tam wystawy, prezentacje, projekcje, dyskusje, różne mało dotychczas obecne formy aktywności kulturalnej. Odzyskujemy to dla siebie i dla Was! Tu pokazaliśmy m.in. „Oczy bez twarzy" (1960), „Okupuj! Stawiaj opór! Produkuj! Vio.Me" (2015), „Oko na delikwenta" (2018). Formuła podobna do kina letniego, a więc z dodatkiem pozafilmowych atrakcji, a w przyszłości otwarta na wydarzenia zupełnie niefilmowe jak wystawy czy performance. ★

ROZBRAT ZOSTAJE!

ESPECIFISMO

Anarchistyczna praktyka budowania ruchów społecznych i organizacji rewolucyjnych

Zaangażowanie anarchistów w ruchy społeczne, a także rozwój pojedynczych organizacji anarchistycznych na całym świecie gwałtownie wzrasta. Dzięki temu anarchizm ponownie uznawany jest za dynamiczną siłę polityczną. W tym świetle Especifismo, pomysł zrodzony z prawie 50 lat doświadczeń anarchistów w Ameryce Południowej, zyskuje znaczenie na całym świecie. Prawdopodobnie wiele idei Especifismo znanych jest anarchistom, jednak powinno ono zostać zdefiniowane jako oryginalny wkład w myśl i praktykę anarchistyczną.


Federação Anarquista Gaucha podczas demonstracji

Adam Weaver, tłum. Magdalena F.

Pierwszą organizacją promującą koncepcję Especifismo — która jest raczej praktyką niż rozwiniętą ideologią — była Urugwajska Federacja Anarchistyczna (FAU), założona w 1956 roku przez anarchistycznych bojowników, wykorzystujących ideę typowo anarchistycznej organizacji. Przetrwawszy dyktaturę w Urugwaju, FAU wyszła z podziemia w połowie lat 80., aby nawiązać kontakt i wpłynąć na innych południowoamerykańskich rewolucjonistów anarchistycznych. Działania FAU wsparły założenie Federacji Anarchistycznej Gaúcha (FAG), Federacji Anarchistycznej Cabocla (FACA) i Federacji Anarchistycznej Rio de Janeiro (FARJ) w poszczególnych regionach Brazylii oraz organizacji Auca (Rebelia) w Argentynie. Kluczowe założenia Especifismo zostaną rozwinięte w dalszej części artykułu, jednak można je podsumować w trzech zwięzłych punktach:

1. Potrzeba typowo anarchistycznej organizacji zbudowanej na jedności idei i praktyki.
2. Wykorzystanie typowo anarchistycznej organizacji, aby sformułować teorię i rozwinąć strategie polityczne oraz organizację pracy.
3. Aktywne zaangażowanie w budowanie autonomicznych i społecznych ruchów, opisywane jako proces „zaangażowania społecznego".

Rys historyczny

W ciągu kilku ostatnich dekad, gdy tylko idee Especifismo pojawiły się na scenie latynoamerykańskiego anarchizmu, okazało się, że mają wiele wspólnego z innymi historycznymi ideami ruchu anarchistycznego na świecie. Najbardziej znany jest Platformizm, który zapoczątkowało opublikowanie Organizational Platform of the Libertarian Communists (Platforma organizacyjna wolnościowego komunizmu). Dokument ten, zwany Platformą, został napisany w 1926 roku przez Nestora Machno — dowódcę chłopskiej armii. Wokół gazety o tej samej nazwie skupieni byli Ida Mett i inni bojownicy grupy Dieło Truda (Sprawa Pracy). Ci emigranci po rewolucji rosyjskiej, stacjonując w Paryżu, krytykowali ruch anarchistyczny za brak organizacji, który uniemożliwił wspólny sprzeciw wobec bolszewickim knowaniom zmierzającym do przekształcenia sowieckiego pracownika w instrument systemu jednopartyjnego. Alternatywa, którą proponowali, to bazujący na anarchokomunizmie General Union of Anarchists (Powszechny Związek Anarchistyczny), który dążył do „jedności teorii i taktyki" i skupiał się na walce klas i związkach zawodowych. Podobne idee występują w Organizational Dualism (Dualizmie organizacyjnym), wspomnianym w historycznych dokumentach włoskiego ruchu anarchistycznego lat. 20. Włoscy anarchiści użyli tego terminu, aby opisać zaangażowanie anarchistów, zarówno jako członków anarchistycznych organizacji politycznych, jak i bojowników w ruchu związków zawodowych. W Hiszpanii grupa Przyjaciele Durrutiego ujawniła się, by sprzeciwić się stopniowemu załamywaniu Rewolucji Hiszpańskiej 1936 roku. W Towards a Fresh Revolution naśladowała niektóre idee Platformy, krytykując CNT-FAI za jego postępujący reformizm i współpracę z rządem republikańskim, co, jak sądzono, przyczyniło się do pokonania antyfaszystów i sił rewolucyjnych. Wpływowe organizacje w chińskim ruchu anarchistycznym pierwszej dekady XX wieku, takie jak Wuzhengfu-Gongchan Zhuyi Tongshi Che (Towarzystwo Anarchokomunistycznych Towarzyszy) wyznawały podobne idee. Wszystkie te prądy mają swoje cechy charakterystyczne, związane z ruchem i krajem, z którego wyrosły, dzielą jednak wspólny wątek przeplatający wszystkie ruchy, ery i kontynenty.

Especifismo – rozwinięcie

Especyfiści przedstawiają trzy główne kierunki swojej polityki. Pierwsze dwa dotyczą organizacji. Mówiąc o potrzebie typowo anarchistycznej organizacji zbudowanej na jedności idei i praktyki, Especyfiści nieodłącznie sprzeciwiają się syntezie organizacji rewolucjonistów lub anarchistów różnych luźno połączonych prądów. Charakteryzują tę formę organizacji jako „intensywne poszukiwanie potrzebnej jedności anarchistów aż do punktu, w którym jedność jest przedkładana nad wszystko, mimo ryzyka utraty pozycji, idei i wniosków, czasem nieodwracalnie. Skutkiem tego typu unii są kolektywy libertarian niemające ze sobą wiele wspólnego poza uznawaniem się za anarchistów".

Tę krytykę wystosowali Especyfiści z Ameryki Południowej, a anarchiści z Ameryki Północnej również odbierali takie zjednoczone organizacje jako pozbawione jakiejkolwiek spoistości, z uwagi na wiele przeciwnych sobie tendencji politycznych. Zwykle większość dyskusji tych grup sprowadza się do niezbyt jasnego „najmniejszego wspólnego mianownika" politycznego, zostawiając niewiele miejsca na wspólne akcje lub rozwinięte dyskusje polityczne towarzyszy.

Organizacje rewolucyjne bez strategii wynikającej z politycznego konsensusu są ograniczone do bycia połączeniem protestu przeciwko ciągłym przejawom opresji i niesprawiedliwości z bezowocnymi akcjami powtarzanymi w kółko, bez woli zrozumienia ich konsekwencji. Especyfiści krytykują te tendencje, ponieważ są sterowane przez spontaniczność i indywidualizm i nie prowadzą do poważnej, systematycznej pracy potrzebnej do budowania ruchów rewolucyjnych. Rewolucjoniści z Ameryki Łacińskiej zauważają, że organizacje, którym brakuje programu, „które opierają się wszelkiej dyscyplinie między bojownikami, które odmawiają zdefiniowania czy »dopasowania się«, są bezpośrednimi spadkobiercami burżuazyjnego liberalizmu, który reaguje tylko na silne bodźce, dołącza do walki tylko w jej natężonych momentach, odmawiając ciągłej pracy, zwłaszcza w chwilach względnego spokoju pomiędzy walkami".

Szczególnie zaakcentowana w praktyce Especifismo jest rola organizacji anarchistycznej, bazującej na wspólnej polityce jako przestrzeni dla rozwoju wspólnej strategii oraz koncepcji organizacji pracy grupy. Utrzymywane przez zbiorową odpowiedzialność względem pracy i planów organizacji, budowane jest zaufanie między grupami i poszczególnymi ich członkami, pozwalając na głębokie, dojrzałe dyskusje na temat ich działań. To pozwala organizacji na tworzenie zbiorczych analiz, rozwijanie bezpośrednich i długofalowych celów oraz zastanawianie się nad zmianami w zależności od okoliczności i nowych faktów.

Bazując na tych zwyczajach i podstawowych zasadach ideologii, organizacje rewolucyjne powinny skupić się na stworzeniu programu, który określiłby ich krótkofalowe i pośrednie założenia i który służyłby ich długofalowym celom. Program ten musi wywodzić się z dokładnej analizy społeczeństwa i współzależności sił będących jego częścią. Musi być budowany na fundamencie doświadczenia walki uciskanych i ich aspiracji, i z tej perspektywy musi określić cele i zadania stawiane przed organizacjami rewolucyjnymi, aby osiągnąć zarówno cel ostateczny, jak i pośrednie zamierzenia.

Ostatnim, ale kluczowym punktem praktyki Especifismo, jest idea „zaangażowania społecznego". Pochodzi ona z przeświadczenia, że uciskani są najbardziej rewolucyjną częścią społeczeństwa i że ziarno przyszłych społecznych przemian rewolucyjnych zostało już zasadzone właśnie w tych klasach i grupach społecznych. Zaangażowanie społeczne oznacza zaangażowanie anarchistów w codzienne walki klas pracujących i uciskanych. Nie oznacza to działania w ramach kampanii dotyczących jednego tylko tematu, opierającego się na zaangażowaniu oczywistych politycznych aktywistów, a raczej działanie w ramach ruchów ludzi walczących o poprawę ich własnej kondycji, które nie powstają wyłącznie z potrzeb materialnych, ale również z potrzeb o społecznych i historycznych korzeniach, aby odeprzeć ataki państwa i kapitalizmu. Dotyczy to także ruchów, na których czele stoją szeregowi robotnicy, ruchów społeczności imigrantów, domagających się legalizacji pobytu, organizacji sąsiedzkich stawiających opór zabójstwom i brutalności policji, studentów klasy pracującej walczących przeciwko cięciom budżetowym i biednych, bezrobotnych ludzi sprzeciwiających się eksmisjom i ograniczonej dostępności do usług. Zmagając się z codziennymi problemami, uciskani stają się świadomą siłą. Klasą samą w sobie, a może klasą w nich samych (zdefiniowani poza klasową redukcjonistyczną wizją miejskiego proletariatu przemysłowego, aby włączyć wszystkie uciskane grupy społeczne, które mają istotny udział w nowym społeczeństwie), hartowaną, testowaną i tworzoną wciąż na nowo poprzez codzienne zmagania o pilne potrzeby. To znaczy, że oni się zmieniają — z klas i grup społecznych istniejących obiektywnie i przez fakt społecznych relacji — w społeczną siłę. Połączeni organicznymi metodami, często przez swoją samoorganizacyjną spójność, stają się samoświadomymi aktorami zdającymi sobie sprawę ze swojej mocy, głosu i przyrodzonego ciemiężyciela: elit rządzących, które sprawują kontrolę nad strukturami władzy współczesnego społeczeństwa.

Przykładami zaangażowania społecznego, które wymienia Federacji Anarchistycznej Gaúcha, są: ich praca z komitetami sąsiedzkimi w miejskich wsiach i slumsach (nazywanymi społecznymi komitetami oporu), budowanie sojuszy z szeregowymi członkami organizacji wiejskich bezrolnych pracowników z ruchu MST (Movimento dos Trabalhadores Sem Terra, czyli Ruch pracowników bez ziemi), a także wśród zbieraczy śmieci i surowców wtórnych. W związku z wysoką liczbą tymczasowych i warunkowych zatrudnień, zatrudnień niepełnych i bezrobociem w Brazylii, znacząca część klasy pracującej przetrwała nie dzięki pracy najemnej, a raczej za sprawą pracy umożliwiającej jedynie przetrwanie, i gospodarki nieformalnej, na przykład prac budowlanych, handlu ulicznego lub zbierania śmieci i surowców wtórnych. Przez kilka lat pracy FAG zbudowała silną relację z miejskimi zbieraczami śmieci, nazywanymi „catadores" (z portugalskiego: Kolektory). Członkowie FAG wspierali ich przy formowaniu ich własnej narodowej organizacji (pracującej nad mobilizacją zbieraczy śmieci wokół ich interesów) oraz przy zbiórce pieniędzy na budowanie zbiorowo zarządzanego recyklingu.

Koncepcja relacji idei i ruchów społecznych w Especifismo zakłada, że idee te nie powinny być narzucone przez kierownictwo, przez „mass line" (od tłum. maoistyczna metoda sprawowania władzy mająca pozory demokracji) czy intelektualistów. Bojownicy anarchistyczni nie powinni starać się przekonać ruchów do głoszenia „anarchistycznych" opinii, ale zamiast tego chronić ich anarchistyczne zacięcie, to znaczy ich naturalne dążenie do samoorganizacji i zagorzałej walki dla własnych interesów. To opiera się na założeniu, że ruchy społeczne osiągną własną logikę tworzenia rewolucji niekoniecznie wtedy, kiedy wszyscy osiągną moment identyfikowania się jako anarchiści, ale kiedy wszyscy (lub przynajmniej przeważająca większość) osiągną świadomość własnej mocy i będą trenować tę moc w życiu codziennym, w pewnym sensie przyjmując idee anarchizmu. Dodatkową rolą anarchistycznego bojownika wśród ruchów społecznych według Especyfistów jest odnoszenie się do wielu prądów politycznych, które będą istnieć wewnątrz ruchów, i aktywne zwalczanie oportunistycznych elementów awangardy proletariatu i polityki wyborczej.

Especifismo w kontekście północnoamerykańskiego i zachodniego anarchizmu

W zorganizowanym i rewolucyjnym anarchizmie Ameryki Północnej i Zachodu wiele wskazuje na inspirację i wpływ Platformy, dokumentu mającego największe oddziaływanie na obecny rozkwit organizacji anarchistycznych zajmujących się walką klas na całym świecie. Wielu widzi Platformę jako historyczny dokument, który mówi o porażkach organizacyjnych anarchizmu pośród ruchów ogólnoświatowej rewolucji z ubiegłego wieku, co skłania ich do określenia się jako osoby działające w duchu platformizmu. W związku z tym prądy Especifismo i Platformizm zasługują na porównanie i przeciwstawienie.

Twórcy Platformizmu byli weteranami partyzantki Rewolucji Rosyjskiej. Pomagali prowadzić wojnę ruchu ludowego przeciwko armiom Europy Zachodniej, a później przeciw bolszewikom na Ukrainie, której mieszkańcy byli kiedyś niepodlegli Imperium Rosyjskiemu. Autorzy Platformy czerpali oczywiście z bogactwa doświadczenia i mając na uwadze kontekst walk będących punktem zwrotnym ich ery. Dokument ten był tylko jednak małym krokiem naprzód, proponując zjednoczenie anarchistów klas walczących i uparcie milcząc w kwestii wielu kluczowych pytań stojących przed rewolucjonistami tamtego okresu, między innymi o opresji wobec kobiet czy kolonializmie.

Podczas gdy większość organizacji anarchokomunistycznych deklaruje dziś bycie pod wpływem Platformy, patrząc wstecz, można ją uznać za przejmujący manifest, który zrodził się z bagna ogarniającego anarchizm bezpośrednio po rewolucji rosyjskiej. Jako projekt historyczny deklaracje i podstawowe idee zawarte w Platformie były w dużej mierze odrzucane na rzecz tendencji indywidualistycznych w ruchu anarchistycznym, były także niezrozumiane z powodu bariery językowej, jak twierdzą niektórzy, lub nigdy nie uzyskały wsparcia jednostek czy organizacji, które zjednoczyłyby się wokół tego dokumentu. W 1927 Dieło Truda rzeczywiście zorganizowała małą międzynarodową konferencję zwolenników z Francji, ale była ona szybko przerwana przez władze.

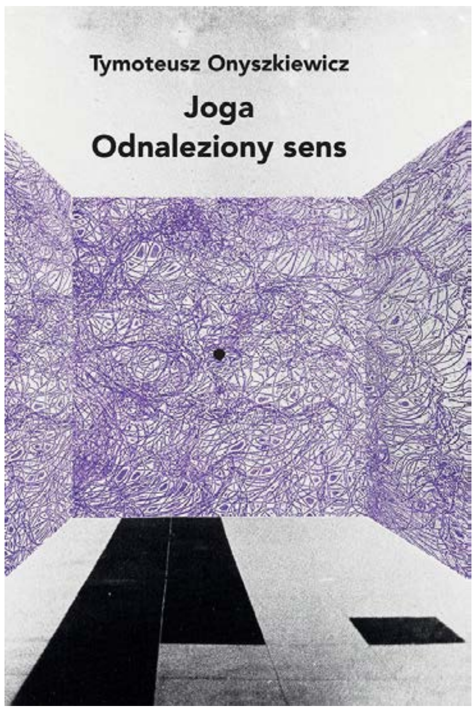
Tymczasem praktyka Especifismo jest żywą, rozwiniętą działalnością i bezspornie znacznie bardziej istotną i współczesną teorią, kształtowaną przez 50 lat zrzeszania anarchistów. Powstała na południu Ameryki Łacińskiej, ale jej wpływ rozprzestrzenił się na cały świat. Idee Especifismo nie pojawiają się nagle w wyniku wezwań czy pojedynczych dokumentów, ale pochodzą wprost z ruchów globalnego południa, które prowadzą walkę przeciw międzynarodowemu kapitalizmowi, stanowiąc przykład dla nurtów na całym świecie. Especyfiści, mówiąc o organizacji, nawołują do znacznie głębszego ugruntowania organizacji anarchistycznej niż Platforma ze swoją „teoretyczną i taktyczną jednością". Ugruntowania na strategicznym programie, bazującym na analizie, która prowadzi akcje rewolucjonistów. Dostarczają nam żywych przykładów organizacji rewolucyjnej, opierającej się na potrzebie ogólnej analizy, wspólnej teorii i mocnych związków z ruchami społecznymi.

Sądzę, że tradycja Especifismo może być bardzo inspirująca; nie tylko w skali globalnej, ale zwłaszcza dla anarchistów zajmujących się walką klas w Ameryce Północnej i dla wielorasowych rewolucjonistów w USA. Podczas gdy Platforma zdaje się sztufladkować anarchistów jako działaczy wspierających związki zawodowe, Especifismo daje nam przykład, z którego możemy korzystać, i który jest istotny dla naszej pracy w budowaniu ruchu rewolucyjnego. Mając to wszystko na uwadze, mam nadzieję, że ten artykuł pomoże nam w konkretnych refleksjach o tym, jak my, jako ruch, definiujemy i kształtujemy nasze tradycje i wpływy. ★

Artykuł pt. *Especifismo: The Anarchist Praxis of Building Popular Movements and Revolutionary Organization* był pierwotnie opublikowany w czasopiśmie The Northeastern Anarchist (nr 11, wiosna 2006).

Konwencjonalna rzeczywistość to falsyfikat

Po publikacji „Anarchizm transcendentalny a gnoza" Tymoteusz Onyszkiewicz swą kolejną książką „Joga. Odnaleziony sens" dostarcza mi, ponownie, mocnego duchowego pobudzenia. Słowa te piszę jako czytelnik ukierunkowany na rozwój duchowy, bo żaden ze mnie znawca filozofii, a filozofii i tradycji kultury Wschodu tym bardziej.



Zbyszek

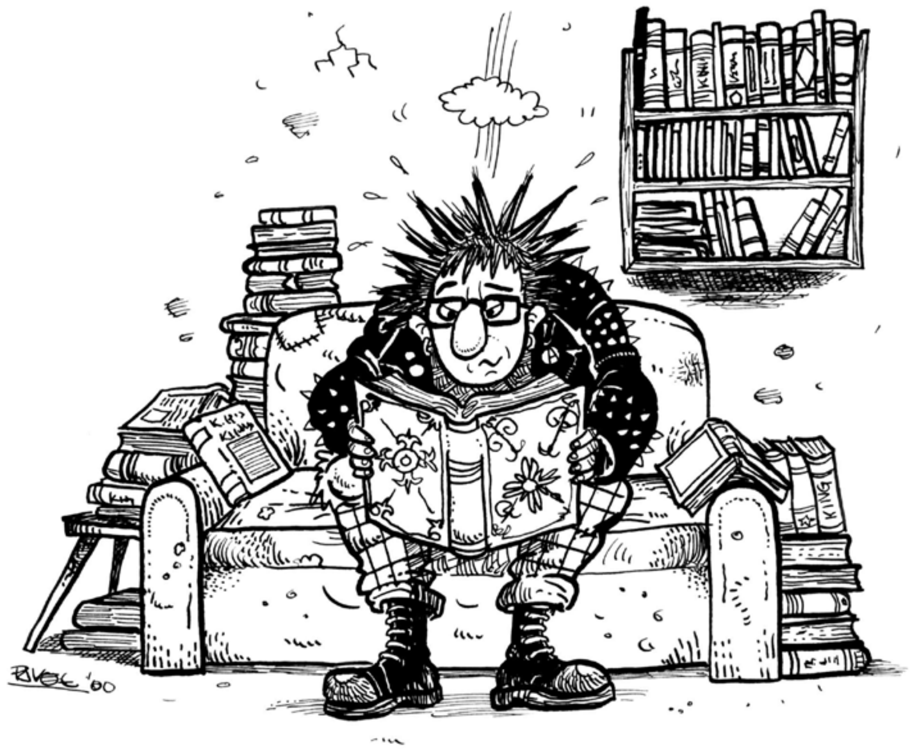
Autor, w pozytywnym znaczeniu, burzy mój spokój ducha, powoduje ferment intelektualny i refleksję nad bytem. Chylę czoła przed jego wnikliwością analiz poszczególnych nurtów jogi, ich podziałów, wpływów na siebie i geograficznej orientacji w niuansach poszczególnych szkół. Bogactwo panteonu bóstw, egzotyka nazewnictwa, obca kulturowo treść proponowanych praktyk duchowych nie czynią z tej pozycji książkowej literatury łatwej i przyjemnej.

Mnie jednak Tymoteusz Onyszkiewicz przeprowadził przez ten gąszcz terminów i zawirowań wywodów filozoficznych w sposób satysfakcjonujący. Proponując i sugerując wiele odnośników bliższych mej mentalnej duchowości, spowodował, że książkę czytałem ze zrozumieniem. Wciągnęła mnie na trzy dni, a raczej doby, obcowania z zawartą w niej treścią. Wielokrotnie wertowałem ją w przód i w tył — i nie wiem, jak długo jeszcze będzie pracować we mnie jej treść.

Nie żałuję tych wszystkich trudności, przez które musiałem przebrnąć, czytając tę „Jogę", nie żałuję fermentu intelektualnego, który trwa. Nadal toczę wewnętrzny spór z treścią książki o pewne duchowe meandry, ale chyba jest to już spór z samym sobą i kulturą, w której dane było mi się ukształtować.

Pomimo że autor zaznacza, że słowa mogą nie oddawać intencji, emocji i doświadczeń duchowych, to urzeka mnie rozmyślna świadomość używanych słów. Przekonanie, że dobór właściwego wyrazu ma znaczenie w przekazie tak subtelnych zjawisk i treści.

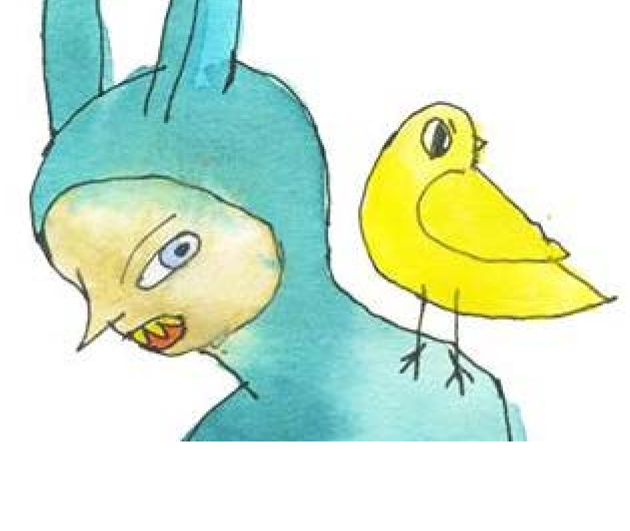
Miałem pokusę do zaprezentowania wielu cytatów, doszedłem jednak do wniosku, że wyrwane z kontekstu i atmosfery książki utracą część swej wymowy. Odsyłając zainteresowanych do książki, zrobię jeden wyjątek, oddając głos autorowi: „Mam jednak nadzieję, że kontakt z tą książką, poza namysłem nad filozofią jogi, stał się dla jej czytelników i czytelniczek swoistą medytacją nad własnymi emocjonalnymi niedoskonałościami, nad uwikłaniami w zjawiska wewnętrzne, jak i zewnętrzne, nad drogą prowadzącą do prawdy i wyzwolenia. Gdyby medytacja ta przyniosła kilku wrażliwym i poszukującym umysłom nadzieję na odnalezienie sensu ludzkiej egzystencji, a może nawet doprowadziłaby do jego odkrycia, znaczyłoby to, że trud włożony w napisanie tej książki przyniósł właściwe owoce". ★



Pablo — punk, rysownik, redaktor anarchopunkowego zina „Chaos w Mojej Głowie". Prowadzi fanpage CHAOS Drawings.

Ilustratorzy numeru

Edyta Bystroń — rysowniczka, ilustratorka, twórczyni komiksów. Publikuje w antologiach, zinach, większe projekty wydaje niezależnie dzięki akcjom crowdfoundingowym. Prowadzi warsztaty artystyczne i komiksowe dla dzieci, młodzieży i dorosłych.



Rosie

Irlandia to kraj, który cierpi na niedobór mieszkań. Brakuje lokali na wynajem, a procent bezdomnych rodzin w Irlandii rośnie najszybciej w Europie. Rosie wraz ze swoim mężem i czwórką dzieci, nagle traci dach nad głową. Obserwujemy jak Rosie, jadąc samochodem, desperacko szuka schronienia dla siebie i swoich pociech, podczas gdy mąż jest w pracy.

Łukasz Weber



Reżyser — Paddy Breathnach — stara się nam pokazać całą sytuację w jak największym zbliżeniu, mamy czuć, że siedzimy tuż obok. Tak samo, jak dzwoniącej matce ma nam przeszkadzać kłótnia dzieci na tylnym siedzeniu. Mamy być na tyle blisko, by wyłapać, nadąsaną minę najstarszej córki, nastolatki, która chciałaby mieć czas dla siebie, móc pobyć z koleżankami, a nie spełniać się w roli opiekunki rodzeństwa i głównej pomocniczki mamy. Stopniowo zanurzamy się coraz bardziej w historię rodziny, widzimy męża ciężko pracującego w restauracji, zdającego sobie sprawę, że nie może nawet pomyśleć, by odmówić szefowi zostania kilku godzin dłużej w pracy, chociaż rodzina go potrzebuje. Cały czas sytuacja jest utrzymywana w dynamice podyktowanej determinacją, by rodzina nie musiała spędzić nocy w samochodzie. Kolejne telefony, kolejne rozmowy, Rosie korzysta z adresów podanych przez dublińską pomoc społeczną. Jedyne, co udaje się uzyskać, to nocleg w hotelu na jedną noc. W całej historii widzimy to wszystko, co czasem może nas przytłoczyć w codzienności — konieczność przygotowania jedzenia dla dzieci do szkoły, pomoc w lekcjach, radzenie sobie z ich humorami, ukrywanie przed nimi własnych lęków i bezsilności, po to, by jak najlepiej sprostać roli rodzica, by cała sytuacja jak najmniej ich dotykała. Nie chcąc zdradzić całości fabuły, należy podkreślić, jak dobrze oddaje ona realizm współczesnych problemów lokatorskich. Ceny nieruchomości i ich niedobór tworzą barierę, przez którą nie mogą przebić się osoby w gorszej sytuacji finansowej. W takiej sytuacji to wynajmujący jest stroną, która dyktuje warunki, może przebierać w ofertach, niekoniecznie z otwartymi ramionami witać osoby z dziećmi, czy takie, które nie będą wręcz pasowały do „wizerunku dzielnicy i sąsiedztwa". Nisko płatne zajęcia nie dają szans nawet na uzyskanie kredytu, który mógłby pozwolić na myślenie o zakupie własnego domu. I choć cała akcja filmu dzieje się w odległej dla nas Irlandii, i stara się oddać lokalną specyfikę, to jak łatwo przenieść można by ją do każdego innego kraju, także Polski. Kto z nas nie ma choćby wśród znajomych czy przyjaciół, osób z dziećmi, którym regularnie pomaga przeprowadzać się czasem nawet częściej niż raz w roku. Ile osób było i jest w sytuacji ciągłego szukania lokalu na wynajem, stresowania się czy właściciel nie zdecyduje się podnieść opłat powyżej naszych możliwości finansowych, lub po prostu postanowi sprzedać mieszkanie. Jak długo całe rzesze znajomych będzie skazana na przechodzenie „castingów na współlokatora" lub szukania takiego mieszkania, gdzie właściciel zgodzi się na trzymanie zwierząt. Ile razy konieczne będzie mimo upływających lat szukanie pomocy i wsparcia finansowego u rodziców? Wydaje się, że polskim filmowcom daleko jest do dostrzeżenia potencjału w takiej tematyce lokatorskiej, tak bliskiej zapewne wielu widzom, na kanwie, której można opowiedzieć naprawdę ciekawą historię. Dobrze zatem, że irlandzka kinematografia sięgnęła po bardzo życiowy problem i pokazała go z całą ostrością. ★

A JEDNAK WALKA KLAS!?

Krótki felieton o tym, jak kapitalista przekonał mnie do przemocy.

John Silver

Wakacyjne wyjazdy, wieczorne pogaduchy, a do tego ognisko — znakomity czas, żeby w spokoju, z dala od miejskiego zgiełku, porozmawiać sobie o życiu. Czasem jednak znajdzie się taki łotr, który zdecyduje się uprzykrzyć nam żywot.

Przed rozpoczęciem urlopu obiecałem sobie, że nie będę rozmawiał o polityce (namiot i jeziorko miały mnie od tego uchronić), bo nigdy nic dobrego z tego nie wychodzi. Ludzie przyzwyczaili się już, że ich wiedza o świecie jest kompletna i obiektywna, a ich poglądy polityczne — jedyne, właściwe i słuszne. Toteż pewnego razu zarzuciłem temat seriali; do piwka w sam raz. Kiedy skończyliśmy analizować możliwe zakończenia jednego z popularnych seriali, ktoś stwierdził, że najlepsze są seriale realistyczne i historyczne, jako jeden z przykładów podając „Czarnobyl". Stwierdziłem, że tego serialu jeszcze nie oglądałem, ale koniecznie muszę to zrobić, bo to oczywiście bardzo ważny temat. Wtem padło pytanie: „Dlaczego ważny?". Nie namyślając się długo, wyraziłem opinię, że jestem przeciwko elektrowniom atomowym, a z tego, co słyszałem, ten film pokazuje, jakie były przyczyny awarii w elektrowni jądrowej na Ukrainie w 1986 r., jak narażano życie ludzi i tuszowano całą sprawę. Stwierdzenie to rozpoczęło wielogodzinną dyskusję.

Zacząłem więc od tego, że jestem przeciwko atomowi z przekonania antymilitarystycznego, a wiem, że z tej technologii korzysta wojsko. Usłyszałem, iż jest to bzdura, bo: wojsko nie musi korzystać z takich rozwiązań (w znaczeniu, że energia dla narodu) i może sobie postawić fabrykę broni atomowej, gdzie tylko chce; broni takiej nie trzeba już produkować, bo jest jej już wystarczająca ilość (rzecz jasna w posiadaniu mocarstw); a Polsce i tak nikt by nie pozwolił, żeby wojsko miało broń atomową — to super mamy sojuszników, pomyślałem sobie. Postanowiłem uderzyć z grubej rury i przypomniałem o zrzuceniu bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki. Jako ripostę usłyszałem: „Przecież atom dał nam pokój, bo zakończył II wojnę światową, a w innym przypadku Japończyków musiałoby zginąć jeszcze więcej" (mówi się o około 400 tys. ofiar). Jako pacyfista nie mogłem zgodzić się z takim stwierdzeniem, lecz za chwilę usłyszałem, że pacyfizm jest krótkowzroczny...

W ciągu dalszej dyskusji mój oponent (kapitalista-korwinista, dla którego najważniejsze są bliżej nieokreślona wolność i własność prywatna) stwierdził, że katastrofa w Czarnobylu wydarzyła się dawno temu i powinniśmy rozwijać tę technologię, ponieważ jest to najczystsza energia ze wszystkich możliwych. Próbowałem mu wytłumaczyć, że ta energia jest tylko pozornie czysta, jeśli porównać ją z dymem węglowym, ale jest to myślenie nieostrożne, bo przecież istnieją odpady atomowe, które trzeba gdzieś magazynować, np. władze PRL-u chciały to robić w starych schronach — a jakże, antyatomowych. Ponadto zaznaczyłem, że awarii reaktorów jądrowych na świecie było wiele (w tym w Anglii i Japonii), ale były ukrywane przez władzę. Usłyszałem, że to bardzo dobrze, że były ukrywane, ponieważ ludzi trzeba okłamywać, bo inaczej wykorzystują te informacje do walki politycznej, jak to czynią — i tak już wiecie kto! — lewacy...

Teraz już wiedziałem, z kim mam do czynienia. Stwierdziłem, że moim zdaniem główna przyczyna naszego nieporozumienia w tej dyskusji to brak dostępu do rzetelnej informacji, który powinien się zaczynać od edukacji najmłodszych. Chodzi o pewnego rodzaju wrażliwość na krzywdę innych, którą można uzyskać np. poprzez dobrze poprowadzoną lekcję historii (analiza faktów, a nie martyrologia), wiedzy o społeczeństwie (prowadzonej wolnościowo), religioznawstwo zamiast religii katolickiej itp. W zamian usłyszałem, że nie powinno być równego dostępu do edukacji, bo ktoś musi być przecież „szambonurkiem". Gdy zacząłem bardziej drążyć temat, dowiedziałem się jeszcze, że krajom zacofanym nie warto pomagać, bo kiedyś nam i tak dorównają, a muszą przejść przez wszystkie etapy. Nie wytrzymałem i odpowiedziałem, że kiedy słyszę takie brednie, to budzi się we mnie ukryty marksista, który krzyczy: „Bij burżuja! Nie podoba ci się pokój, to będzie lanie!". Jednak mu odpuściłem i poszedłem spać.

Byłem naprawdę zszokowany tą rozmową. Zawsze podchodzę do czyichś poglądów zarówno z szacunkiem, jak i z ciekawością — nie odrzucam ich tak po prostu i próbuję zrozumieć, dlaczego ktoś nie jest anarchistą, tylko na przykład zaciekłym kapitalistą, nacjonalistą itd. Jednak po tego typu wypowiedziach zaczynam się zastanawiać nad odrzuceniem pacyfistycznej pracy u podstaw. Może z tymi ludźmi nie da się spokojnie rozmawiać? A jednak walka klas!? ★

„ODDAJCIE MIESZKANIA ZAKŁADOWE!"

13 września odbyła się w Warszawie manifestacja w sprawie nielegalnie sprywatyzowanych mieszkań zakładowych. Manifestacja została zorganizowana przez Akcję Lokatorską oraz Komitet Obrony Praw Lokatorów.



Wzięli w niej udział lokatorzy z całego kraju. Zgromadzenie rozpoczęło się pod Ministerstwem Inwestycji i Rozwoju, gdzie żądaliśmy powrotu do prac nad ustawą kompleksowo rozwiązującą ten problem. Spotkaliśmy się z przedstawicielami ministerstwa i przekazaliśmy pismo do ministra Jerzego Kwiecińskiego, w którym poinformowaliśmy, że obecnie funkcjonująca ustawa, która zakłada wykup mieszkań przez gminy z 50-procentową dopłatą z BGK, nie działa w praktyce w naszych miastach. Nasze żądania zawarliśmy w piśmie:

„W związku z zaistniałą sytuacją i problemami z realizacją w praktyce wyżej wymienionej ustawy uważamy, że należy powrócić do projektu ustawy dotyczącej stricte problemu mieszkań zakładowych, nad którą prace trwają od lat. Niezbędne może okazać się też powołanie specjalnej komisji sejmowej, która wyjaśni zarówno kulisy prywatyzacji mieszkań zakładowych, jak i pomoże rozwiązać ten problem. Lokatorzy zawłaszczonych mieszkań zakładowych są coraz bardziej zrozpaczeni, ale też i zniecierpliwieni przedłużającymi się pracami nad taką ustawą, mimo wcześniejszych obietnic szybkiego rozwiązania tej kwestii. Domagamy się, aby państwo polskie w końcu zmazało z siebie tę hańbę, ponieważ odpowiada za stworzenie w swoim czasie ram instytucjonalnych i prawnych dla zawłaszczenia mieszkań zakładowych. I to państwo polskie powinno teraz rozwiązać ten problem i zadośćuczynić pokrzywdzonym".

Następnie przeszliśmy z manifestacją, informując po drodze przechodniów o sytuacji lokatorów mieszkań zakładowych, na ul. Nowogrodzką pod budynek, w którym mieści się siedziba partii rządzącej. Tam przekazaliśmy pismo do prezesa PiS, Jarosława Kaczyńskiego, informujące o sytuacji i w którym domagamy się rozwiązania problemu, co partia obiecała uczynić już w 2004 roku. Równolegle delegacja udała się do Urzędu Rady Ministrów, by przekazać podobne pismo do premiera Mateusza Morawieckiego.

Na tym demonstracja się zakończyła i autokary wyruszyły w drogę powrotną do swoich miast. Będziemy walczyć nadal, dopóki sprawa ta nie zakończy się pozytywnie dla lokatorów i lokatorek byłych mieszkań zakładowych, bez względu na to, kto wygra jesienne wybory. Jak dotąd wszystkie partie w tej materii zawiodły. ★

Przemoc instytucjonalna uderza w nas wszystkich!

W poniedziałek 23 września przed Sądem Rejonowym w Gnieźnie odbyła się solidarnościowa demonstracja z Katarzyną, którą dotknęła podwójna krzywda — gwałt oraz haniebne potraktowanie przez instytucje publiczne po jego zgłoszeniu, począwszy od policji, poprzez prokuraturę, a skończywszy na sądzie.

Kamila Kasprzak-Bartkowiak
współorganizatorka demonstracji
„Solidarni z Katarzyną – gwiżdżemy na taką sprawiedliwość!"

O tym, że nasze państwo na bardzo wielu obszarach zawodzi, wiadomo nie od dziś. Jednak szczególnie boli to przy wrażliwych sprawach, gdy obywatelka czy obywatel doświadczający cierpienia, chciałby uzyskać pomoc „z zewnątrz", a styka się z jeszcze większą traumą, brakiem taktu i zrozumienia czy ostracyzmem. Tak stało się w przypadku wspomnianej na początku kobiety, która została zgwałcona przez znajomego i po opowiedzeniu o tym fakcie kilku prywatnym osobom, w tym swojemu mężowi i żonie oskarżyć Katarzynę o fałszywe składanie zeznań oraz ukarać ją więzieniem, pracami społecznymi i publikacją tego wyroku w lokalnej gazecie!

Dlaczego tak się dzieje i jakie z tego wszystkiego możemy wyciągnąć wnioski? Choćby takie, że państwo polskie, to dziś niestety ultrakonserwatywny i dyskryminujący wszystkich czy wszystko, co nie mieści się w jego wyobraźni — „buc". W dodatku podatny na układy i sieci znajomości, które pojawiły się też w powyższej sprawie (rodzina gwałciciela pracu- solidarność za każdym razem, gdy pojedynczą osobę czy daną grupę spotyka jakaś krzywda. Pokazanie, że jako obywatelki czy obywatele tego kraju nie godzimy się na ideologiczne i dyskryminujące traktowanie przez podmioty, które powinny nam pomagać! Piszę te słowa jako propaństwowa aktywistka, która jednak anarchizm uważa za dość utopijną przyszłość. Żyjemy bowiem w polskim państwie tu i teraz, gdzie chyba łatwiej uczynić „ludzkimi" jego instytucje niż budować nowy porządek, który z drugiej strony też prze-



Fot.: Dawid Majewski

oprawcy, po kolejnych przemocowych akcjach, zgłosiła sprawę policji. Jednak zamiast ulgi i wsparcia doczekała się upokorzenia. Najpierw przez policjanta (a nie policjantkę, która z uwagi na charakter zdarzenia byłaby bardziej wskazana), który zadawał jej karygodne pytania o strój (jakby to ubiór krzywdził, a nie gwałciciel), a do tego był złośliwy. Potem zawiodła ją prokuratura już z kobiecą przedstawicielką, która na początku starała się do niej empatycznie podchodzić, by po przesłuchaniu oskarżonego diametralnie zmienić swój stosunek (namowy do konfrontacji z oprawcą!) oraz doprowadzić do umorzenia sprawy. I wreszcie sąd, który zamiast sprawiedliwości też grał na umorzenie, by po złożonej skardze… je w policji, więc sprawcy nie może spaść włos z głowy) i ważniejsze są niż prawda czy sprawiedliwość. Taki „buc" zaś żeby wytłumaczyć swoją ideologię i przemoc wobec słabszych lub niepasujących mu innych, używa instytucji. Kilku, jak to się stało w przypadku Katarzyny, lub pojedynczych, gdy postraszyć trzeba antyfaszystów i wyłapać demonstrantki z białymi różami, pokazać prozwierzęcym aktywistom albo obrończyniom eksmitowanych lokatorów, gdzie ich miejsce czy wreszcie odmówić systemowo praw osobom ze środowiska LGBT+. Prawda bowiem jest taka, że przemoc instytucjonalna uderza w nas wszystkich, o ile tylko przypadkiem znajdziemy się na jej drodze. Dlatego tak ważna jest cież musi mieć jakąś strukturę i zasady. Poza tym wierzę, że władza może naprawdę chronić każdego z nas i stać na straży sprawiedliwości. Katarzyna też, zdaje się, jeszcze wierzy, skoro zwróciła się o pomoc do Rzecznika Praw Obywatelskich Adama Bodnara i czeka na kolejne rozprawy. A na razie niech nam przyświeca hasło z jednego transparentu z dema w obronie Rozbratu „Bez walki nie licz na lepsze życie!" i to zawsze aktualne „Solidarność nasza bronią!". ★

Skrót historii Katarzyny z tekstu Mai Staśko „Zgłosiłam gwałt i zostałam skazana na więzienie". Katarzyna nie może się pogodzić z decyzją sądu, ze strony www.kobieta.wp.pl

Tarnów

Trochę się ostatnio w aktywizmie rozleniwiliśmy. Wraz z kolejnym rokiem akademickim nadeszła kolejna fala odpływu tarnowskiej młodzieży do Krakowa, Rzeszowa, Wrocławia czy za granicę — jest to coś, z czym, będąc z Tarnowa, chyba trzeba się po prostu pogodzić.

Przez ostatnie kilka lat zaangażowaliśmy się w wyczyszczenie z tarnowskich ulic nacjonalistycznych haseł, często napotykając wręcz na symbole nazistowskie — swastyki, krzyże celtyckie, błyskawice SS, wilcze haki.

Plakatowaliśmy, kolportowaliśmy prasę anarchistyczną, angażowaliśmy się w demonstracje, nagłośniliśmy wiele lokalnych problemów, zamalowywaliśmy mowę nienawiści.

Zdrapywaliśmy lub zalepialiśmy własnymi wlepy lokalnych nacjoharcerzyków i narodowych napaleńców.

Tej jesieni, 27 października rozpoczynamy trzeci już sezon akcji Food Not Bombs, która niesamowicie się rozrosła — zaczynaliśmy z jednym skromnym garem zupy na małym stoliczku, a w tym roku rozkładać się będziemy na trzech dużych stolikach, dzieląc się wieloma daniami, wypiekami, owocami, napojami, ciepłą odzieżą i ciekawą literaturą.

By zaciekawić akcją więcej osób i by zdobyć fundusze na zakup potrzebnych rzeczy do dalszego prowadzenia akcji, organizujemy 15 listopada benefitowy koncert w Stowarzyszeniu Przepraszam.

Będziemy również brać udział w krakowskiej edycji Kongresu Anarchistycznego, a na wiosnę będziemy mogli was zaprosić na pierwszy w Tarnowie Marsz Równości. Jeśli jesteś z okolic i chciałbyś zacząć działać lub zrealizować własny pomysł, napisz na nasz profil na fuckbooku.

Pozdro 161 ★



ATAK
ANARCHISTYCZNA GAZETA ULICZNA

to pismo dla was, dlatego czekamy na uwagi oraz krytykę, liczymy też na wsparcie. Zapraszamy do jego współtworzenia oraz pomocy w kolportażu. Wydawanie pisma to nie jedyna nasza aktywność, jesteśmy aktywni w wielu praktycznych działaniach ruchu anarchistycznego – pismo traktujemy jako jedno z narzędzi. Gazetę tworzy kolektyw redakcyjny, jeśli chcecie się z nami skontaktować, piszcie na: **atak@riseup.net**
Wspieraj fundusz propagujący anarchizm i wydawanie Ataku (np. poprzez dotację, zakup wlepek itp.).
Kontakt: **akoordynacja@op.pl**

„Jeźdźcy Apokalipsy" kapitalizmu XXI wieku,

czyli kilka słów o manipulacji, dezinformacji oraz ukrywaniu faktów

Już od dłuższego czasu na całym świecie można zaobserwować wielki wysyp tzw. „fake newsów" oraz przeróżnych form manipulacji. Czy mieliście czasem mętlik w głowie z tego powodu? Oczywiście nie mam na myśli artykułów w stylu: „Pani Basia (66 l.) zbudowała ze swojej pralki „Frani" rakietę, która poleci w kosmos. Czy to sukces polskiej astronomii?". Aczkolwiek może i nie byłby to taki zły pomysł, ale o tym napiszę ewentualnie innym razem…

Krzysztof Mik

Jak to jest, że pewna znana stacja telewizyjna mówi jedno, radiowa zaczyna coś zmieniać, a internet…no ten to już w ogóle…! Dodatkowo istnieją jeszcze ci „youtuberzy", władcy chaosu oraz Hadesu!

Jak się najlepiej przed dezinformacją bronić i jak skutecznie sprawdzać rzetelność informacji? Również — czy nie działa to tak, że każda informacja jest jednak prawdziwa, a zależne jest tylko to jak ją zinterpretować? Chciałbym spróbować o tym pokrótce opowiedzieć, a nawet trochę pofilozofować. Przyjrzyjmy się stopniowi manipulacji otaczającej nas rzeczywistości. Oczywiście, mamy kapitalizm (mniej lub bardziej jawny), a co za tym idzie, we wszelkie dobra zaopatrujemy się w sklepach za pomocą stworzonego przez człowieka systemu monetarnego, który notabene jest odpowiedzialny za wiele wojen, biedę, wyniszczenie Ziemi, a ostatecznie konflikty nawet wśród małych struktur społecznych. Wypadkową tego procesu możemy zauważyć przy tak zwyczajnej, „szarej" czynności jak wyjście na niedzielny spacer — zewsząd zaczynają się uśmiechać aktorzy, aktorki, prezenterzy, pogodynki, dziennikarze, mechanicy, kucharki, prostytutki, alfonsy, dilerzy, psy, świnie, koty, a może nawet wirusy i bakterie z tą samą miną, i podpisem, bardziej lub mniej widocznym czy werbalnym: „MUSISZ TO MIEĆ!". Oczywiście chodzi o reklamę. Zastanówmy się, jak to na nas działa. Co niektórzy pewnie żałują, że AdBlocka można zainstalować wyłącznie w komputerze lub telefonie! Warto byłoby mieć takie okulary, które zakładasz i cyk… Reklam nie ma! Niestety, jak na razie to tylko marzenie…

Niejednokrotnie możemy usłyszeć jak nasz sąsiad, Pan Janusz spod trójki, chwali się: „Na mnie to te reklamy nie działają, nie mają na mnie żadnego haka, ja się nie dam, bo ja to twardy facet jestem!". No cóż… Po chwili da się zauważyć, że sąsiad nagle przyjeżdża z nowiutkim telewizorem, którego wielkość jest minimalnie mniejsza od stopnia ego nacjonalistów, a jego syn defiluje z telefonem firmy JAbłko, którego premiera odbędzie się dopiero za miesiąc. Podczas rozmowy słyszę: „Wiesz Pan, bo młodego koledzy takie majo i nie można być gorszym przecie. Pomyślo, że biedota! A telewizor to jo żem widzioł w reklamie. Mówili, że no, to tyle ma bajerów, a i jeszcze promocje dali! Nie da się ni wzionć!". Nie chcę oskarżać Pana Janusza o hipokryzję (mimo że tak właśnie jest), lepiej jest go zrozumieć, trochę mu współczuć, ale nie o to teraz mi chodzi. Jak to jest, że nasz bohater, mimo że uważał się za „twardziela", dał się ponieść konsumpcji? Pomijając fakt, że ucierpiało ego po obejrzeniu reklamy (przecież wielkość telewizora to wyznacznik męstwa!) to dodatkowo Pan Janusz najwidoczniej poczuł się jak biedota — bo jak można mieć w domu dwuletni telewizor…!

Warto sobie najpierw odpowiedzieć na pytanie czym w ogóle jest reklama. „Reklama jest jednym z najprostszych sposobów komunikowania się przedsiębiorstwa z otoczeniem. Stanowi istotny składnik struktury marketingu, wyraźnie oddziałujący na zachowanie określonej grupy konsumentów". (Altkorn J. (red.) (2001). Podstawy marketingu, InstytutMarketingu, Kraków, s. 309). Jak widać na podstawie zacytowanego przeze mnie fragment umożemy wywnioskować, że w zasadzie KAŻDA firma będzie próbowała wywrzeć na nas wpływ i wręcz zmusić nas do kupna przedmiotu lub usługi przez nią prezentowanych. Sposoby wpływania na nasze decyzje są różne — kolorowe animacje zabawek dla dzieci; zwierzęta kojarzone z siłą oraz roznegliżowane kobiety w reklamach skierowanych do mężczyzn; uwydatnienie kobiecości, czy piękna, w produktach damskich. Można wymieniać bardzo długo i dużo, ale fakt jest jeden — wszystkie te przykłady są formą manipulacji! „W psychologii reklamy niezwykle ważny jest fakt, że ludzie zwykle nie kupują danego przedmiotu, ponieważ kimś są (mają jakąś funkcję, określony status) — wybierają go dlatego, że chcą kimś być. Pragną być postrzegani w określony sposób, chcą przynależeć do jakiejś grupy. […] Dobrze wykorzystana psychologia reklamy to wmówienie konsumentowi, że kupno właśnie tego produktu oznacza wyższy prestiż, bycie lepszym, mądrzejszym człowiekiem. Dlatego powszechną sztuczką w marketingu jest pokazywanie towaru w pozytywnym kontekście. Słodki napój w klipie filmowym pije grupa ładnych (w domyśle: popularnych), wesołych i wyluzowanych nastolatków. W słynnej reklamie Marlboro dymkiem z papierosa zaciąga się zabójczo przystojny kowboj, symbol męskości. Chcesz być męski jak on? Sięgnij po paczkę!" (https://poradnikprzedsiebiorcy.pl/-psychologia-reklamy-etyczne-podejscie-czy-zwykla-manipulacja).

Da się zauważyć, że prawdopodobnie bardziej narażone są te osoby, które mają bardzo zamknięty i wąski światopogląd oraz potrzeby życiowe, mają konserwatywny sposób bycia, a każde „odstępstwo od normy" lub „nienormalność" traktują z taką samą dozą zrozumienia jakie to okazują neonaziści osobom LGBT. Mam na myśli takie osoby, które łatwo przywiązują się do marki oraz nie lubią zmian. Zbyt duży stopień utożsamienia się z czymś powoduje czasem bezmyślną chęć kupienia danego przedmiotu. Przykład: „Pani Jadzia bardzo lubi firmę A, więc z przyzwyczajenia kupuje „automatycznie" ich nowe produkty, mimo że później ich nie wykorzystuje oraz ostatecznie nie wie, w jakim celu je nabyła". Do czego prowadzi taka lojalność wobec firmy? Przede wszystkim przestajemy robić świadomie zakupy co prowadzi do wzmożenia konsumpcjonizmu, na tym „im" właśnie zależy. W skrócie — stajemy się korporacyjnymi odkurzaczami, dodatkowo bardzo wygodnymi dla kapitalizmu! „Budowanie przywiązania do marki wśród konsumentów stanowi dużą wartość dla całego biznesu, dlatego dla wielu sprzedawców staje się jednym z najważniejszych celów prowadzonej działalności marketingowej i komunikacyjnej." (https://zencard.pl/blog/piramida-lojalnosci-czyli-o-zaangazowaniu-klienta-w-twoja-marke).

Podobnych wpisów w poradnikach dla przedsiębiorców, szefów, menedżerów oraz ekonomistów można spotkać naprawdę bardzo, bardzo wiele. Wygląda na to, że korporacje są z nami cały czas w trakcie wojny albo odwrotnie, to my, jeśli jesteśmy świadomymi konsumentami, walczymy z nimi! Jak się bronić? Przede wszystkim: 1. Rób zakupy świadomie i nie przywiązuj się do firm; 2. Zacznij interesować się, choćby podstawowo, psychologią marketingu, aby być mniej więcej obeznanym w sztuczkach, które stosują firmy. Zapytacie, jak to się ma do tematu, prawda? Przecież to tylko jedna tysięczna ze wszystkich form manipulacji, dodatkowo mówi się o tym non stop! Bardzo dobrze! Uważam, że temat konsumpcjonizmu warto co jakiś czas przypominać, ponieważ bardzo silnie wpływa na naszą podświadomość.

„Media uwielbiają udowadniać ludziom, że dobrze jest być głupim, wulgarnym i niegrzecznym. To dlatego cały czas powstaje tak wiele programów telewizyjnych, które utwierdzają nas w tym przekonaniu". (https://www.popularne.pl/manipulacja-w-mediach/). Media, ach, drogie media, tak kochane przez wiele osób, a tak bardzo często przekłamane… Weźmy pod lupę zagadnienie manipulacji medialnej. Możemy wyróżnić m.in. 3 techniki okłamywania nas, takie jak manipulacja graficzna, nagłówkowa oraz tzw. przemilczenie. Chciałbym je rzetelnie opisać, ale jednocześnie dość zwięźle przez ogrom dostępnej wiedzy opisać. Napomknę o tych najczęściej stosowanych formach. Grafika — jeżeli chcemy opisać daną sytuację pozytywnie, adekwatnie wytwarzamy wokół niej „pozytywną aurę" (np. widzimy uśmiechniętego polityka, najprawdopodobniej myślącego o podwyższeniu podatku VAT, zakładając, że w ogóle stwierdzenie „myślący" jest odpowiednie w określeniu do opisywanego podmiotu), a jeśli ma być zła wywołujemy negatywne emocje (np. poprzez polityka, który jest w trakcie ekspresyjnej mowy i wygląda jak potomek Goebbelsa lub ma złowrogą minę osoby, której podrzucono pod nos wysłużoną pieluchę). Genialnym przykładem jest sondaż odnośnie liderów opozycji, który miał miejsce jakiś czas temu. Polityk Paweł K. wiódł prym zaraz za opcją zawartą w ankiecie: „na nikogo z wymienionych nie oddałbym głosu". Część mediów go wychwalała i pomijała fakt, że ludność jednak wolałaby nikogo nie wybrać (oczywiście te wiadomości były okraszone uśmiechniętym panem K.. Swoją drogą jednocześnie występuje tu tzw. przemilczenie o którym powiem dwa akapity później), kolejna część sugerowała, że poparcie o połowę większe od rywala wcale nie jest takie duże, czym chcieli go w pewnym sensie ośmieszyć (czyli pan K. na zdjęciu ma minę wkurzonego Shreka).

Nagłówki — „Czy Władek Kowalski zdradza swoją żonę?". Jest to rodzaj nagłówku w formie pytania, który ma prowokować do uczestnictwa w rozmowie oraz zaprzątania myśli bzdurami odwracającymi uwagę od rzeczywistości, oczywiście na bazie emocji, najczęściej tych negatywnych, ponieważ dzięki nim najłatwiej jest ukierunkować społeczeństwo na to, co wygodne dla systemu. Osoby, które dają się ponieść emocjom rzadko kiedy zastanawiają się nad tym, co robią lub mówią, działają automatycznie. Oczywiście w nagłówku zawarte jest pytanie retoryczne, a z samego tekstu na końcu przeważnie wyniknie „puenta", że Kowalski żony nie zdradza… Inne go rodzaje nagłówki również mają wywoływać emocje, a także kontrowersje, dzięki którym zwracają na siebie uwagę".Reguła jest prosta. Jeśli przeczytaliście nagłówek, który wzbudził w Was kaskadę negatywnych emocji — w tym złość i nienawiść — to na 99% zostaliście zmanipulowani. Zakres informacji, z których można zrobić sensację, jest praktycznie nieskończony. Dziecko z syndromem Downa nie zostało dopuszczone do castingu? Oburzające! A może po prostu dziecko nie spełniało kryteriów, tak jak dziesiątki zdrowych dzieci, które do castingu nie są dopuszczane?" (https://czlowiek.info/jak-rozpoznawac-falszywe-informacje-w-mediach/). Inna próba manipulacji to nagłówki o treści mniej więcej takiej jak ta: „Niemcy za wyjściem kraju z Unii Europejskiej? Nowy sondaż". Czego możemy się tu dowiedzieć? Pewnie, że Niemcy domagają się wyjścia z UE? Nic podobnego… Dowiemy się, że chęć wyjścia z Unii nasi zachodni sąsiedzi deklarują większą niż Finlandia, Dania oraz Szwecja, ale jednocześnie i tak zostaną w tej UE, bo chęć wyjścia wyraziło tylko 26% obywateli, a chęć pozostania 60%… Na co więc wskazuje nagłówek? Co najwyżej na powieść science-fiction… Oczywiście sposobów na manipulacje w nagłówkach jest dużo więcej, prawdopodobnie więcej niż kłamstw polityków, czyli całkiem pokaźna liczba, dodatkowo cały czas z pewnością prześcigają się w pomysłach na kolejne niecne rozwiązania.

Przemilczenie — bardzo częsta forma działania mediów, na które… nie ma argumentów… Dlaczego? Choćby z tego względu, że ciężko jest udowodnić istnienie czegoś, co… nie istnieje. Media celowo pomijają niektóre informacje, fakty, kłamstwa, prawdę, manipulacje etc. z tego względu, że są one niewygodne lub wygodne; w zależności od sytuacji. Przykładem może być wcześniej omawiana sytuacja Pawła K., mianowicie media przemilczały fakt, że jednak społeczeństwo wolałoby nikogo nie wybrać… Najlepszym rozwiązaniem jest sprawdzanie rzetelności wiadomości poprzez kontrolę jakości źródeł. Warto wtedy poszukać faktów odnośnie poglądów danej stacji, radia, prasy itd., porównując je z innymi wiadomościami być może z książek, innych gazet etc. Przeważnie najlepsze okazują się te „podziemne" informacje, ponieważ najczęściej nie są „wynajęte" przez którąś z gałęzi polityki, ekonomii czy gospodarki.

Możliwe, że brzmi to trochę jak teoria spiskowa, ale raczej każdy widzi, jak to wygląda w praktyce, nie potrzeba żadnych przykładów. Każdą informację sprawdzajmy z każdej strony, to znaczy nie z jednego, a z kilku źródeł, jak i również spójrzmy z perspektywy osoby poszkodowanej, szkodzącej, piszącej i jakiej to tam jeszcze się da. Wczujmy się w daną sytuację pod każdym kątem oraz empatycznie. Jednocześnie starajmy się też podchodzić do nich w „chłodny", bezemocjonalny sposób, by nie dać się zmanipulować. Nadmierne emocje podczas „informowania się" prowadzą do subiektywnego spojrzenia na świat. Warto również zainteresować się takim źródłem informacji jak YouTube. Oczywiście, tam również warto uważać, ponieważ możemy natrafić na bardzo wiele koloryzowanych treści. Poprzez zróżnicowanie każdy może znaleźć coś dla siebie, a także dzięki dostępności internetowej rzeczywistości, słuchać lub oglądać wiadomości z różnych frontów. Pamiętajmy jednocześnie o tym, jak to pewien pan z wąsem powiedział kiedyś: „Racja jest jak dupa, każdy ma swoją" i tego starajmy się trzymać, bo większość osób będzie się swojej prawdy kurczowo trzymać, co niektórzy nawet za wszelką cenę. ★


ZMIEŃMY SYSTEM A NIE KLIMAT
W obronie Matki Ziemi
Przeciwko kapitalizmowi
www.federacja-anarchistyczna.pl